

Krzysztof Pomian

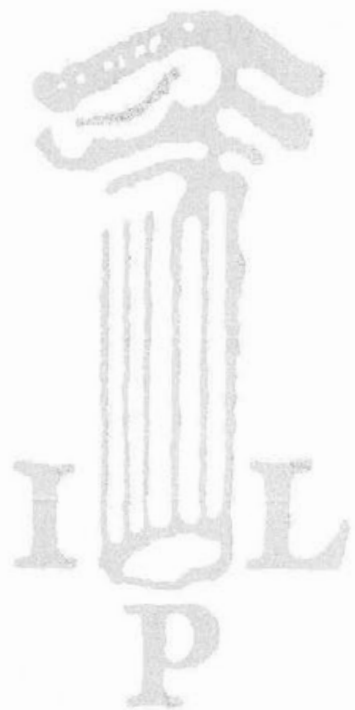
W kręgu Giedroycia



Czytelnik

Krzysztof Pomian

**W kręgu
Giedroycia**



Krzysztof Pomian

W kręgu Giedroycia

Czytelnik · Warszawa 2000

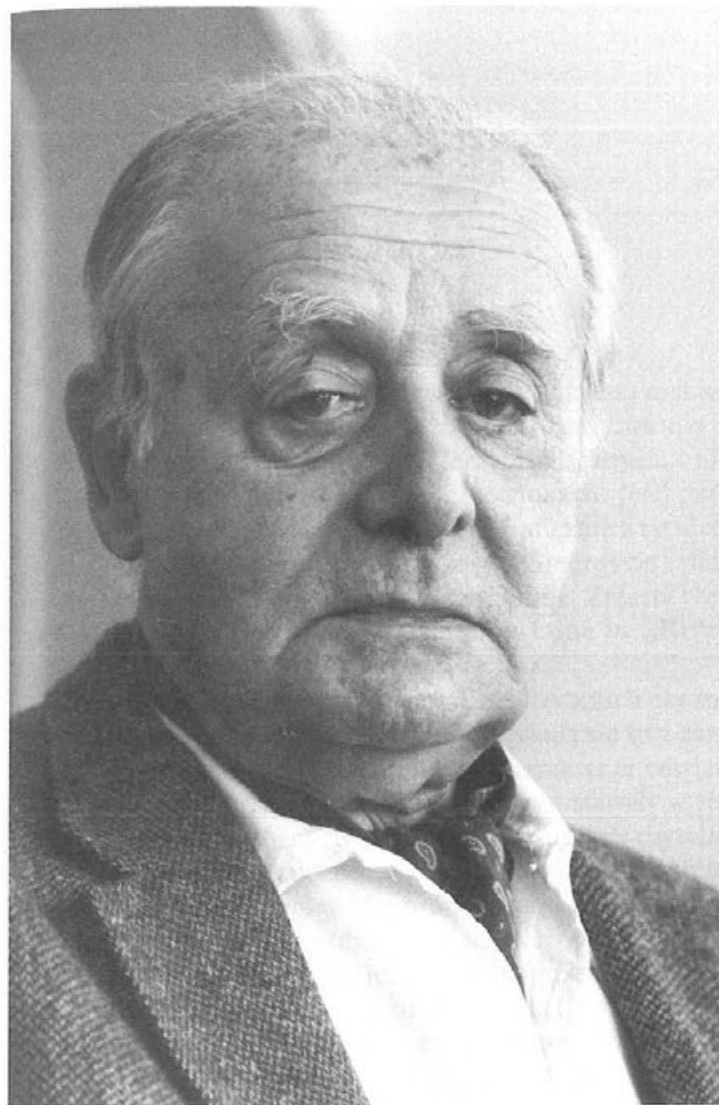
Opracowanie graficzne: Agnieszka Kaneko

Na frontispisie portret Jerzego Giedroycia
Fot. Zbigniew Dłubak

Redaktor: Monika Ziólek

Redaktor techniczny: Hanna Orłowska

Korekta: Anna Piątkowska



© Copyright by Krzysztof Pomian, Warszawa 2000

ISBN 83-07-02791-8

Jerzy Giedroyc zmarł w Maisons-Laffitte 14 września 2000 roku

Od autora

Tytuł tej książki ma dwa znaczenia. Jeśli za nazwiskiem autora postawić przecinek i wyróżnić je krojem czcionki — całość będzie znaczyć, że mowa o Jerzym Giedroyciu i niektórych przynajmniej jego współpracownikach. Jeśli przecinka brak, a nazwisko autora łączy się graficznie z tytułem, znaczy to, że sam autor należy do kręgu Giedroycia i pisze z tej perspektywy. Oba odczytania są zasadne. Zresztą część zebranych tu szkiców ukazała się pierwotnie w „Kulturze”.

Portrety osób żyjących, rozbiory dzieł literackich czy malarskich i wspomnienia pośmiertne spotykają się tu z zarysem historii Instytutu Literackiego o charakterze bardziej akademickim. Te rzeczy rodzajowo różne powstawały w różnych okresach, w różnych językach, dla różnych czytelników. Najdawniejsza pochodzi sprzed blisko dwudziestu lat; najnowsza — sprzed roku. Nie próbowałem ich ujednolicić. Jak każdy zbiór rzeczy publikowanych wcześniej, tak i ten zawiera teksty, które mają już swoją historię: były czytane, niekiedy przedrukowywane, cytowane, krytykowane. Zmienianie ich, by usunąć ewentualne rozbieżności czy powtórzenia, byłoby w moim odczuciu poprawianiem przeszłości, dostosowywaniem jej do dnia dzisiejszego. Gdy raz wejdzie się na tę drogę, nie wiadomo, gdzie się zatrzymać. Dlatego też, po namyśle, zachowałem wszystkie zebrane tu szkice w ich kształcie pierwotnym, poprawiając tylko li-

terówki i jawne błędy, dodając odsyłacze do dostępnych obecnie wydawnictw tam, gdzie były potrzebne, i rozbi-
jając dla ułatwienia lektury nazbyt długie niekiedy akapity.

Jest jeden wyjątek od tej reguły. Pierwsza część książki, *Instytut Literacki 1946–1996*, przynosi tekst wykładów wygłoszonych w Uniwersytecie Harvarda w kwietniu 1996 roku, w ramach August Zaleski's Memorial Lectures. Napisałem je po angielsku; tu ukazują się w moim przekładzie, zachowując jednak swój charakter historii przeznaczonej dla niepolskiego odbiorcy. By uniknąć powtórzeń, pominąłem wszelako wykład trzeci, *Ku niepodległości: „Kultura” i przemiany polityczne w Polsce po roku 1956*, gdyż pokrywa się on treściowo z dwoma szkicami poświęconymi Giedroycowi i Mieroszewskiemu. Jeden jego fragment, dotyczący linii politycznej „Kultury” w okresie zakupu przez nią jej obecnej siedziby, włączyłem do wykładu pierwszego.

Korzystam z okazji, by przekazać wyrazy serdecznej wdzięczności pani Marii Ewelinie Weintraubowej, inicjatorce wykładów im. Augusta Zaleskiego, oraz Marii Ofierskiej, której książka ta wiele zawdzięcza.

K.P.

Antony, w czerwcu 2000 r.

Giedroyc: sylwetka

Na lewo od głównego wejścia do domu „Kultury”, w małym pokoiku z zawsze otwartymi drzwiami, których framugę zdobi napis *Cave hominem*, za biurkiem, nad rękopisem czy korektą bądź za maszyną do pisania — tak widzę Jerzego Giedroycia, choć widywałem go przecież i w innym otoczeniu. Utożsamiał się ze swoją pracą do tego stopnia, że nie sposób wyobrazić go sobie bez niej. Bo też jest ona czymś więcej niż pracą. Bycie redaktorem jest dla Giedroycia sposobem istnienia i działania, postawą wobec Polski i wobec świata.

Jakoż redaguje nie tylko teksty napływające do „Kultury”. Usiłuje też redagować Polaków w ogóle, w szczególności zaś — inteligentów polskich, którzy irytują go w stopniu najwyższym. Jego lista zarzutów wobec nich jest tak długa, że nie zdołam jej tu wyczerpać.

Sam bezinteresowny, wyzuty w rzadko spotykanym stopniu z egocentryzmu, nie znosi nadęcia, prywaty, wyłącznej dbałości o własną korzyść, przypisywania sobie urojonych zasług, kombatanctwa, celebry. Nie znaczy to, by głosił i praktykował cnoty franciszkańskie. Jego wysokie poczucie własnej wartości wyrasta z tradycji rodowej i historii ojczystej. Nie ma kompleksów, a już na pewno — kompleksu niższości. Dlatego, w sposób najzupełniej naturalny, jest Europejczykiem, i dlatego też złości go jakże częste u Polaków łączenie płaszczenia się przed „Zacho-

dem” z nieustannym uzalaniem się nań. Zresztą brzydzi się polskim, zwłaszcza inteligenckim, roztkliwianiem się nad sobą i znajdowaniem sobie zawsze okoliczności łagodzących. Nie uznaje rozchleństwa, braku stylu i braku klasy.

Imponują mu osoby mocne, obdarzone silną wolą i temperamentem przywódczym, stanowcze w dążeniu do celów, jakie sobie wytyczyły. Nie ulega im, bo sam jest taką właśnie osobowością i nie leży w jego naturze podporządkowywanie się komukolwiek z wyjątkiem tych, którym sam nadał rangę autorytetów. Bycie jego współpracownikiem czy podwładnym nie jest łatwe. Jego przełożeni mieli zapewne równie trudne życie. Był wobec nich bardzo lojalny i pozostał taki również po ich śmierci. Ale gdy uważał, że coś trzeba zrobić, robił to, nie pytając nikogo o zdanie. W istocie uznaje wyższość nad sobą dwóch tylko postaci: marszałka Piłsudskiego i generała de Gaulle’a. A i to dlatego, że obaj nie żyją. Gdyby żyli, też uznawałby ich wyższość. Ale trochę by się z nimi poróżnił.

Jego kult woli sprawia, że niekiedy bierze upór za przejaw twardej osobowości, a buńczuczną retorykę — za program działania. Umie jednak dostrzegać i naprawiać własne błędy. Choć na ogół nie przyznaje głośno racji swym oponentom, jest podatny na argumenty rzeczowe i — wbrew temu, co się niekiedy o nim mówi — potrafi pod ich wpływem zmienić zdanie.

Określa się jako zwierzę polityczne, ale politykę uważa za służebną wobec wyższych wartości. Jest orędownikiem mocnego państwa, ale nie czyni zeń samoistnego celu. Stosunki międzynarodowe i społeczne utożsamia ze zdzieleniem sił. Ale zarazem wierzy w potęgę słowa. Choć ma poczucie bezwładu historii, żywi głębokie przeświadczenie, że wola jednostki może zmienić bieg zdarzeń, byle była wyłożona w odpowiednim kierunku i z dostateczną mocą.

Nie umie być bierny. Toteż usiłuje redagować polskie życie publiczne, czynić je bardziej zwartym, bardziej prze-

rzystym, lepiej spełniającym wysokie wymagania, jakie mu stawia. Wstrętą mu jest wszelka miałość. Chciałby widzieć dookoła wielkich ludzi, których mógłby uznać za partnerów w swej walce o Polskę. Zapewne spierałby się z nimi. Ale byłyby to spory o sprawy zasadnicze, godne tego, by kruszyć o nie kopie. Ponieważ jednak w polityce jest realistą, działa w warunkach, jakie są mu dane. Nie ma wielkich złudzeń co do skuteczności swych poczynań. Niekiedy zapowiada nawet, że „wypisze się z tego narodu”. Ale nie robi tego. Uważa, że czasem trzeba walić głową w mur. Usiłuje więc odgrywać wobec polityków tę samą rolę, jaką — często z powodzeniem — odgrywał wobec pisarzy: powodować, by dawali z siebie, co mają najlepszego. Pragnie, by Polska była arcydziełem. By budziła zachwyt swoich i podziw obcych. By promieniowała swym przykładem na Europę Środkowowschodnią, jeśli nie na całą Europę. Na tym polega jego romantyzm.

Owczę odruchy są u nas silniejsze niż gdzie indziej może dlatego, że stąd ciepło było długo jedyną obroną przed syberyjskim mrozem. Tym cenniejsi są ci nieliczni, którzy umieli sprzeciwiać się poglądom panującym we własnym kręgu, głoszonym przez sprzymierzeńców lub wręcz przyjaciół. Jak przed nim Słowacki i Brzozowski, skądinąd jego ulubieni pisarze, Giedroyc jest uosobieniem nonkonformizmu.

Polsce trzeba dziś tego bardziej niż kiedykolwiek.

I. Instytut Literacki 1946–1996

Przeciw podziałowi Europy: twórcy Instytutu i ich współpracownicy

Pod względem powierzchni, ludności czy zasobów Polska jest przeciętnym krajem europejskim. Gdy jednak patrzymy na obszar polskiej pamięci, Polska natychmiast rośnie. Jakoż obszar ten, który obejmuje wszystkie miejsca, gdzie zdarzyło się coś, co zostawiło trwałe wspomnienie w świadomości narodu, rozciąga się na wszystkie kontynenty. Należą doń Syberia i Chicago, Parana w Brazylii i Paryż, Rzym i Neapol, Berkeley w Kalifornii i Buenos Aires, nadto zaś Libia i Haiti, Wielka Brytania, Norwegia i Hiszpania. Na planecie pamięci Polska jest zaiste wielkim mocarstwem.

Ściśle mówiąc, mamy tu do czynienia nie ze zwartym obszarem, lecz z archipelagiem: z wielością polskich wysp rozproszonych po powierzchni globu. Są one pozostałością długiej historii niekiedy dobrowolnych, ale częściej wymuszonych emigracji, zapoczątkowanej w XVII wieku przez socynian, których wygnała z Polski nietolerancja wyznaniowa, i kontynuowanej — z przerwą między 1918 a 1938 — od drugiej połowy XVII aż po lata osiemdziesiąte XX wieku. Niektóre z tych fal migracyjnych były skutkiem ciśnienia nędzy, jak w przypadku chłopów i robotników, którzy w poszukiwaniu ziemi i pracy wyjeżdżali do Brazylii, do Stanów Zjednoczonych czy do okręgów węglowych we

Francji lub w Niemczech. Dla nas ważniejsze są tu jednak kolejne emigracje polityczne powodowane klęskami powstańczych prób przywrócenia Polski jako niepodległego państwa w latach 1794, 1830–1831, 1863–1864.

Ich znaczenie bierze się nie tylko z dobrze znanej roli, jaką odegrały one w polskiej historii i w polskiej kulturze. Również z faktu, że ci, których okoliczności pchnęły w XVIII–XIX w. do opuszczenia Kraju i do ułożenia sobie życia za granicą, pokazali pokoleniom Polaków zmuszonym pójść w ich ślady, jak działać na obczyźnie, aby przyczynić się jeśli nie do odzyskania przez Polskę niepodległości, to przynajmniej do utrzymania pamięci o jej zniewoleniu w świadomości międzynarodowej.

W tym celu podejmowali oni próby zorganizowania wojska. W latach 1830–1860 stworzyli namiastkę rządu na uchodźstwie, który uporczywie usiłował wpisać „sprawę polską” do programu dyplomacji europejskiej. Później powołali Skarb Narodowy: fundusz zasilany z dobrowolnych składek, aby finansować walkę o niepodległość. Założyli liczne instytucje kulturalne: szkoły dla dzieci, Bibliotekę Polską w Paryżu, która wciąż istnieje po z górą stu pięćdziesięciu latach, muzeum narodowe w Rapperswilu w Szwajcarii, czynne blisko sześćdziesiąt lat, aż do repatriacji. Ogłosili setki książek, broszur i czasopism po polsku i w mnóstwie innych języków, aby przybliżyć Polskę, jej historię i współczesność, międzynarodowej opinii publicznej. Zajmowali się przemyceniem do Polski publikacji zabronionych przez władze zaborcze, zwłaszcza przez Rosję. Wszystko to ukształtowało wzór działalności politycznej emigracji polskiej przekazywany z pokolenia na pokolenie i dobrze znany każdemu, kto kończył szkołę w już niepodległej Polsce między rokiem 1918 a 1939.

Emigranci pozostawili zarazem potomnym liczne przykłady zachowań godnych potępienia, utrwalone w historii, poezji, powieściach i wspomnieniach. Przykłady nieprzygotowanych i nieodpowiedzialnych konspiracji ciężko opła-

canych zbędnymi ofiarami. Przykłady patriotycznej lub wręcz nacjonalistycznej retoryki maskującej stawianie prywaty czy partyjniactwa ponad interesem narodowym. Przykłady niezdolności zachowania choćby pozorów zgody nawet w przedsięwzięciach, które bezwzględnie tego wymagały. Przykłady sporów ambicjonalnych i starć politycznych. Przykłady ulegania nierozumnym wierzeniom i patologicznemu do granic śmieszności polonocentryzmowi. Obraz emigracji politycznej w tradycji polskiej był zatem i pozostaje wieloznaczny, rozpięty między ideałem a brukiem, między podziwem a naganą, między patosem a groteską.

Wiele wysp archipelagu polskiej pamięci istniało już na początku naszego wieku. Ale okres otwarty pierwszymi salwami drugiej wojny światowej znacznie zwiększył ich liczbę. Dodał do nich Londyn jako stolicę polskiej diaspory: podczas wojny siedzibę rządu, który stał na czele licznej armii i masowego ruchu oporu w Kraju i który uznawali wszyscy członkowie koalicji antyhitlerowskiej, nawet Związek Sowiecki w latach 1941–1943; po wojnie — rządu na uchodźstwie oraz czołowej polskiej zbiorowości emigracyjnej z jej partiami politycznymi, prasą, instytucjami i stowarzyszeniami, z jej życiem społecznym i kulturalnym. Dodał do nich Nowy Jork, ważny ośrodek kultury polskiej za granicą dzięki obecności tam w latach 1950–1960 kilku wybitnych pisarzy i działalności kilku instytucji. Dodał Buenos Aires z uwagi na Gombrowicza, Berkeley z uwagi na Miłosza, Neapol z uwagi na Herlinga. Przede wszystkim jednak okres po drugiej wojnie światowej dodał do liczby miejsc polskiej pamięci poza Polską małe miasto w pobliżu Paryża, Maisons-Laffitte, ponieważ jest ono od 1947 roku siedzibą Instytutu Literackiego, wydawcy miesięcznika „Kultura”, który doszedł był właśnie do swego sześćsetnego numeru, oraz około 500 tytułów książek. O zawartości „Kultury” czytelnik anglojęzyczny może sobie wyrobić pojęcie na podstawie trzech wyborów, z któ-

rych ostatni pochodzi z roku 1990¹. (Czytelnik polski ma teraz do dyspozycji antologię publicystyki „Kultury” z jej pierwszych trzydziestu lat)².

Wśród autorów Instytutu figuruje większość liczących się nazwisk polskiego piśmiennictwa minionego półwiecza, w tym Gombrowicz, Miłosz i Herling, którzy mieli z nim szczególnie ścisłe związki. Co więcej, można z pewnością stwierdzić, że gdyby Instytut nie istniał, niektóre wybitne dzieła nie zostałyby napisane, gdyż ich autorzy nie zdołaliby znaleźć dla nich wydawcy. Już to starczyłoby, by zapewnić Instytutowi i jego twórcom, którzy kierują nim od pół wieku, najwyższą rangę w dziejach kultury polskiej. Jak się okaże, ich miejsce w dziejach Polski jest jeszcze bardziej niezwykle.

Pierwszych dziesięć lat

Jeśli przyjeżdżacie do Maisons-Laffitte pociągiem, jak większość Polaków, wyjdźcie ze stacji w kierunku Saint-Germain-en-Laye, przetnijcie ulicę i idźcie wzdłuż avenue du général de Gaulle. Miniecie kilka sklepów, restauracji, stacji benzynowych, przykładów architektury podmiejskiej pierwszych dziesięcioleci naszego wieku przemieszanych z nowszymi budynkami, i po piętnastu-dwudziestu minutach dojdziecie do tablicy z sylwetką głowy konia i ostrzeżeniem „Vous quittez Maisons-Laffitte, la cité du cheval”. Po kilku krokach zobaczycie po lewej stronie furtkę z jednym słowem: *Kultura* i nieco niżej z numerem: 91. Jesteście przy 91, avenue de Poissy, który dla ad-

¹ Leopold Tyrmand (wyd.), *Explorations in Freedom: Prose, Narrative, and Poetry from Kultura*, New York-London 1970. — Tenże (wyd.), *Kultura Essays*, New York-London, 1970. — Robert Kostrzewa (wyd.), *Between East and West. Writings from Kultura*, New York 1990.

² Por. Grażyna Pomian (wyd.), *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947-1976*, Lublin 1999, 2 tomy.

ministracji należy do miasta Le Mesnil-le-Roi, ale który Polacy przyłączyli jednak do Maisons-Laffitte. Niedawno na ogrodzeniu pojawiła się tablica pamiątkowa z brązu z tymi słowami: „Ici de 1947 à 1939 a vécu Jozef Czapski peintre et humaniste Témoin de Katyn”.

Dzwonicie, otwieracie furtkę, wchodzić do ogrodu i po kilku krokach do domu. Widzicie cztery pokoje zamienione w biura, banalne meble biurowe, ściany pólek wypełnione książkami. Przy schodach wisi kilka obrazów, głównie portretów. Dawny ogród zimowy, teraz częściowo biuro, a częściowo salon, gdzie przyjmuje się gości, zdobią dwa jedyne składniki dekoracji o wyraźnej wymowie politycznej. Afisz propagandowy wyprodukowany po zamachu generała Jaruzelskiego z 13 grudnia 1981: „drzewo zdrady narodowej” z nazwiskami niektórych mieszkańców domu, w którym goście. Oraz ceramiczna tablica z profilem Piłsudskiego.

W takim otoczeniu spotkacie dwie osoby, które, z garstką przyjaciół, stworzyły w 1946 w Rzymie Instytut Literacki i które od 1947 wydają „Kulturę”: Jerzego Giedroycia i Zofię Hertz. Pomaga im brat Jerzego Giedroycia, Henryk, oraz pięciu pracowników. Spotkacie też psa, cockera; najpewniej spotkacie go wcześniej niż kogokolwiek, gdyż wita on zazwyczaj gości, gdy tylko wejdą do ogrodu. I zanurzycie się natychmiast w niezwyklej atmosferze tego domu, gdzie praca jest więcej niż praca: życiem samym, a zarazem obowiązkiem, misją, powołaniem, ale bez cienia patosu, bez jakiegokolwiek grandilo kwencji — kategorycznie zabronionej — raczej z poczuciem humoru, bez względu na okoliczności: trudności materialne, choroby, dolegliwości wieku starczego, kolejne śmierci przyjaciół i najbliższych współpracowników.

Nie pretenduję do traktowania tego tematu z dystansem, z jakim umiałbym, przypuszczam, opisywać średniowieczną wspólnotę klasztorną lub dziewiętnastowieczny falanster. Mowa bowiem o instytucji, którą znam od we-

wnątrz, i o ludziach, z którymi współpracuję od z górą dwudziestu lat. Trzeba to powiedzieć, by uniknąć nieporozumień. Nie chciałbym bowiem tworzyć wrażenia, że zajmuję wobec mego przedmiotu postawę bezstronną i beznamietną. Będę się starał sprostać obowiązkowi historyka w miarę mych możliwości, nie potrafię jednak stłumić uczuć sympatii i podziwu dla osób, których historię odtwarzam.

Jerzy Giedroyc, twórca Instytutu, jego dyrektor i redaktor naczelny „Kultury”, urodził się w 1906 roku w Mińsku, dziś stolicy Białorusi, jako potomek zubożałej rodziny arystokratycznej, która w ciągu wielu wieków odgrywała ważną rolę w historii Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dzieciństwo spędził w Mińsku i w Moskwie. W 1919 roku jego rodzice opuścili Mińsk i zamieszkali w Warszawie. Tu skończył liceum i wydział prawa. Choć jest nieśmiały i nie znosi wystąpień publicznych, już jako student okazał raczej wyjątkowe umiejętności przywódcze, równie wyjątkowy dar zdobywania przyjaciół i prawdziwy geniusz wydawniczy.

Równolegle do kariery urzędniczej, która doprowadziła go w przededniu wojny do stanowiska naczelnika Wydziału Prezydialnego w Ministerstwie Przemysłu, był on w latach trzydziestych redaktorem naczelnym pisma, które pierwotnie nazywało się znamienicie „Bunt Młodych”, a później po prostu „Polityka”, i reprezentowało nurt opozycyjny w obrębie rządzącej grupy zwolenników Piłsudskiego. We wrześniu 1939 roku Giedroyc wraz z rządem opuścił Polskę. Spędził dwa lata w Bukareszcie, najpierw jako urzędnik w ambasadzie RP, a po jej wyjeździe jako przedstawiciel interesów polskich w Rumunii. W 1941 roku dołączył do polskich sił zbrojnych na Bliskim Wschodzie i jako żołnierz Brygady Karpackiej wziął udział w kampanii libijskiej, której szczytem była bitwa o Tobruk. W 1943 roku został szefem wydziału wydawnictw Drugiego Korpusu polskich sił zbrojnych, wtedy — w Iraku.

Nominacja ta, wydarzenie o kluczowym znaczeniu w

opowiadanej przeze mnie historii, była następstwem spotkania Giedroycia z wspomnianym tu już Józefem Czapskim (1895–1993), który niewiele wcześniej przybył do Iraku ze Związku Sowieckiego z armią polską pod dowództwem generała Andersa. Czapski, też potomek znanej rodziny arystokratycznej, uczestnik wojny polsko-sowieckiej 1920 roku, był malarzem, członkiem grupy, która wpisała się trwale w historię sztuki polskiej okresu międzywojennego swym naciskiem na rolę koloru za przykładem Bonnard. Wraz z innymi malarzami z tej grupy spędził wiele lat w Paryżu w latach dwudziestych i nawiązał tam stosunki z wpływowymi osobistościami świata artystycznego i literackiego. Po powrocie do Polski uprawiał malarstwo i krytykę.

We wrześniu 1939 roku, po napaści sowieckiej na Polskę, Czapski, który był oficerem, został wzięty do niewoli i zamknięty w obozie w Starobielsku. Był jednym z nielicznych, którzy uszli zeń z życiem; niemal wszystkich jego współwięźniów zamordowała sowiecka policja polityczna, wykonując wyrok wydany, jak teraz wiemy, przez Politbiuro partii bolszewickiej. Zwolniony po pakcie Sikorski–Majski z 1941 roku, Czapski wstąpił do armii organizowanej w Związku Sowieckim pod dowództwem generała Andersa i otrzymał polecenie odszukania oficerów polskich, którzy zaginęli w ZSRS. Gdy dwa lata później Niemcy odnaleźli ich zwłoki w lesie katyńskim, zrozumiał, dlaczego jego misja była skazana na niepowodzenie. Był już wtedy w Iraku, gdzie przybył jako członek sztabu generała Andersa odpowiedzialny za propagandę w armii. Tam dowiedział się, że w Brygadzie Karpackiej służy Giedroyc, z którym zetknął się jeszcze przed wojną, a który był już dobrze znany jako redaktor czasopism. Zaproponował mu zatem objęcie działu wydawnictw. Po pierwszej odmowie, naciskany przez Czapskiego, Giedroyc przyjął propozycję.

Była to decyzja brzemienna w skutki. Albowiem w szta-

bie Czapskiego Giedroyc szybko odkrył osobę, która miała stać się jego najbliższym współpracownikiem, jego prawą ręką. Osobę, bez której, jak sam przyznaje, nigdy by nie zdołał stworzyć Instytutu Literackiego i kierować nim. Zofia Hertz była przed wojną notariuszem. Wyszła za mąż za Zygmunta Hertza, wysokiego urzędnika w wielkiej międzynarodowej spółce chemicznej „Solvay”. We wrześniu 1939 roku oboje znaleźli się na terenach okupowanych wkrótce przez wojska sowieckie i, jak tysiące Polaków, zostali wywiezieni na daleką północ do pracy przymusowej w lasach. Gdy tylko stało się to możliwe, wstąpili do wojska polskiego w ZSRS, Zygmunt jako żołnierz, a Zofia jako pracownik propagandy w ramach pomocniczej służby kobiet. W Iraku spotkała Giedroycia. Tak zaczęła się ich współpraca, która trwa po dziś dzień.

Jako szef działu wydawnictw Giedroyc nadzorował całą działalność wydawniczą Drugiego Korpusu. Działalność imponującą. Podczas pobytu na Bliskim Wschodzie, a później we Włoszech, ukazało się pod jego auspicjami wiele pism i znaczna liczba książek. Giedroyc miał zatem znakomite warunki, by nawiązać kontakty z każdym, kto w wojsku, nawet na froncie, pisał i chciał publikować. Jedną z takich osób, która miała stać się bliskim współpracownikiem Giedroycia, był młody pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, urodzony w 1919 roku. Gdy wybuchła wojna, studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Pod koniec 1939 roku, gdy usiłował przedostać się z Polski na Litwę, by wstąpić do wojska polskiego na Zachodzie, został aresztowany przez sowiecką policję polityczną, skazany na zamknięcie w łagrze i wysłany w okolice Archaniejska. Wyszedł z łagru pod koniec 1941 roku, wstąpił do wojska i przybył z nim na Bliski Wschód, a później do Włoch, gdzie odznaczył się w bitwie pod Monte Cassino.

W miarę zbliżania się końca wojny stawało się coraz bardziej oczywiste, że choć Polska jest w obozie zwycięzców, Polacy będą ofiarami nowego porządku międzynaro-

dowego opartego na podziale Europy na dwie strefy wpływów, a zatem na uznaniu panowania sowieckiego nad jej częścią środkową i wschodnią. Jak żyć w tym powojennym świecie, który wielu Polakom, zwłaszcza na Zachodzie, oferował najbardziej gorzkie rozczarowanie, gdyż odbierał im prawo do ojczyzny w takim jej kształcie, o jakim marzyli w ciągu sześciu wojennych lat? Wracać do Polski, nie zważając na wszystko? Wybrać emigrację? Pytania te budziły gorące spory wśród żołnierzy Drugiego Korpusu we Włoszech i ogólnie polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Ale dla osób, o których tu mowa, i dla wszystkich, którzy mieli podobne życiorysy, było oczywiste, że nie mogą wrócić do Polski, gdzie będą uznani za wrogów nowego ustroju narzuconego przy pomocy sowieckiej armii i sowieckiej policji politycznej. Co robić w tych warunkach? Jak urządzić swoje życie na Zachodzie tak, by nie tylko rozwiązać problemy osobiste, ale również móc przyczynić się do odzyskania przez Polskę niepodległości?

Opinia panująca wśród polskich polityków w Londynie oraz wysokich dowódców wojskowych uważała stan stosunków międzynarodowych, jaki ukształtował się pod koniec wojny, za nietrwały. Ich zdaniem prędzej czy później, raczej prędzej niż później, powinna być wybuchnąć trzecia wojna światowa, tym razem — między koalicją na czele ze Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Polskie wojsko na Zachodzie powinno być przygotowane na tę okoliczność, która pozwoli mu wyzwolić kraj. Również rząd polski na uchodźstwie, choć pozbawiony uznania międzynarodowego, winien być gotów na tę okoliczność, gdyż stanie się wtedy jedynym przedstawicielem Polski. Dowódcy i politycy wierzyli bowiem zgodnie, że można odtworzyć dokładnie taką Polskę, jaka była przed wojną, jak gdyby nic ważnego od tego czasu nie zaszło, i że wszyscy lub niemal wszyscy Polacy tęsknią za tym właśnie.

Politycy i dowódcy mieli zatem gotową odpowiedź na

pytanie o to, co robić w warunkach pojałtańskich. Czerpali z doświadczenia emigracji polskich XIX wieku i kierowali się ich przykładem. Rzeczpospolita Polska na Uchodźstwie miała prezydenta i rząd działających zgodnie z konstytucją z 1935 roku. Konstytucja ta, odległa od wymogów demokracji, stanowiła, że w stanie wojny prezydent, odpowiedzialny tylko „przed Bogiem i Historią”, ma prawo mianować swego następcę. Ponieważ zaś Rzeczpospolita Polska na Uchodźstwie uważała, że pozostaje w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, wszystkie jej władze odnawiały się przez kooptację. By finansować rząd i jego agendy — kilka zachowanych ambasad, prasę, uniwersytet, biblioteki, archiwa i inne instytucje kulturalne — stworzono Skarb Narodowy, którego zasilanie było patriotycznym obowiązkiem każdego Polaka na wygnaniu. Państwo polskie na uchodźstwie mogło istnieć w ten sposób całkiem długo. I istniało.

Od 1944 roku Giedroyc miał własny pogląd na przyszłość Polski. Nie oczekiwał rychło trzeciej wojny światowej. Nie uważał jej nawet za prawdopodobną. Nie uważał jej również za pożądaną. Był przekonany, że emigracja trwać będzie długie lata, może nawet dziesięciolecia. I że trzeba być psychologicznie i materialnie przygotowanym do stawienia czoła wszystkim nieodłącznym od niej trudnościom. Uważał nadto, że walkę z ideologią komunistyczną wcieloną w system sowiecki i w partie komunistyczne na Zachodzie, ale wyznawaną również przez osoby we własnym mniemaniu odległe od komunizmu, trzeba wygrać przede wszystkim na obszarze kultury: literatury, filozofii, historii, nauki, sztuki — słowem, tych dziedzin, które kształtują wierzenia zbiorowe i postawy jednostek. I że tego celu nie sposób osiągnąć bez reform społecznych dostatecznie głębokich, by zdołały pozbawić ideologię komunistyczną gleby, w której jest zakorzeniona i z której czerpie soki, i bez programu kulturalnego zdolnego udowodnić

wyższość wolnego świata inteligentom wystawionym na wpływy komunizmu.

Takie było uzasadnienie projektu Giedroycia, by stworzyć po demobilizacji armii polskiej we Włoszech wydawnictwo przeznaczone dla nowej polskiej emigracji politycznej oraz dla czytelników w samej Polsce, do których trzeba było próbować dotrzeć wbrew komunistycznej cenzurze. Jego argumenty okazały się dostatecznie mocne, by przekonać Czapskiego, Zofię i Zygmunta Hertzów i Herlinga-Grudzińskiego do wdania się w tę przygodę. Zdołały nawet przekonać samego generała Andersa, który, choć z oporami, wydał rozkaz powołujący Casa Editrice Lettere jako emanację Drugiego Korpusu i mianujący jej dyrektorem podporucznika Giedroycia. Nowo utworzone wydawnictwo dostało pożyczkę z Funduszu Żołnierza, który miał ułatwiać demobilizowanym wojskowym powrót do życia cywilnego. Pieniądze te pozwoliły kupić w Rzymie drukarnię i przystąpić do wydawania książek. W 1947 roku ukazał się pierwszy numer „Kultury” pod redakcją Jerzego Giedroycia i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Wkrótce jednak stało się jasne, że Włochy nie są najlepszym krajem dla polskiego emigracyjnego wydawnictwa. Ciśnienie Włoskiej Partii Komunistycznej oraz oddalenie i od Polski, i od Anglii, gdzie przecież znajdowało się największe skupisko polskich emigrantów, jak również względy bardziej przyziemne — wszystko to skłaniało do zmiany miejsca pobytu. Giedroyc i jego przyjaciele postanowili zatem przenieść się do Francji, gdzie poprzedził ich Czapski, i gdzie mogli nadal korzystać z uprawnień przysługujących im z tytułu pozostawiania w wojsku, które opuścili dopiero w 1948 roku. Wkrótce znaleźli dom do mieszkania i pracy. Był to na wpół opuszczony budynek przy 1, avenue Corneille, w Maisons-Laffitte, zarekwirowany przez wojsko polskie na magazyn żywności i materiałów. Wynajmowali ten dom, jak długo mogli; gdy w 1954 ro-

ku komorne wzrosło tak bardzo, że nie byli dłużej w stanie go płacić, kupili swój obecny dom.

Była to decyzja nie tylko życiowa. Również polityczna. Gdy za poradą zaprzyjaźnionego przedsiębiorcy, Edwarda Berenbaua, Żyda polskiego mieszkającego w Urugwaju, Giedroyc postanowił kupić nowy dom, trzeba było na ten cel znaleźć pieniądze. Nowy dom miał kosztować sześć milionów osiemset tysięcy starych franków, do czego dochodziły wszystkie wydatki związane z przeprowadzką; łącznie wynosiło to dziesięć milionów. W porównaniu z dzisiejszymi cenami domów w pobliżu Paryża, dziesięć tysięcy nowych franków zdaje się małą kwotą. Ale w 1954 roku była to wielka suma.

Dwa miliony „Kultura” dostała w darze: jeden od Edwarda Berenbaua, drugi od francuskiego przyjaciela, hrabiego do Boisgelin. Jej stały dobroczyńca, Stefan Zamoy-ski, załatwił trzy i pół miliona franków pożyczki z korzystnym oprocentowaniem. Niemal pięć milionów trzeba było jednak zebrać wśród czytelników. A działo się to w czasie, gdy „Kultura” wystąpiła wobec emigracji z radykalnymi propozycjami. Artykuł Mieroszewskiego *Polacy i... poganie*, ogłoszony w „Kulturze” z września 1954 r., oświeślał w sposób bezlitosny rosnący rozdział między oficjalną ideologią emigracji a zachowaniem poszczególnych emigrantów. Opisywał gettową mentalność tej pierwszej i podkreślał jej całkowitą izolację od zachodniej opinii publicznej oraz odpowiedzialność za pojawienie się kompleksu antyzachodniego wśród emigracyjnej inteligencji. Z czego wnosil: „z narodu getta musimy się stać narodem diaspory”³.

W praktyce znaczyło to, że polskie władze emigracyjne powinny oficjalnie uznać podwójne obywatelstwo emigrantów i przyjąć nowe określenie polityki polskiej, które

by wyznaczało ważne obowiązki Polakom będącym obywatelami innych krajów. Znaczyło także, że nastał czas, by instytucje państwa na uchodźstwie, „doprowadzone do granicy absurdu”⁴, zastąpić demokratyczną reprezentacją polskiej diaspory. Mieroszewski proponował zatem taką reorganizację Skarbu Narodowego, która by uzależniła go od wyborów i poddała całkowicie kontroli płatników. I wskazywał rolę, jaką polska diaspora winna zajmować wobec Polski: nie ma jej reprezentować; ma jej służyć. Pierwszy krok w tym kierunku — to przełamanie izolacji Polaków od Zachodu, zniszczenie polskiego getta. „Musimy wejść w społeczeństwa zachodnie, jeżeli chcemy wywierać formatywny wpływ polityczny i kulturalny”⁵.

Numer, który przyniósł *Polaków i... pogan*, zawierał również skierowany do czytelników apel Czapskiego, jak gdyby Giedroyc chciał pokazać, że prosi nie tylko o pieniądze, lecz również o uznanie swej linii politycznej. I tak istotnie było. Kolejny numer „Kultury” zawierał nowy artykuł Mieroszewskiego *Budujemy dom*.

Po stwierdzeniu, że „Kultura” jest w znacznym stopniu zbiorowym dziełem swych czytelników i że z tego tytułu jest wyjątkowym zjawiskiem w polskiej prasie, nie tylko emigracyjnej, Mieroszewski charakteryzował jej stanowisko polityczne. „Historia, pisał, zna tylko dwie kategorie emigrantów politycznych. Pierwsi opuszczają kraj, by za granicą walczyć o postęp i wolność. Drudzy opuszczają kraj, by na obczyźnie bezpłodnie marzyć o przywróceniu «status quo». Pierwsi reprezentują siły postępu, drudzy — reakcję i wsteczność. «Kultura» jest pismem tej pierwszej kategorii, a jej sukces jest dowodem, że w poważnym procencie nie jesteśmy «białą emigracją»”⁶.

Mieroszewski przechodził następnie do swoistości „Kul-

³ J. Mieroszewski, *Polacy i... poganie*, „Kultura” (dalej w skrócie: K.), 9/83, 1954. Tu cyt. za: J. Mieroszewski, *Final klasycznej Europy*, wyd. R. Habielski, Lublin 1997, s. 139.

⁴ Tamże, s. 144.

⁵ Tamże, s. 146.

⁶ J. Mieroszewski, *Budujemy dom*, K., 10/84, 1954, s. 5.

tury”. Podkreślał jej niezależność, to, że nie jest czymkolwiek organem: żadnej partii, żadnego „wodza”, żadnego „męża opatrnościowego”. Podkreślał też, że nie ma „programu”; termin, który oznacza jego zdaniem „balon frazesów unoszący się nad myślową pustynią”⁷. „Kultura” zastąpiła zamknięty i statyczny program — „Nie mamy gotowych rozwiązań”⁸ — otwartymi i dynamicznymi przekonaniami wypracowywanymi w trybie badań i dyskusji. Przekonaniami wyrażanymi w podejmowanych przez „Kulturę” próbach spowodowania rewizji postawy emigracji wobec Polski, jej poglądu na swą rolę i swe obowiązki, jej tradycyjnych zapatrywań na Europę z jednej strony i na Stany Zjednoczone z drugiej.

Mieroszewski uprzytamniał wreszcie czytelnikom „Kultury”, że jest ona czymś więcej niż czasopismem. Że jest również wydawnictwem, ośrodkiem badania spraw polskich, ważną biblioteką i archiwum emigracji. Po czym kończył apelem:

„Musimy kupić dom. Potrzeba nam 10 milionów franków.

Tak oto, nie bez lęku, rozpisujemy plebiscyt, którego wynik odpowie na pytanie, w jakiej mierze «Kultura» stała się sprawą ogółu emigracji. Przekonamy się, czy liczyć możemy tylko na potężnych przyjaciół-mecenasów, czy również na solidarne poparcie tysięcy Czytelników, dla których piszemy, redagujemy, wydajemy nasze pismo...”⁹.

Odpowiedź była jednoznaczna. Pod koniec 1954 roku „Kultura” przeniosła się do swego obecnego domu, a na początku 1960 roku długi zostały całkowicie spłacone. Ale czytelnicy nadal przysyłali pieniądze. W listopadzie 1960 r. Giedroyc stworzył zatem Fundusz „Kultury”, by pomagać ludziom, przyznawać niewielkie stypendia i „pokryć

inne wydatki nie związane z wydawnictwem”. Wraz z upływem czasu te ostatnie były coraz częściej przeznaczane na pomoc dla dysydentów, a później dla opozycji w Polsce.

W trakcie przeprowadzki do Francji również nazwa wydawnictwa uległa zmianie na Instytut Literacki, Institut Littéraire. Wydawanie książek zostało czasowo zawieszone; Polska była nieosiągalna z uwagi na coraz szersze odcinanie jej od Zachodu, a emigracja nie kupowała książek, gdyż musiała borykać się z trudnościami finansowymi powodowanymi koniecznością sprostania nowym warunkom, i ograniczała wydatki, jak tylko mogła. Wszystkie wysiłki skupiono na wydawaniu pisma, które zachowało swą nazwę „Kultura”; po krótkim okresie zakłóceń zaczęło ono ukazywać się regularnie w połowie każdego miesiąca z dwoma podwójnymi numerami w roku: w styczniu–lutym i w lipcu–sierpniu.

Zmienił się też skład niewielkiej ekipy kierowanej przez Giedroycia. Herling-Grudziński opuścił ją i udał się do Londynu; wznowił współpracę z „Kulturą” dopiero w 1956 roku, z Neapolu, gdzie zamieszkał ze względów rodzinnych. Doszło natomiast dwóch nowych współpracowników, z których żaden nie stał u początków imprezy i nie mieszkał w falansterze w Maisons-Laffitte. W czerwcu 1949 roku do Instytutu dołączył Juliusz Mieroszewski (1906–1976), do którego wrócimy. Tu wystarczy powiedzieć, że wkrótce stał się on głównym doradcą politycznym Giedroycia, jego najlepszym przyjacielem, londyńskim korespondentem i czołowym publicystą „Kultury”. W 1950 zyskała ona inne pióro, które odtąd pozostało z nią związane: Konstantego Jeleńskiego (1922–1987). Również o nim będzie jeszcze mowa.

W ciągu pierwszych lat każdy numer „Kultury” był czymś w rodzaju cudu, który nieoczekiwanie powtarzał się co miesiąc. Uzyskanie artykułów godnych druku nie sprawiało trudności; na emigracji było wielu autorów, niekiedy doskonałych, choć nie zawsze spełniali oni wymogi Gie-

⁷ Tamże, s. 7.

⁸ Tamże, s. 6.

⁹ Tamże, s. 12.

droycia. Główną przeszkodą był brak pieniędzy. Sprzedaż drukarni w Rzymie pozwoliła Instytutowi spłacić pożyczkę, jaką otrzymał z Funduszu Żołnierza, i dysponować niewielkim kapitałem wyjściowym. Uległ on jednak szybko wyczerpaniu. Giedroyc, obsesyjnie przywiązany do swej niezależności, nigdy nie chciał przyjąć pieniędzy, które by mogły ją w jakikolwiek sposób ograniczyć. Toteż zawsze odrzucał wszystkie oferty związane z jakimikolwiek warunkami bądź pochodzące ze źródeł nieznanych, niepewnych lub nie podlegających ujawnieniu.

Ta polityka niezależności za wszelką cenę pozwoliła „Kulturze” zachować pełną swobodę sądu, a zatem również wiarygodność w oczach czytelników, którzy, nawet gdy nie zgadzali się z jej stanowiskiem, zawsze wiedzieli, że określa je wyłącznie redaktor naczelny, nie zaś naciski zewnętrzne. Ale polityka ta zmuszała również „Kulturę”, zwłaszcza w pierwszych latach, do codziennego uprawiania tego, co Giedroyc określał jako prestidigitatorstwo finansowe, by mieć dość pieniędzy na papier, druk, honoraria, pensje pracowników ustalone na poziomie francuskiego minimum płacowego, wydatki związane z utrzymaniem domu. Trzeba było geniuszu Zofii Hertz, by codziennie znajdować rozwiązanie problemu, który zazwyczaj był równoważny kwadraturze koła.

Pieniądze pochodziły od przyjaciół i od czytelników, którzy już byli lub stawali się przyjaciółmi. Niektóre numery były finansowane wprost. Jeden ufundował przyjaciel „Kultury”, Stefan Zamoyski, który pomógł jej również w innych okolicznościach. Inny — sławny pianista Witold Małcużyński. Legion Młodych Polek z Chicago przysłał kilkakrotnie pieniądze zebrane podczas organizowanych na ten cel balów. Pieniądze na finansowanie numerów „Kultury” przysłały też: polski program radiowy z Detroit, polskie kluby artystyczne w Stanach Zjednoczonych, żołnierze polscy służący w amerykańskich wojskach okupacyjnych w Niemczech. W 1949 roku Czapski odbył po-

dróż kwestarską po Stanach Zjednoczonych, która przyniosła 8 tysięcy dolarów, co wtedy było dość okazałą sumą. Z biegiem czasu rosnąca liczba prenumeratorów pozwoliła „Kulturze” na budżet napięty wprawdzie, ale jednak zrównoważony. Zajęła ona bowiem wyjątkowe miejsce jako najważniejsze polskie czasopismo za granicą oraz jako główny środek porozumienia rozproszonych polskich zbiorowości i jednostek, które tylko z jej łamów mogły dowiedzieć się o sobie nawzajem. W swym szczytowym okresie „Kultura” sprzedawała około 7 tysięcy egzemplarzy i miała prenumeratorów w niemal wszystkich krajach niekomunistycznych.

Wtedy właśnie, w 1953 roku, Giedroyc postanowił wznowić wydawanie książek, co nie przynosiło zysku, nie tylko z uwagi na ograniczenie rynku. Również dlatego, że polityka wydawnicza Giedroycia nie uznawała kompromisów. Arcydzieło Gombrowicza, *Trans-Atlantyk*, ukazało się w postaci książkowej, choć liczba osób skłonnych do kupienia go była tak nikła, że gdy jeden egzemplarz został sprzedany w księgarni polskiej w Paryżu, jej właściciel zadzwonił do „Kultury”, by podzielić się tą sensacyjną nowiną. Przykład jest skrajny, prawdą pozostaje jednak, że książki sprzedawały się powoli i w niewielkich nakładach. 15 tysięcy egzemplarzy *Doktora Żywago* Pasternaka było wyjątkiem, który nigdy się nie powtórzył.

Od pierwszych lat istnienia Instytutu jego budżet był też poważnie obciążony szczególnym rodzajem wydatków, nie znanych żadnemu normalnemu wydawnictwu, ale którym Giedroyc przypisywał najwyższe znaczenie. Brały się one z wysyłania do Polski na koszt Instytutu odbitek ważniejszych artykułów „Kultury” drukowanych na papierze biblijnym, a później również książek. Szmuglowali je polscy marynarze, którzy nawiązali kontakty z Instytutem. Wysyłano je też pocztą na adresy brane z książek telefonicznych. Jedną z nich, *Zdobycie władzy* Miłosza, wysłano nawet pod fałszywą okładką jako *Wyzwolenie* fikcyjnego Je-

remiego Kornagi; zdobył ją portret Rokossowskiego, a jako wydawca figurowało Stowarzyszenie Przyjaciół Wandy Wasilewskiej w Paryżu. Do tych nadzwyczajnych, ale nieuchronnych wydatków doszły inne, spowodowane wysyłaniem do Polski paczek z żywnością, lekarstwami i ubraniami dla osób prześladowanych, dla rodzin więźniów politycznych, dla wyrzuconych z pracy, usuwanych z mieszkań i pozbawionych wszelkich środków utrzymania. W szczytowym okresie było ich co najmniej trzydzieści.

Z tego, co zostało już powiedziane, widać, że Instytut Literacki nie był zwyczajnym wydawnictwem. Ale był wydawnictwem przede wszystkim. Zarówno z gospodarczego, jak z politycznego punktu widzenia jego najważniejszą działalnością było wydawanie „Kultury”. Wymagało to nieustannej dbałości o utrzymanie wysokiego poziomu literackiego i intelektualnego, który osiągnięto od pierwszego numeru; o nawiązywanie do zainteresowań czytelników, bez utraty wszakże z pola widzenia konieczności informowania ich o zdarzeniach zdolnych wywrzeć wpływ na ich losy, choćby nie byli tego świadomi; o poszerzanie ich horyzontów, a nawet szokowanie ich krytyką poglądów uważanych za raz na zawsze ustalone lub gustów uznanych za jedynie słuszne. Nie było to łatwe zajęcie. Wydawanie dobrego miesięcznika jest zawsze trudne. A „Kultura” ukazywała się przecież w całkiem osobliwych warunkach.

Pomijając niewielki zespół, który żył i pracował w Maisons-Laffitte: Józefa Czapskiego i jego siostrę Marię, Zofię i Zygmunta Hertzów oraz Henryka Giedroycia, który dołączył w 1952 roku, ale mieszkał gdzie indziej — autorzy i współpracownicy Giedroycia byli rozsiani w Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Ameryce Łacińskiej. Jeleński był jedynym, który mieszkał w Paryżu. W owych czasach, gdy telefon był mniej rozpowszechniony, a rozmowy telefoniczne kosztowne, listy stanowiły zasadniczy, jeśli nie jedyny środek porozumiewania się osób żyjących z dala od siebie. Ciągłe jeszcze nie wiemy,

ile listów Giedroyc napisał — i do ilu osób — w ciągu pięćdziesięciu lat wydawania „Kultury”. Na pewno więcej niż 10 tysięcy. Ponieważ ma chwalebny zwyczaj pisania na maszynie i zachowywania kopii wszystkich swych listów wraz z listami, które dostaje, jego korespondencja jest dziś największym skarbem archiwum Instytutu i głównym źródłem jego historii.

W tym miejscu wypada wymienić materiały użyte do przygotowania tych wykładów. Pierwszym jest autobiografia Giedroycia uzupełniona wywiadem Izy Chruślińskiej z Zofią Hertz¹⁰. Do tego dochodzą dwa już ogłoszone tomy korespondencji Giedroycia: z Gombrowiczem i z Jeleńskim¹¹. Inni mieszkańcy domu „Kultury” też zresztą pisali obfite i ciekawe listy, jak o tym świadczą te, które Zygmunt Hertz wysyłał do Czesława Miłosza¹².

Moim głównym źródłem jest tu jednak korespondencja Giedroycia z Mieroszewskim: około 3300 listów, jakie wymienili między rokiem 1949 a śmiercią Mieroszewskiego w roku 1976. Listy te pisane przeciętnie trzy lub cztery razy w tygodniu do końca lat pięćdziesiątych, co najmniej dwa razy w tygodniu do końca lat sześćdziesiątych, a później co najmniej raz w tygodniu, gdyż korzystanie z telefonu zmniejszyło ich liczbę, są swego rodzaju dziennikiem „Kultury”, a zarazem intelektualnym, politycznym i w ja-

¹⁰ Por. Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował K. Pomian, Warszawa 1994, wyd. 2 uzupełnione — 1996. Tu cytowana wg wyd. Warszawa 1999. — Iza Chruślińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz*, Warszawa 1994.

¹¹ Por. Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, wyd. Andrzej S. Kowalczyk, Warszawa 1993. — Jerzy Giedroyc, Konstanty A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, wyd. Wojciech Karpiński, Warszawa 1995. (Ostatnio doszły: Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, wyd. Jan Zieliński, Warszawa 1997 i Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, wyd. A. S. Kowalczyk, Warszawa 1998, 2 tomy).

¹² Por. Zygmunt Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952–1979*, wyd. Renata Gorczyńska, Paryż 1992.

kimś zakresie również osobistym dziennikiem obu autorów¹³.

Przeczytałem nadto korespondencję Giedroycia z Janem Nowakiem, od 1952 dyrektorem sekcji polskiej Radia Wolna Europa w Monachium i jedną z najważniejszych postaci polskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej. Oraz korespondencję Giedroycia ze Stefanem Kisielewskim, który zaczął współpracę z nim jeszcze przed wojną i który, choć żył w PRL, gdzie był nawet posłem na Sejm w latach 1957–1965, ogłosił po 1956 wiele artykułów w „Kulturze” bądź pod własnym nazwiskiem, bądź pod jednym ze swych licznych pseudonimów.

Losy Polski, losy Europy

Po tym zarysie historii „Kultury” w ciągu pierwszych dziesięciu lat jej istnienia warto przyrzeć się bliżej stanowiowi zajmowanemu przez nią wobec problemów powojennego świata. Dla wszystkich osób związanych z Instytutem, jak dla całej polskiej emigracji politycznej, zasadniczą cechą tego świata było to, że nie zostawiał miejsca na niepodległą Polskę. To zaś było następstwem istnienia Związku Sowieckiego oraz ideologii komunistycznej, która wcielała się w jego instytucje i wytyczała kierunek jego polityki wewnętrznej i zagranicznej. W tym punkcie jednak „Kultura” różniła się od pokaźnego odłamu polskiej emigracji, zwłaszcza od starszego pokolenia polityków, zawodowych wojskowych, dziennikarzy i intelektualistów.

Od pierwszego numeru „Kultura” uważała bowiem losy Polski za nieodłączne od losów Europy. Jak to sformułował Mieroszewski w jednym ze swych najważniejszych artykułów: „Państwo na emigracji» wyznaje od początku fałszy-

wą wiarę, że naszym jedynym celem jest niepodległość. Bismarckowska teza głosząca, że absolutna suwerenność jest ostatecznym celem dążeń narodowych, jest dziś anachronizmem. «Kultura» była zawsze wierna pogładowi, że wolność jest celem nadrzędnym, któremu wszystko musi być podporządkowane. Pierwsze pytanie w politycznym abecadle brzmi nie — czy Polska będzie niepodległa?, lecz — czy świat jutra będzie światem wolnych ludzi? To jest owo kardynalne «A», od którego wszystko zależy. Niepodległość Polski (między Rosją a Niemcami) rozpatrywana w oderwaniu od problemu radykalnej przebudowy systemu międzynarodowego, a w szczególności — systemu europejskiego — jest mrzonką nie z tego świata”¹⁴.

„Kultura” zajmowała takie stanowisko, ponieważ dla jej wydawców i autorów historia Polski i kultura polska stanowiły część historii Europy i kultury europejskiej. Nie było to tak oczywiste, jak się zdaje. Nurt endecki w polskiej myśli politycznej i w polskiej polityce, skądinąd całkiem wpływowy wśród emigrantów, uważał Europę po prostu za fikcję, o ile nie była utożsamiona z chrześcijaństwem, utożsamionym z kolei z Kościołem katolickim — z nacjonalistycznego punktu widzenia jedyną wspólnotą ponadnarodową, do której Polska należy i w której odgrywa rolę *antemurale christianitatis*. Ale „Kultura” nie sprowadzała Europy do chrześcijaństwa, tym mniej — do katolicyzmu.

Jest znamienne, że duchowymi patronami nowego pisma umieszczonymi na czele pierwszego numeru byli Benedetto Croce i Paul Valéry. Croce występuje tu przede wszystkim jako autor *Storia di Europa nel secolo decimono* (1932). Książka ta, obrona wolności i jedności europejskiej, a zarazem manifest antytotitalarny, stała się natychmiast sławna. Wywarła silny wpływ na włoski anty-

¹³ Por. Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, wyd. K. Pomian i Jacek Krawczyk, Warszawa 1999, 2 tomy.

¹⁴ J. Mieroszewski, *Polacy i... poganie*, K. 9/83, 1954; J. Mieroszewski, *Finał klasycznej Europy*, s. 147.

faszyzm i dostarczyła inspiracji kształtującemu się po wojnie ruchowi europejskiemu. Valéry, ze swej strony, reprezentuje ideę Europy jako nieodłączną od klasycznej tradycji śródziemnomorskiej, a zarazem od wartości świeckich i republikańskich, od jasności i racjonalności; słowem — ideę Europy przesyconą duchem kartezjańskim. Później Mieroszewski jako oficjalny rzecznik „Kultury” utożsamia Europę z połączeniem rozwiniętej gospodarki rynkowej, demokracji politycznej i państwa dobrobytu. Wszystko to było biegunowo przeciwstawne stanowisku nacjonalistycznemu i katolickiemu zajmowanemu przez większość polskiej prasy emigracyjnej.

To nastawienie proeuropejskie wyrażało się w próbach „Kultury”, by stać się trybuną federalizmu europejskiego, zwłaszcza zaś tych, którzy próbowali głosić idee federacji wschodnio- lub środkowoeuropejskiej. „Kultura” widziała w niej bowiem jedyne rozwiązanie problemu narzuconego Polsce przez jej umiejscowienie między Niemcami a Rosją. Stąd usiłowania Giedroycia, by mieć w „Kulturze” artykuły czołowych emigracyjnych polityków z różnych krajów tego regionu, w szczególności — z Czech, Węgier, Litwy i Ukrainy, rzeczników krajów graniczących z Polską, z którą miały konflikty dotyczące granic, traktowania mniejszości narodowych, odpowiedzialności za dawne winy. Wyniki rzadko odpowiadały oczekiwaniom.

Uchodźcy z Europy Środkowej i Wschodniej przywieźli ze sobą do swych nowych siedzib cały umysłowy bagaż wzajemnych wyrzutów i nieufności, jeśli nie wręcz zastożale, głęboko zakorzenione nienawiści do dawnych sąsiadów. Żaden polityk nie chciał być oskarżony o zdradę interesów narodowych z powodu zadawania się z przedstawicielami kraju uważanego za wrogi. Zamysł „Kultury” wyzerpał się zatem w ogłoszeniu kilku artykułów, bez żadnych trwałych skutków. Taki był w ogóle smutny los ruchu federalistycznego — co się tyczy Europy Środkowej i Wschodniej.

W liście z 8 lutego 1952 Mieroszewski złożył Giedroycowi sprawozdanie z rozmowy na ten temat z Edwardem Raczyńskim (1891–1993), przed wojną i w czasie wojny ambasadorem RP w Wielkiej Brytanii, a w ostatnich latach życia — prezydentem Rzeczypospolitej na Uchodźstwie: „Diagnoza Raczyńskiego jest koszmarna. Twierdzi on, że program federacyjny leży w gruzach. Nikt z nami nie chce rozmawiać. Wszyscy orientują się na Niemców, którzy rozmawiają ze wszystkimi. Czesi mówią wprost, że nie mogą z nami się wiązać, by nie drażnić Niemców. Węgrzy dogadali się z Niemcami na temat dunajskiej federacji (toż samo z Rumunami). Wszyscy nasi ewentualni kontrahenci rozmawiają wprost z Niemcami, licząc się z tym, że przyszła federacja europejska będzie dominowana przez Niemców. Wszyscy też uważają, że nasze granice na Odrze i Nysie — czynią z Polaków antyniemieckie tabu, którego lepiej nie tykać. Mało tego — nawet państwa bałtyckie, które tradycyjnie uważały niepodległą Polskę za gwarancję swej własnej niepodległości — obecnie rozmawiają wyłącznie z Niemcami [...]”¹⁵.

W ciągu pierwszych dwudziestu lat powojennych „Kultura” zajmowała wyjątkowe stanowisko w opinii polskiej, ponieważ obce jej były gwałtowne uczucia antyniemieckie. Wynikało to z faktu, że wszyscy członkowie zespołu spędzili lata wojny na Zachodzie. Wielu z nich walczyło z Niemcami na froncie. Ale żaden nie doświadczył okropności okupacji niemieckiej w Polsce: egzekucji publicznych, likwidacji polskich elit, obozów koncentracyjnych, zagłady Żydów i, na zakończenie, metodycznego zniszczenia Warszawy po klęsce powstania. Giedroyc i Mieroszewski byli zresztą zgodnie przekonani, że Europa nie może być zjednoczona bez ponownego zjednoczenia Niemiec. Mieroszewski, dla którego niemiecki był drugim językiem i który spędził przed wojną wiele lat w Niemczech jako ko-

¹⁵ J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, t. I, s. 184.

respondent „IKC”, śledził zatem z uwagą ewolucję opinii niemieckiej i niemieckiej polityki. A Giedroyc starał się nawiązać stosunki z Niemcami zainteresowanymi problematyką Europy Środkowej i Wschodniej, aby móc przedstawić polski punkt widzenia niemieckiej opinii publicznej.

Już w 1946 roku Giedroyc zaproponował Jerzemu Stempowskiemu, by odwiedził Niemcy i spisał swe wrażenia; dziennik podróży do Niemiec został następnie wydany przez Casa Editrice Lettere po polsku i po włosku. Od końca lat czterdziestych Giedroyc odbył wiele podróży do Niemiec i zdołał nawiązać stosunki z niektórymi niemieckimi historykami Polski i znawcami spraw polskich. Wcześniej powziął też zamiar wydania specjalnego numeru „Kultury” z wyborem artykułów szczególnie interesujących dla czytelników niemieckich; z uwagi na trudności materialne udało się to urzeczywistnić dopiero w latach siedemdziesiątych. Ale wiele artykułów „Kultury” ukazało się wcześniej w przekładach w prasie niemieckiej; było tak zwłaszcza z artykułami Mieroszewskiego o sprawach niemieckich i o stosunkach polsko-niemieckich. Mieroszewski pisał niekiedy wprost do pism niemieckich; ogłosił też w Niemczech książkę o perspektywach przyszłej obecności Niemiec na wschodzie Europy.

A zarazem usiłował przekonać polską opinię publiczną, że zjednoczenie Europy i przywrócenie niepodległej i demokratycznej Polski — przy czym to drugie zależało jego zdaniem od pierwszego — nie może dokonać się bez ponownego zjednoczenia Niemiec. Już w 1956 roku, wcześniej niż ktokolwiek, przynajmniej w Polsce, doszedł do wniosku, że Republika Federalna Niemiec nie uniknie tego, co zostało później określone mianem *Ostpolitik*, tzn. że będzie musiała uznać Niemiecką Republikę Demokratyczną i rozwinąć z nią wymianę na różnych poziomach, wzmacniając równolegle stosunki z wszystkimi krajami Europy Środkowej i Wschodniej, zwłaszcza zaś — z Polską, z którą jest to najtrudniejsze.

Perspektywa taka wymagała od Polaków zdolności usunięcia niejako na bok ich, skądinąd całkowicie zasadnych, wyrzutów dotyczących przeszłości, i gotowości podjęcia z nowymi Niemcami dyskusji o przyszłości stosunków między oboma krajami i o przyszłości Europy w ogóle. Gdy Mieroszewski zaczął głosić takie poglądy, były one dalekie od popularności w opinii polskiej, zwłaszcza w samej Polsce, ale stan umysłów powoli ulegał zmianie w kierunku przezeń wskazanym, w jakiejś mierze pod wpływem jego artykułów uważnie czytanych przez publicystów i polityków. W historii porozumienia polsko-niemieckiego po drugiej wojnie światowej „Kultura”, a w szczególności — Mieroszewski, choć mniej widoczny niż polscy biskupi, odegrał jednak po polskiej stronie rolę najzupełniej zasadniczą.

Wyjątkowa trudność stosunków polsko-niemieckich brała się nie tylko z okrucieństwa okupacji niemieckiej w Polsce w latach 1939–1945. Była też następstwem zachowania Polaków i władz polskich w latach 1945–1946 podczas wysiedlania ludności niemieckiej z obszarów, które stały się polskie na mocy umów z Poczdamu. Wysiedleni Niemcy, którzy czuli się ofiarami Polaków i wśród których były prawdziwe ofiary powojennego bezprawia, wywierali silny nacisk na środowiska polityczne młodej Republiki Federalnej. Stosunki z nią Polaków były zatem obciążone zarówno tym, co zaszło w niedawnej przeszłości, wciąż żywej w pamięci obu narodów, jak nową granicą polsko-niemiecką nie do przyjęcia dla wciąż wpływowych odłamów niemieckiej opinii publicznej.

Ale „Kultura” jak opinia polska — niemal jednomyślna w tej sprawie zarówno w kraju, jak na emigracji — uważała, że granica na Odrze i Nysie nie może być przedmiotem rokowań. Musiała zatem tłumaczyć niemieckim rozmówcom, że poważny odsetek Polaków składa się z osób przesiedlonych i że uznanie wschodnich i zachodnich granic Polski przez wszystkie zainteresowane strony jest

koniecznym warunkiem pokoju i stabilności w Europie. Takie było niezmiennie stanowisko Mieroszewskiego. Nie ułatwiało ono bynajmniej stosunków „Kultury” z Niemcami, choć nigdy nie spowodowało ich zerwania. Ale jego konsekwencje bez wątpienia poważnie utrudniały stosunki „Kultury” ze znacznym odłamek jej własnych czytelników.

Jakoż uznanie granic Polski określonych w umowie poczdamskiej pociągało za sobą akceptację utraty przedwojennych polskich ziem wschodnich, należących od XIV wieku po części do Wielkiego Księstwa Litewskiego, a po części do Królestwa Polskiego, w tym — dwóch miast, które wyróżniały się jako stolice kultury polskiej: Lwowa i Wilna. A przecież większość powojennej emigracji polskiej wywodziła się właśnie z tych stron. Nic dziwnego więc, że było jej niezwykle trudno pogodzić się z myślą, że ich miejsca urodzenia pozostaną na zawsze poza granicami Polski. Zajęcie stanowiska sprzecznego z tymi bardzo silnymi uczuciami było dla „Kultury” poważnym ryzykiem: zależała od swych czytelników i masowe wypowiedzenie przez nich prenumeraty mogłoby zagrozić samemu jej istnieniu. Giedroyc był tego w pełni świadom. Wiedział, że jego wielki poprzednik i wzór, „Kołokoł”, upadł, gdyż czytelnicy odmówili mu aprobaty, kiedy Hercen wyraził solidarność z powstaniem polskim w 1863 roku. Niemniej jednak podjął ryzyko.

W 1951 książkę Józef Z. Majewski przysłał list, w którym wyrażał zdumienie przemówieniami, jakie usłyszał na Zjeździe Polonii Amerykańskiej w Atlantic City, gdzie znani politycy emigracyjni domagali się granicy na Odrze i Nysie, a zarazem Lwowa, Wilna i Prus Wschodnich z Królewcem. Autor listu uważał, że takie myślenie zachciankowe jest tym bardziej niebezpieczne, że czyni niepodobieństwem jakiegokolwiek porozumienie Polaków z Ukraińcami i Litwinami. Stwierdzał przeto, że Polacy muszą czynić wszystko, co w ich mocy, by utrzymać ziemie zachodnie,

ale że zarazem muszą przyjąć raz na zawsze, że Lwów jest miastem ukraińskim, a Wilno — litewskim. „Kultura” ogłosiła list¹⁶ i dodała komentarz, który wyrażał stanowisko zespołu redakcyjnego. Stwierdzał on, że emigracja nie ma żadnych tytułów do dyskusowania z kimkolwiek o zarysie granic Polski; tylko rząd niepodległej Polski będzie miał prawo po temu. Polacy muszą wszelako zrozumieć, że ich losy są nieodłączne od losów Ukraińców i Litwinów, i że nie mogą bronić swych roszczeń do granicy na Odrze i Nysie bez uznania zasadności roszczeń swych sąsiadów do Lwowa i Wilna.

Liczba wymówionych prenumerat nie była tak wielka, jak można się było obawiać. Uczuciowy związek z miejscem urodzenia nie wykluczał rozumowego podejścia do wymagań geopolitycznych, którym Polska musi sprostać. „Kultura” wzmocniła nawet swą pozycję, ponieważ odtąd było jasne, że może polegać na swych czytelnikach nawet wtedy, gdy mówi im prawdy niemiłe i bardzo gorzkie. Zajmując wyraźne stanowisko w kwestii wschodnich granic Polski, „Kultura” tworzyła nadto warunki przyjaznych stosunków z emigracją ukraińską. Dla Giedroycia, który od swych lat studenckich był uwikłany w zdobycie dla narodowych aspiracji Ukraińców uznania opinii polskiej i państwa polskiego, było to osobistym zwycięstwem: pierwszym krokiem ku spełnieniu jego dawnego marzenia o harmonijnym współżyciu niepodległej Polski z niepodległą Ukrainą.

Pogłębienie się stosunków „Kultury” z emigracją ukraińską doprowadziło do współpracy z nią wielu autorów ukraińskich i do ogłoszenia przez Instytut Literacki w 1962 r. po ukraińsku dużej antologii ukraińskiej literatury lat dwudziestych ułożonej przez Ławrynienkę i zatytułowanej *Rozstriliane widroźdenie*. Była to operacja znamienita dla stylu Giedroycia: zarazem katastrofa finansowa i sukces polityczny. Antologia zdołała dotrzeć na Ukrainę i wywar-

¹⁶ Obecnie w: J. Giedroyc, *Autobiografia...*, s. 304–306.

la podobno silny wpływ na literaturę ukraińską lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Później to właśnie Giedroyc uzyskał od najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, którzy opuścili Związek Sowiecki w latach siedemdziesiątych, publiczne opowiedzenie się za niepodległością Ukrainy. Po dziś dzień działa on na rzecz poprawy stosunków polsko-ukraińskich, ponieważ, jego zdaniem, nigdy nie są one tak dobre, jak być powinny.

Nie mogę tu opisywać szczegółowo wszystkich usiłowań „Kultury”, by polepszyć stosunki między Polakami z jednej strony a Czechami i Słowakami — z drugiej. Nie mogę też wnikać w próby osiągnięcia porozumienia z emigracją litewską. I jedne, i drugie skończyły się raczej niepowodzeniem, choć miały pewne ograniczone skutki pozytywne. Pozostawiam też na uboczu stosunki z Rosjanami. Ogólny wniosek jest już i tak oczywisty: dla „Kultury” wizja niepodległej i demokratycznej Polski w zjednoczonej Europie nie była tylko pretekstem do retorycznych uniesień. Miesiąc po miesiącu tłumaczono ją na język polityki wydawniczej, która była polityką po prostu w tej mierze, w jakiej kształtowała postawy umysłowe i uczuciowe przede wszystkim czytelników polskich, ale również wszystkich, którzy śledzili ją w Niemczech, w różnych ośrodkach emigracji środkowo- i wschodnioeuropejskich oraz w krajach, z których pochodziły, a do których „Kultura” jakimiś drogami przenikała. Miesiąc po miesiącu Giedroyc i Mieroszewski usiłowali wytłumaczyć swym rodakom, że wszelkie wypowiedzi na temat zjednoczenia europejskiego pozostają pustym dźwiękiem, o ile nie podejmuje się przede wszystkim palących problemów stosunków własnego kraju z jego sąsiadami. I o ile nie ma się odwagi uznać zasadności punktu widzenia narodów innych niż własny, a nawet przyjąć, jeśli trzeba, że punkt widzenia własnego narodu może być mylny. Ta lekcja pozostaje aktualna.

Modernizacja polskiej umysłowości: pisarze jako wychowawcy

W ciągu niemal półwiecza swego istnienia „Kultura” ogłosiła teksty około 2500 autorów. Wielu z nich napisało tylko jeden list do redakcji. Inni przysyłali artykuły od przypadku do przypadku. Jeszcze inni byli obecni w każdym numerze przez wiele lat. Łącznie reprezentują oni co najmniej pięć pokoleń; najstarsi urodzili się w latach osiemdziesiątych XIX w., najmłodsi — w latach sześćdziesiątych XX w., jeśli nie później. Reprezentują też wszystkie stanowiska, prądy i odczucia, jakie uzewnętrzniały się od zakończenia wojny w samej Polsce i na emigracji, z wyjątkiem dwóch: na lewicy ortodoksyjnego komunizmu wiernego Moskwie, i radykalnego, katolickiego nacjonalizmu na prawicy. W tych granicach Giedroyc był skłonny ogłaszać najróżniejsze poglądy, choćby nawet przeczyły sobie nawzajem, byle tylko były wyrażone z talentem.

Otwartość „Kultury” i jej pluralizm, które należą do jej cech najbardziej charakterystycznych, przejawiają się nie tylko w podejściu do polityki i ideologii. Obejmują też stanowiska estetyczne zajmowane przez jej autorów i uprawiane przez nich rodzaje literackie. Artykuły, komentarze, polemiki, sprawozdania, kroniki, przeglądy, recenzje, nekrologi, szkice, dzienniki, opowiadania, powieści, sztuki, nie zapominając o listach do redakcji: czytelnik „Kultury” znajdował w niej to wszystko, jeśli nie w każdym numerze, to w każdym roczniku. Literatura zwłaszcza zajmowała

wyróżnione miejsce zarówno w „Kulturze”, jak w życiu duchowym samego Giedroycia. Jest to jedyna forma sztuki, którą wchłaniał od dziecka z przyjemnością. Jego wrażliwość ukształtowały głównie polska literatura i krytyka literacka końca XIX i pierwszych dziesięcioleci naszego wieku, nadto zaś rosyjscy powieściopisarze i poeci; przez cały okres międzywojenny utrzymywał bliskie stosunki z rosyjskimi kołami emigracyjnymi w Warszawie. A o jego smaku literackim zdecydowały zwłaszcza nowoczesna powieść i nowoczesny dramat uprawiane w Polsce w latach 1920–1930.

Choć Polska miała i nadal ma wielu sławnych muzyków, nie jest krajem, który by umieszczał muzykę, jak Niemcy, na szczycie hierarchii sztuk. I choć miała, i nadal ma wielu wybitnych plastyków, nie otaczała ich nigdy szacunkiem publicznym tak wysokim, jak ten, który otacza ich kolegów we Francji. Literatura, zwłaszcza poezja, przenika natomiast kulturę polską w stopniu tak wielkim, że jest z nią niemal tożsama. Pierwszeństwo przypisywane przez Giedroycia literaturze jest więc równie polskie, co szacunek, jakim ją darzy. Nie obejmuje on jednak samych pisarzy. Jego opinia o nich jako osobach jest daleka od zachwyty. Sąd Giedroycia o dziele literackim nie zależy jednak od tego, co myśli o jego autorze. Ma bowiem rzadką i niekiedy zadziwiającą umiejętność odłączania jednego od drugiego. W jednym z listów zapelniał gęstą stroną nicowaniem poglądów politycznych pewnego znanego pisarza emigracyjnego, który przysłał mu rękopis nowej książki. I zakończył: ale w kategoriach literackich facet ma wielki talent. Będzie drukował. I tak postępował wielokrotnie.

Postawa Giedroycia wobec pisarzy była również postawą polityka, którym nigdy nie przestawał być. W listach do Mieroszewskiego podkreślał stale i wciąż, że publikowanie książek jest dla niego narzędziem w służbie polityki. W lipcu 1955 doszło do znamienego spięcia dotyczącego pisarzy. Mieroszewski stwierdził bowiem, że w przypadku

wyzwolenia Polski „Kultura” musi wykluczyć z listy potencjalnych autorów wszystkich przedstawicieli „inteligencji z przełamanym kręgosłupem”, tj. wszystkich tych, którzy współpracowali z władzami komunistycznymi. Oto odpowiedź Giedroycia:

„[...] z Pana ocenami w liście nie bardzo się zgadzam. Inteligencja, a ściślej mówiąc intelektualści, tj. pisarze etc., niezależnie od pochodzenia i warstwy są zawsze oportunistami i z tym się trzeba liczyć. Dlatego też, zakładając, że może być taki moment, że wrócimy do kraju i będziemy wielkim pismem krajowym, wszystkim talentom (prawdziwym talentom) dam schronienie w «Kulturze» i będę broił przed Stahlem czy Piestrzyńskim, którzy zapewne będą ich sadzali do kryminału i robili pokazowe procesy. We Francji Claudel i Montherlant, a właściwie i Mauriac współpracowali z Niemcami i to im nie przeszkadza być wielkimi pisarzami francuskimi. Gałczyński robił niebywale świństwa [ale] był, jak i Tuwim, wielkim poetą. Inteligencja pochodzenia chłopskiego specjalnie, mniej robotniczego, jest szalenie arrywistyczna. Widzę to np. po literaturze sowieckiej. Charaktery były lub są tylko u starych niedobitków. Tu trzeba być bardziej elastycznym i bardziej pobłażliwym, bo nie będziemy mieli w ogóle literatury. Do tej pory pasjonuję się Brzozowskim, choć jego współpraca z Ochraną nie ulega przecieży wątpliwości. Mówi przeze mnie nie tylko rozczarowanie czy pobłażliwa pogardliwość starszego pana, tylko zrozumienie, jaką wagę propagandową i polityczną się zdobywa, jeśli tych ludzi ma się za sobą. To rozumieją doskonale bolszewicy, którzy chyba też nie mają wielkich złudzeń do tych «inżynierów dusz», ale purytańskie kanony stosują do członków partii, a nie do literatów. I tu powinniśmy ich naśladować”¹.

¹ List z 28 lipca 1955; J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, t. II, s. 122.

Powodowany zarówno miłością do literatury, jak przekonaniem, że może ona być potężnym narzędziem w służbie polityki, Giedroyc przystąpił natychmiast w 1945 roku do odtwarzania swych przedwojennych stosunków z pisarzami i do szukania nowych talentów, których utwory mógłby publikować w Casa Editrice Lettere, a później w „Kulturze” i w Instytucie Literackim o jakże wymownej nazwie. Udało mu się ostatecznie zgromadzić kilkunastu pisarzy, których można z perspektywy czasu określić mianem pisarzy „Kultury” o tyle przynajmniej, o ile często gościli na jej łamach i o ile ich ważniejsze, jeśli nie wszystkie dzieła ukazały się w Instytucie Literackim. Jest nawet wysoce prawdopodobne, że gdyby Instytut nie istniał, niektóre z tych dzieł nigdy by nie powstały.

Pisarze „Kultury”

Pasją Giedroycia było zawsze znajdowanie i pozyskiwanie dla „Kultury” młodych i jeszcze nieznanych autorów, po których można było oczekiwać, że zajmą z czasem ważne miejsce w literaturze. Jakoż udało mu się włączyć do zespołu pisarzy „Kultury” wielu autorów urodzonych po pierwszej wojnie światowej; z uwagi na brak miejsca zatrzymam się tylko przy dwóch: przy Gustawie Herlingu-Grudzińskim i przy Konstantym Jeleńskim. Pierwszy, jak widzieliśmy, uczestniczył w stworzeniu „Kultury”; później zamieszkał w Londynie, który opuścił, by przenieść się do Monachium, gdzie pracował w sekcji polskiej RWE i skąd przeniósł się do Neapolu; żyje tam po dziś dzień². W 1951 roku ogłosił w przekładzie angielskim *Inny Świat*: relację z swego uwięzienia w sowieckim łagrze, jedną z najbardziej poruszających książek na ten temat, która

² Gustaw Herling-Grudziński zmarł 4 lipca 2000 r.

ukazała się po polsku w 1953 roku i została szybko przełożona na wiele języków z uwagi na jej wartość świadectwa; jej wysoką rangę literacką dostrzeżono znacznie później.

W 1956 roku Herling wznowił współpracę z „Kulturą”, gdzie objął dział prozy; do 1996 roku był też obecny jako autor niemal w każdym numerze. Ogłaszał tam od 1972 roku *Dziennik pisany nocą* oraz wiele opowiadań, które później ukazały się w formie książkowej w Instytucie Literackim. Herling musiał ciężko walczyć o swoją sławę pisarską. Dopiero w ciągu ostatnich piętnastu lat osiągnął w literaturze polskiej, a teraz również światowej, pozycję, która należała mu się od dawna: mistrza gęstego i dramatycznego opowiadania, który umie wywoływać potężne efekty powściągliwym stylem i oszczędnymi środkami.

Drugi wspomniany przeze mnie pisarz, Konstanty Jeleński, zaczął swą karierę literacką jako autor recenzji, zwłaszcza poetyckich, w piśmie polskiej brygady pancernej, w której służył. Po zakończeniu wojny spotkał Czapskiego, który polecił go Giedroycowi jako obiecującego krytyka. Ale Jeleński pracował w Neapolu, a później w Rzymie jako urzędnik organizacji międzynarodowych i jego obowiązki zostawiały mu mało czasu na kultywowanie upodobań literackich. Pod wpływem namów Giedroycia zaczął jednak pisać do „Kultury”. W 1950 roku pojawiła się możliwość wprowadzenia Jeleńskiego do zespołu nowo utworzonego Kongresu Wolności Kultury z siedzibą w Paryżu. Czapski i Giedroyc zużyli wiele czasu i dyplomacji, by osiągnąć ten cel. Gdy jednak w 1952 roku Jeleński przeniósł się ostatecznie do Paryża, Czapski i Giedroyc zyskali w nim przyjaciela, a „Kultura” — krytyka artystycznego i literackiego o świetnym piórze, równie świetnym smaku i szerokim zakresie zainteresowań.

Rychło zyskał on sobie rozgłos nie tylko w polskich kręgach literackich, gdyż swobodnie pisał w kilku językach i ogłosił wiele ważnych artykułów w miesięczniku Kongre-

su, „Preuves”. Wybór jego pism zatytułowany *Zbiegi okoliczności* ukazał się pierwotnie w wydawnictwie podziemnym w Polsce w 1981 roku. Chciałbym tu zwrócić uwagę tylko na szkic *O „Kulturze” dla Francuzów*, napisany pierwotnie po francusku i ogłoszony rok wcześniej, gdyż jest to najlepsza rzecz napisana kiedykolwiek na ten temat.

Wśród pisarzy z pokolenia samego Giedroycia lub starszych, jednym z pierwszych, z którym podjął współpracę, był Jerzy Stempowski (1894–1969), znany już przed wojną jako autor esejów o kunsztownie wypracowanym stylu i niepospolitej uczoności głęboko osadzonej w tradycji klasycznej. Po wspomnianym już *Dzienniku podróży do Niemiec* Stempowski zaczął regularnie pisać do „Kultury” z Berna, gdzie żył od początku wojny. Ogłaszał tam w szczególności *Notatki niespiesznego przechodnia*, zarazem esej i dziennik, w którym mógł swobodnie komentować swe lektury, główną więź ze światem tej zasadniczo książkowej umysłowości. W historii literatury polskiej pozostanie on również jako wybitny epistolograf.

Wśród pisarzy „Kultury” świecą wyjątkowo jaskrawo dwa nazwiska, które zyskały rozgłos światowy, jedno już w latach sześćdziesiątych, drugie dwadzieścia lat później: Witold Gombrowicz (1904–1969) i Czesław Miłosz (ur. 1911). Z dziełami Gombrowicza i z nim osobiście Giedroyc zetknął się już przed wojną, gdy Gombrowicz cieszył się nieco dwuznaczną sławą w warszawskich kawiarniach literackich i w polskim środowisku pisarskim, zwłaszcza jako autor *Ferdydurke* (1937): powieść uważano za żart uczniaka, a samego autora — za niedojrzałego. Giedroyc jako naczelnik wydziału prezydialnego w Ministerstwie Przemysłu umieścił Gombrowicza na statku, który inaugurował połączenie morskie Polski z Ameryką Południową. Co czyniąc, wyznaczył jego losy literackie i osobiste na całą resztę życia.

W 1950 roku odnalazł go ponownie, tym razem w Bue-

nos Aires, które Gombrowicz miał opuścić dopiero w roku 1963, i zaprosił do współpracy z „Kulturą”. Takie były początki *Dziennika*, który w innych okolicznościach nie zostałby zapewne napisany. Można też przypuszczać, że bez „Kultury” *Trans-Atlantyk* pozostałby na lata w szufladzie autora, ponieważ żaden inny polski wydawca nie odważyłby się ogłosić tak obrazoburczej powieści. Jakoż jej ukazanie się w zadziwiającym numerze „Kultury” z maja 1951 spowodowało w polskiej prasie emigracyjnej krzyki oburzenia z powodu rzekomego braku patriotyzmu autora i wysmiewania przezeń najświętszych wartości tradycji narodowej. Ale zarówno Giedroyc, jak Jeleński byli przekonani, że twórczość Gombrowicza z jej swoistą tematyką i właściwą jej filozofią jest nowym, wybitnie oryginalnym głosem w literaturze polskiej i światowej. Obaj, zwłaszcza Jeleński, zrobili też bardzo dużo, by uczynić Gombrowicza znanym poza polskim środowiskiem literackim.

Z Miłoszem było inaczej, ale też burzliwie. Nie był on przedwojennym znajomym Giedroycia. Lata wojny spędził w Polsce, w Warszawie, a po wojnie, już jako znany poeta, wstąpił na służbę dyplomatyczną nowej władzy i został wysłany do Waszyngtonu jako radca kulturalny ambasady Polski Ludowej. W Waszyngtonie odwiedził go Czap-ski, który, z namowy Giedroycia, powiedział mu, że gdyby zdecydował się zostać na Zachodzie, drzwi „Kultury” zawsze będą stały przed nim otworem. Gdy w 1951 roku w Paryżu Miłosz postanowił nie wracać do Polski, udał się zatem do Maisons-Laffitte i stamtąd poprosił o azyl polityczny.

Ten sam numer „Kultury” z maja 1951, który zawierał *Trans-Atlantyk* Gombrowicza, przyniósł również artykuł Miłosza z uzasadnieniem jego decyzji — choć Giedroyc stanowczo się z nim nie zgadzał, gdyż artykuł przeczył celowości emigracji politycznej. Jak wnikliwie zauważył Mieroszewski: „Wyczuwa się w tym artykule więcej tragedii apostaty niż radości powrotu marnotrawnego syna na do-

no» chrześcijańskiej, zachodniej demokracji czy cywilizacji. W gruncie rzeczy boli go to, że musiał przestać wierzyć, i on nie przyszedł do nas, tylko uciekł od nich. Czy nie myśli Pan, że tak jest? My nic nie wiemy o dramatach tamtego świata»³.

Gościnność zapewniona przez „Kulturę” Miłoszowi w Maisons-Laffitte i w samym piśmie spowodowała jeden z najgłębszych kryzysów w historii jej zawsze napiętych stosunków z „polskim Londynem”. Ten bowiem, a raczej jego samozwańczy rzecznicy, uważał, że Miłosz, jak każdy, kto kiedykolwiek w jakikolwiek sposób współpracował z reżymem warszawskim, jest zdrajcą Polski i wolnego świata i jako taki powinien być przedmiotem ostracyzmu, dopóki nie wyzna swych grzechów i nie podda się procesowi oczyszczenia. Ale tego właśnie Miłosz odmawiał. Co więcej, zaatakował emigrację, negując jej rację bytu, czym obciążył się jeszcze bardziej. Wszystko to było nie do wybaczenia.

Z powodu Miłosza „Kultura” znalazła się pod gwałtownym ostrzałem z wielu stron. Niektórzy zerwali z nią nawet stosunki i oskarżyli ją o bycie komunistyczną agenturą, a przynajmniej gniazdem trockistów lub titoistów; w każdym razie — osób niegodnych zaufania. Ale „Kultura” przetrwała również ten kryzys, który odsłonił z porażającą jaskrawością rozdzźwięk między emigracją polską w Londynie a jej politycznym przywództwem. Polskie środowisko literackie w Londynie powoli i z oporami uznało Miłosza, jak uznało Gombrowicza, po bezskutecznych próbach odsądzenia obu od czci i wiary. Polityka wydawnicza Giedroycia odniosła wtedy pierwsze wielkie zwycięstwo. Później mógł on obserwować z zadowoleniem rosnące sukcesy Gombrowicza. A jesienią 1980 roku uczestniczył w Sztokholmie w uroczystości przyznania Miłoszowi Nagrody Nobla.

³ List z 2 maja 1951. Tamże, t. I, s. 124.

Samotność: doświadczenie i temat

Pisarze „Kultury” nie tworzyli grupy czy nurtu literackiego. Każdy z nich był samoistną osobowością, bardzo różną od pozostałych. A Giedroyc nigdy nie próbował przekonać swych autorów do jednego programu literackiego, gdyż takiego programu nigdy nie miał. Nie usiłował zresztą przekonywać ich do swoich poglądów w sprawach literackich. Byłoby to tak sprzeczne z jego zasadami, że aż niewyobrażalne. Jedyną sugestią, jaką był poczynił niektórym, było pisanie dziennika, który uważał za formę szczególnie dostosowaną do wymogów „Kultury”, ponieważ pozwalała komentować wydarzenia i publikację, wyrażać uczucia i poglądy, mieszać fakty i fikcje, używać każdego niemal rodzaju wypowiedzi tak, by osiągnąć maksimum różnorodności. Udało mu się to z Gombrowiczem i z Herlingiem, którzy, choć bardzo różnymi, jeśli nie wręcz przeciwnymi sposobami, zrobili z dziennika wielką literaturę.

To powiedziawszy, wolno jednak zasadnie zapytać, czy można znaleźć jakieś cechy wyróżniające produkcję literacką pisarzy „Kultury”. Moim zdaniem — można. Porównanie jej z tym, co ukazywało się w tym samym czasie w kraju, byłoby nieuczciwe, gdyż tam każde słowo musiało być ocenzone, by móc ukazać się w druku. Wolno jednak porównać utwory literackie pisarzy „Kultury” z utworami pisarzy emigracyjnych, którzy należeli do kręgu „Wiadomości”. Było to ważne i dobrze robione pismo i związani z nim pisarze bynajmniej nie zasługują na lekceważenie. Było ono jednak znacznie bardziej konserwatywne od „Kultury”, ponieważ usiłowało zachować orientację, którą reprezentowało już przed wojną, gdy było organem ówczesnego establishmentu pisarskiego. Nic więc dziwnego, że różnica między pisarzami „Wiadomości” a pisarzami „Kultury” jest uderzająca.

Wszystkie dzieła pisarzy „Kultury” wyrażają, acz w róż-

nym stopniu, doświadczenie samotności. Można powiedzieć na to, że każdy pisarz, jak każdy artysta, jak, co więcej, każda umysłowość twórcza, jest w pewnym sensie samotny i że czuje się samotny wtedy zwłaszcza, gdy jest pierwszym, który toruje nowe szlaki. Ale samotność, o której teraz mowa, była zarazem o wiele bardziej przyziemna i o wiele bardziej dotkliwa. Była to bardzo szczególna samotność narzucona przez politykę i przez historię, która wysłała niektórych do miejsc dla polskiego pisarza najbardziej nieprawdopodobnych: Buenos Aires, Montevideo, Guatemala City, Neapol, Berkeley, Vence czy nawet Berno. W przeszłości wielu pisarzy polskich żyło w Paryżu. Ale czy którykolwiek kiedykolwiek mieszkał w Bernie? A trzeba przecież jeszcze większego wysiłku, by wyobrazić sobie polskiego pisarza, który żyje i pracuje w Guatemala City.

Dla wszystkich polskich pisarzy na wygnaniu samotność narzucona przez politykę i historię wyrażała się w pierwszym rzędzie w odcieciu od żywej mowy. W przypadku pisarzy „Kultury” była ona jednak znacznie głębsza. Byli oni bowiem odcięci również od innych polskich pisarzy i doświadczaali codziennie uczucia niemożności spotkania ich choćby po to, by poplotkować lub pogawędzić o książkach czy innych pisarzach. Niektórzy pisarze, o których tu mowa, uczestniczyli w życiu literackim miast, gdzie przebywali. Ale język, którym musieli się tam posługiwać, był dla nich językiem obcym, a ich utwory mogły być znane ich rozmówcom w najlepszym przypadku nie w postaci, w jakiej były napisane, ale w przekładzie.

Co więcej, doprowadzenie do przekładu i wydania własnego dzieła przychodziło z trudem. Przeszkodą był nie tylko język. Była nim również, a nawet przede wszystkim, polityka. Jak wszyscy emigranci z krajów włączonych siłą do bloku sowieckiego, pisarze polscy byli przeważnie anty-sowieccy i antykomunistyczni. A nawet gdy nie byli, sama ich obecność na Zachodzie świadczyła o niechęci do uczest-

nictwa w „budowaniu socjalizmu”. Wystarczało to komunistom i ich „poputczykom”, którzy wywierali w owych latach znaczny wpływ w wielu krajach europejskich, zwłaszcza we Włoszech i we Francji, by obwołać emigrantów kontrrewolucjonistami, reakcjonistami, faszystami — a to tylko cząstka repertuaru używanych wyzwisk — i poddać bezwzględemu ostracyzmowi. W Londynie pisarze polscy żyli zatem w getcie, całkowicie odcięci od angielskiego życia literackiego. Ale takie getto, przy wszystkich swych niedogodnościach, dawało jednak tym, którzy je wybrali, ciepłą przyjemność bycia razem. Każdy z pisarzy „Kultury” był sam.

Było to doświadczenie bolesne. To nie domysł. Samotność jest jednym z głównych tematów tych partii *Dzienników* Gombrowicza, które powstały we wczesnych latach pięćdziesiątych. Zresztą wystarczy wsłuchać się w słowa, które otwierają przedmowę do pierwszej publikacji *Trans-Atlantyku* w „Kulturze”: „Przebywam teraz w Argentynie. Udało mi się ogłosić tutaj w tłumaczeniu hiszpańskim moją powieść *Ferdydurke*, a także ukazał się — również w tłumaczeniu hiszpańskim — dramat *Ślub*, napisany już po wojnie; ale po polsku od dziesięciu lat z okładem nic mojego się nie pojawiło”⁴. Pozornie zimny, sprawozdawczy ton ledwie skrywa tu dramat pisarza odłączonego od własnego języka, który jest dla niego nie tylko środkiem codziennego porozumiewania się, ale w pierwszym rzędzie jedynym medium, które pozwala mu wyrazić swe życie wewnętrzne tak, by przeistoczyć je w rzeczywistość publiczną.

Sytuacja cudzoziemca, obcego, osoby odciętej od innych ludzi jakąś barierą: kalectwem cielesnym lub umysłowym, nieuleczalną lub rzekomo zakaźną chorobą, tragicznym zdarzeniem, które złamało jej życie — i przeto napiętno-

⁴ Witold Gombrowicz, *Trans-Atlantyk, Przedmowa* [1951]; *Dzieła*, t. III, Kraków-Wrocław 1986, s. 125.

wanej, wygnanej i skazanej na bezwzględą samotność, wraca wielokrotnie w opowiadaniach Herlinga, ze szczególną mocą w *Wieży*. Narrator tej długiej opowieści, polski oficer, który wkrótce po wojnie spędza wakacje w wiosce niedaleko Aosty, znajduje w domu, gdzie mieszka, egzemplarz *Le lépreux de la cité d'Aoste* Xaviera de Maistre (1763–1852; wydanie I: 1817). Była to ulubiona, jeśli nie jedyna lektura niedawno zmarłego właściciela domu, starego emerytowanego nauczyciela, który stracił całą rodzinę podczas trzęsienia ziemi w Messynie w 1908 roku i spędził ostatnie lata życia w owej wiosce, ograniczając do niezbędnego minimum swe więzi z otoczeniem. Na krótko przed końcem wojny żołnierze niemieccy weszli do wioski, szukając mężczyzn na roboty do Niemiec. Mężczyźni, uprzedzeni, zdolali jednak ukryć się w górach. Dowódca niemiecki oświadczył zatem, że rozstrzela miejscowego proboszcza, o ile nie znajdzie się nikt, kto by zajął jego miejsce. Ale jedyny mężczyzna, który pozostał w wiosce, stary samotnik, odmówił poświęcenia się. Proboszcz zginął rozstrzelany. A samotnik umarł następnego ranka we własnym łóżku.

Włączona w tę ramę i mistrzowsko z nią skonstruowana jest historia, którą Trędowaty z Aosty opowiedział odwiedzającemu go oficerowi piemonckiemu, narratorowi opowiadania Xaviera de Maistre. Historia osoby, której narzuciła samotność jej straszna choroba, ale która kocha ludzi, choć ci są dla niej okrutni. Samotność wybrana w następstwie nienawiści do innych ludzi jest tu przeciwstawiona samotności wymuszonej, która zachowuje wszelako poczucie więzi z innymi. A bezużyteczną śmierć dobrowolnego samotnika przeciwstawia się odkupicielskiej śmierci siostry Trędowatego, też trędowatej, która zostawia mu przed zgonem list ze słowami pociechy, by powstrzymać go przed rozpaczą i samobójstwem. Przesłanie jest jasne: choć można nadać ludzkie znaczenie nawet najgłębszej samotności, życie samotne jest największym nieszczęściem,

jakie może się komuś przydarzyć. Jak to mówi z wdzięcznością Trędowaty swemu pierwszemu i jedyemu odwiedzającemu: „O litościwy cudzoziemcze! [...] Obyś dostał łaski Bożej i nie musiał nigdy żyć sam!”⁵.

Łaska ta długo nie była dana pisarzom „Kultury”. Ale samotność, choć bolesną, wynagrodził im jej korzystny wpływ na ich dzieła. Zwróciła ona bowiem ich wzrok i ich uwagę na kraje, w których żyli, w stopniu rzadko, jeśli kiedykolwiek, osiągniętym w historii polskiego piśmiennictwa. Czytelnik Gombrowicza oswaja się z argentyńskimi nazwami, krajobrazami i porami roku, z ulicami i kawiarniami Buenos Aires. Poezja Miłosza zawiera liczne odniesienia naprzód do różnych miejsc we Francji, a później do roślin, zwierząt i widoków Kalifornii oraz do poezji amerykańskiej i życia amerykańskiego w ogólności. Herling zaś włączył Włochy do obszaru literatury polskiej — zwłaszcza Neapol ukazywany z wnikliwością, jaką może osiągnąć tylko ktoś, kto obcuje z tym miastem na co dzień. W utworach dyskursywnych Jeleński, ale również Gombrowicz i Miłosz, udostępniali czytelnikom „Kultury” nowe zjawiska literackie, artystyczne i umysłowe w kulturze zachodniej.

Samotność ma również inny bardzo korzystny skutek: jest koniecznym warunkiem wolności. Pisarze „Kultury” byli chyba najbardziej wolnymi Polakami swego czasu; byli tak wolni, jak sama „Kultura”. Przede wszystkim byli bowiem wolni od PRL i jej cenzury. Pozwalało im to podejmować tematy przez nią tłumione: zbrodnię katyńską, doświadczenie wywózek w głąb Związku Sowieckiego i uwięzienia w sowieckich łagrach, psychologię komunizmu, historię Polski podczas wojny i po wojnie. Pozwalało im to również mówić o wszystkim, co ich interesowało, nie licząc się z żadną estetyką normatywną, w szczególności

⁵ G. Herling-Grudziński, *Wieża* [1958] w: Tegoż, *Opowiadania zebrane*, wyd. Z. Kudelski, Warszawa 1999, t. I, s. 17.

— z estetyką realizmu socjalistycznego, która obowiązywała w latach 1949–1956 pisarzy polskich w Kraju.

Wolność od PRL i jej cenzury łączyła pisarzy „Kultury” z innymi pisarzami emigracyjnymi. W odróżnieniu od nich pisarze „Kultury” byli jednak wolni również od samej emigracji polskiej: od jej hierarchii i jej autorytetów, od jej dogmatów i jej zakazów, od panujących w niej opinii i zbiorowych odruchów. Nie zależeli od dobrej woli wydawców polskich pism literackich, choć zdarzało się im publikować również tam; nie musieli jednak dostosowywać się do ich wymagań, ponieważ mieli do dyspozycji „Kulturę”, która chciała od nich tego właśnie, by byli wolni. Mogli zatem mówić o religii bez namaszczenia, o niedawnej polskiej przeszłości bez uwielbienia i o Polsce powojennej bez poprzestawiania na potępianiu wszystkich i wszystkiego.

Wreszcie przysługiwała im jeszcze jedna wolność, nieodłączna od ich samotności i od niej zależna. Nie byli poddani codziennej presji innych pisarzy wywieranej w toku spotkań, rozmów telefonicznych i zebrań literackich. Ocena ich utworów przez kolegów po piórze docierała do nich zazwyczaj z odległych miejsc, przeważnie w listach, niekiedy w drukowanych recenzjach. Nawet gdy to, co czytali o sobie, sprawiało im przykrość, było im łatwiej odrzucić opinie negatywne, niż gdyby otrzymywali je bezpośrednio. W tym sensie, jeśli nie brać pod uwagę ich zazwyczaj krytycznej sytuacji finansowej, pisarze „Kultury” mieli optymalne warunki dla zademonstrowania swej oryginalności. Niektórzy wykorzystali je w całej pełni.

Spór o rozumienie polskości

Omówię teraz trzy utwory pisarzy „Kultury”. Nie z punktu widzenia historyka literatury, gdyż nim nie jestem. Przywołując te trzy przykłady, zamierzam pokazać roz-

myślny sprzeciw pisarzy „Kultury”, przynajmniej niektórych, wobec pewnych postaw i poglądów głęboko zakorzenionych w umysłach emigracji polskiej i inteligencji polskiej w ogóle. Moim zamiarem jest zatem, innymi słowy, oświecenie ważnego konfliktu intelektualnego i ideologicznego w obrębie tego odłamu polskiej opinii publicznej, który nie był kontrolowany i manipulowany przez komunistyczną władzę.

Ogniskową tego konfliktu była interpretacja niedawnej polskiej przeszłości, ocena przemian Polski pod rządami komunistów; stanowisko, jakie należy zajmować wobec osób, które z nimi współpracowały albo nawet, w takim czy innym stopniu, przyjęły ich ideologię. Była nią również rola literatury w życiu narodu, zwłaszcza w okolicznościach stworzonych przez sowieckie panowanie nad Polską i płynąca stąd konieczność utrzymania emigracji politycznej. Był nią wreszcie problem samej definicji polskości oraz jej stosunku do tradycji narodowych z jednej strony i do wartości powszechnie ważnych z drugiej.

Moim pierwszym przykładem będzie *Trans-Atlantyk* Gombrowicza, najbardziej chyba bluźniercza powieść literatury polskiej po drugiej wojnie światowej. Przepraszam wszystkich, którzy ją czytali, za prostackie streszczenie fabuły; może ono jednak być pożyteczne dla tych, co jej nie znają. Przepraszam też za moje komentarze, które nie usiłują nawet oddać jedynej w swoim rodzaju witruozerii językowej autora, choć współtworzy ona w istotnej mierze wrażenie wywierane przez tę powieść. Jakoż Gombrowicz kreuje w *Trans-Atlantyku* wielce osobliwą polszczyznę zarazem staroświecką i kolokwialną, poprawną i niegramatyczną, która zaciera granice między mową panicza a mową pastucha, gdyż stale przeskakuje od jednej do drugiej i z powrotem w doborze słów i w budowie zdań. A zarazem bawi się prześmiewczo zderzaniem dwóch stylów: wzniosłego i takiego, który rozmyślnie spelza w wulgarność i który, by tak rzec, ściąga wzniosłość z nieba na ziemię, obraca

patos w groteskę i zderza przeduchowioną Polskość z cielesnymi Polakami.

Narrator, który używa tego dziwnego narzecza, twierdzi, że zdaje sprawę swej rodzinie, krewnym i przyjaciołom z początku swych przygód w stolicy Argentyny. Nazywa się Witold Gombrowicz, jest pisarzem i przybył do Buenos Aires 21 sierpnia 1939 roku jako oficjalny gość na polskim statku „Chrobry”. Również nazwiska jego towarzyszy podróży są znane albo powinny być znane jako przysługujące postaciom rzeczywistym, historycznie zaświadczone. Po dziesięciu dniach uroczystości i przyjęć wybuch wojna i „Chrobry” opuszcza Argentynę w kierunku Anglii lub Szkocji, gdyż od Polski jest już odcięty. Ale narrator postanawia zejść na ląd i zostać w Buenos Aires. Nie podaje nam motywów tej decyzji, ale kilkakrotnie czyni aluzje do jakiejś tajemnicy, której nie może wyjawiać nawet przyjacielowi, z którym dzielił kajutę na statku.

Zmuszony szukać posady z uwagi na swe bardzo wątle fundusze, narrator zwraca się o pomoc do jednego z rodaków, który mieszka w Buenos Aires i który był związany z jego rodziną. Postanawia też złożyć wizytę w ambasadzie polskiej, gdzie przyjęty jest przez samego ambasadora, który wpięrowo usiłuje go splawić, a następnie zapewnia go, używając sztampowych zwrotów polskiej triumfalistycznej i samochwalczej retoryki z jej mieszaniną świętości i świeckości, że Polska zwycięży, że zmiażdży swych przeciwników, że ich zniszczy. Po czym proponuje zdumionemu narratorowi, by został Wielkim Człowiekiem, Wielkim Polskim Pisarzem i Geniuszem, i poświęcił się, za skromną opłatą, chwaleńcu dawnych Wielkich Polskich Pisarzy i Geniuszy, aby propagować Polskę. Oburzony narrator opuszcza ambasadę i znajduje posadę z pomocą swego polskiego znajomego, który wprowadza go do innych Polaków, właścicieli firmy zajmującej się kupnem i sprzedażą koni i psów.

Podczas gdy pracuje dla tych polskich przedsiębiorców

w ich biurach i wśród ich dependentów, w przyziemnym świecie codziennej rutyny i nieprzerwanych kłótni o pieniądze i o wszystko inne, narrator odkrywa, że ambasador nie zarzucił pomysłu uczynienia zeń Wielkiego Człowieka i Pisarza. Składa mu publicznie hołd, a nawet posuwa się do zorganizowania przyjęcia na jego cześć, aby dać mu sposobność objawienia swej wielkości i swego geniuszu i zademonstrowania efektownie wyższości nad wielkimi argentyńskimi pisarzami i geniuszami. Jakoż podczas przyjęcia w ambasadzie polskiej asystujemy przy konfrontacji narratora z najslawniejszym, najinteligentniejszym i najbardziej uczonym pisarzem argentyńskim, w którym łatwo rozpoznajemy Borgesa. Ale narratorowi nie udaje się mieć ostatniego słowa i uznaje się za pokonanego.

Jednakże w czasie przyjęcia poznaje on pewnego Argentyńczyka imieniem Gonzalo, milionera i homoseksualistę, którego ulubionym zajęciem jest polowanie na chłopców na ulicach Buenos Aires. Chcąc nie chcąc, narrator zostaje wepchnięty w rolę stręczyciela, który pomaga Gonzalowi w jego próbach uwiedzenia pięknego młodego Polaka, Ignaca. Ale ojciec Ignaca, który chce, by syn wstąpił do wojska, jest oburzony samą myślą, że jego syn może być przedmiotem pożądania homoseksualnego, i wyzywa Gonzala na pojedynek. Narrator, który ma ten pojedynek zorganizować, jest przerażony perspektywą przelewu krwi, zwraca się więc po radę do ambasady i do swych szefów. Ambasador proponuje zorganizować w pobliżu miejsca pojedynku polowanie z nagonką na zające, nie zważając na brak zająca i chartów, aby odwrócić uwagę pojedyńkowiczów. A przedsiębiorcy proponują wydanie pojedyńkowiczom pistoletów naładowanych ślepymi nabojami. Tak też się dzieje. Zaabsorbowani fałszywą nagonką pojedyńkowicze nie zauważają, że naboje były ślepe. Co więcej, Gonzalo ratuje Ignaca od pogryzienia przez polujące psy i zyskuje przebaczenie jego ojca. Zaprasza zatem wszystkich obecnych do swego pałacu na ucztę.

Ignac, jego ojciec i narrator okazują się teraz gośćmi Gonzala, który, by uwieść chłopca, demonstruje całe swe bogactwo. Ale pewnej nocy narratora porywają jego szefowie i ich księgowy, którzy zamurują się z nim w podziemiu, gdzie wprowadzają go do tajnej polskiej organizacji zamierzającej dokonać jakiegoś strasznego i widowiskowego czynu; jakiego — nie wiadomo. Ostatecznie konspiratorzy postanawiają zabić Ignaca, co ma być czynem prawdziwie strasznym z uwagi na swą absurdalność. Narrator ucieka i wraca do pałacu Gonzala, gdzie dowiaduje się, że ten postanowił zabić ojca Ignaca. Gdy jednak wszystko zdaje się prowadzić ku temu, pałac zapelniają Polacy na czele z ambasadorem i jego ekipą, którzy zorganizowali kulig, choć ta jazda od dworu do dworu tradycyjnie odbywała się zimą na saniach, my zaś jesteśmy w środku gorącego argentyńskiego lata. Konspiratorzy pozostawieni w piwnicy również przybywają na bal, siedząc okrakiem jeden na drugim. Powieść kończy się tańcem i ogromnym wybuchem śmiechu.

Jak łatwo zauważyć, każdy składnik *Trans-Atlantyku* wzięty pojedynczo wystarczyłby, by oburzyć opinię polską wczesnych lat pięćdziesiątych. Pewne wyrobienie literackie potrzebne jest przecież, by odróżnić autora od narratora powieści. Tymczasem Gombrowicz robi wszystko, co w jego mocy, by zatrzeć to rozróżnienie, nadając swe nazwisko narratorowi i wprowadzając inne nazwiska przysługujące osobom realnym. Nic dziwnego, że niektórzy czytelnicy, nawet krytycy, zrozumieli jego powieść jako spowiedź deztertera, który, miast wstydić się z powodu zlekceważenia obowiązku obywatelskiego, szczyci się tym i, co gorsza, ośmiesza nie tylko czcigodne instytucje polskie, lecz nadto Polskę i samą Polskość, a nawet moralność katolicką, gdyż okazuje wyrozumiałość swemu przyjacielowi homoseksualiście. I to wszystko w okresie strasliwych cierpień całego narodu.

Zbyteczne wyjaśniać, że *Trans-Atlantyk* nie jest spra-

wozdaniem z pierwszych dni pobytu Gombrowicza w Argentynie. Jest powieścią. Fikcją. Pozostaje wszelako prawdą, że w swej warstwie najbardziej powierzchownej *Trans-Atlantyk* jest satyrą na przedwojenne polskie elity z ich tromtadracją: wychwalaniem kierownictwa wojskowego jako najlepszego, armii jako najsilniejszej, a kraju jako gotowego do wygrania wojny z każdym wrogiem — co zdezawuowała ostatecznie katastrofa września 1939 roku. Na tym poziomie *Trans-Atlantyk* jest porachunkiem z przedwojenną Polską. Z tego tytułu oburzał on tych wszystkich, którzy ponosili ciężką odpowiedzialność za losy kraju, choć zarazem odpowiadał stanowisku większości emigracji.

Komentując badanie opinii emigracyjnej przeprowadzone przez „Kulturę” w 1952 roku, Mieroszewski pisał do Giedroycia: „Krytyka sanacyjnego ustroju jest powszechna. Nie ma żadnego entuzjazmu dla wojska i powszechna jest krytyka stosunku oficerów do żołnierzy. Klęska wrześniowa jest jeszcze zupełnie nie strawiona i świeża, jakby się to wszystko działo wczoraj, a nie 13 lat temu”⁶. Taki jest kontekst historyczny, w jakim trzeba umieścić *Trans-Atlantyk*. Ale ta powieść ma również głębsze warstwy znaczeniowe, nie mniej oburzające dla poważnych odłamów polskiej inteligencji. Przeciwnieństwo ojca i syna uogólnione i niejako upolitycznione w przeciwieństwie Ojczyzny i Syncyzyny konfrontuje już utrwaloną tradycję z nieokreśloną jeszcze i otwartą przyszłością. Przy czym *Trans-Atlantyk* wyraźnie opowiada się za tą drugą i przeciw pierwszej, o czym świadczy atak na rutynowe widzenie przez Polaków samych siebie i ich równie rutynowe reagowanie na z gruntu nowe i nieprzewidywalne sytuacje.

Jakoż Polacy w *Trans-Atlantyku* umieją tylko powtarzać samochwalcze przemówienia odwołujące się do dawnych zwycięstw, walczyć, konspirować i manifestować swą

⁶ List z 14 lutego 1953; J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, t. I, s. 265.

polskość. Nigdy jednak nie zastanawiają się nad skutecznością tego wszystkiego i dlatego są zadowoleni z siebie nawet wtedy, gdy ich słowa i czyny są równie bezsensowne, co nagonka na zające bez chartów i bez zajęcy albo kulig bez dworów i bez śniegu. *Trans-Atlantyk* podważa wdrukowane w umysły Polaków wyobrażenie, jakie mają o sobie, gdyż odsłania absurdalność zarówno ich nawykowej patriotycznej retoryki, jak ich nawykowego patriotycznego zachowania. Gombrowicz załatwia tu swe porachunki z całą historią Polski i z samą ideą polskości wypracowaną w XIX wieku i nadal wpajaną przez wychowanie szkolne w latach dwudziestych i trzydziestych.

Posuwa się nawet dalej. Proponuje bowiem dwojaką rewizję przyjętej idei polskości, by otworzyć ją na świat zewnętrzny i na wolność. Polacy ukazani w *Trans-Atlantyku* zachowują się tak, jak gdyby przebywali w oblężonej twierdzy, jak gdyby byli otoczeni wrogami, którzy grożą im zniszczeniem ich ukochanej polskości. Wedle Gombrowicza jest to jednak tylko urojeniem leżącym u podstaw polskiego kompleksu niższości wobec innych narodów, skłonności Polaków do zamykania się w polskim getcie i lęku, jaki budzi w nich spotkanie ze światem zewnętrznym. W odpowiedzi *Trans-Atlantyk* proponuje Polakom nie bać się Argentyny, ale, przeciwnie, przyjąć ją w jej odrębności, w jej swoistości — przy czym Argentyna jest tu symbolem wszystkiego, co Polakom wydaje się obce i dziwne, sprzeczne z ich zakorzenionymi nawykami. Oraz symbolem transgresji norm — w tym przypadku norm życia seksualnego — wybranej jako sposób życia wbrew wszelkim represyjnym regulacjom i instytucjom.

Choć obawa przed szantażem zmusza go niekiedy do udawania służącego we własnym pałacu, Gonzalo jest wolnym człowiekiem. Również narrator staje się wolnym człowiekiem, gdy postanawia zejść z „Chrobrego” i tym samym postawić się poza Polską, której statek jest częścią, gdy zrywa z tradycyjnym polskim zachowaniem, które wymaga od

niego, by robił to, co zawsze robiono w podobnych okolicznościach, gdy bierze na siebie swą jednostkowość, swój osobisty los, swą samotność i swą wolność ze wszystkim, co za tym idzie. W swej warstwie najgłębszej, filozoficznej, *Trans-Atlantyk* jest afirmacją Ja, które odmawia podporządkowania się jakiegokolwiek zbiorowości, zwłaszcza — narodowi. Ja, które chce przede wszystkim być unikalnym i absolutnie wolnym osobnikiem cielesnym, a dopiero potem Polakiem lub czymkolwiek innym. Ja, które by mogło swobodnie uzewnętrzniać swe potencjalności, nie będąc ograniczanym anonimowymi zasadami i normami współżycia społecznego, i przeciwstawiając się innym Ja, które, cokolwiek by czyniły, usiłują zapanować nad nim, jak ono usiłuje zapanować nad nimi. Filozofia Gombrowicza jest odmianą anarchistycznego indywidualizmu niezbyt odległą, co on sam przyznaje, od egzystencjalizmu Sartre’a.

Jeśli coś takiego, jak manifest powieściowy „Kultury”, daje się w ogóle pomyśleć, to *Trans-Atlantyk* nadaje się szczególnie do tej roli zwłaszcza z uwagi na postawę, jaką zajmuje wobec polskości — postawę bardzo bliską, jak zobaczymy, tej, jaką na poziomie wypowiedzi politycznych i krytycznych zajmowali Mieroszewski i Jeleński, oraz postawie samego Giedroycia.

Druga książka, którą wybrałem jako przykład utworów znamienitych dla pisarzy „Kultury”, wywołała w ich kręgu rozbieżności, a nawet spór. Ale też temat, jaki podejmowała, był jeśli nie trudniejszy, to na pewno bardziej bolesny i znacznie bardziej palący niż temat *Trans-Atlantyku*. Chodziło w niej przecież o problem komunizmu ujęty przez pryzmat tych intelektualistów, głównie pisarzy, którzy, zwłaszcza w Polsce, lecz również w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej podjęli współpracę z ustrojem narzuconym przez Armię Czerwoną, posuwając się niekiedy aż do przyjęcia wiary komunistycznej za własną. Przy czym nie była to powieść. Był to esej zarazem literacki i polityczny.

Miłosz napisał *Zniewolony umysł* (1953), gdy postanowił zostać na Zachodzie. Nie jest to spowiedź rozczarowanego komunisty, ponieważ Miłosz nigdy do partii komunistycznej nie należał; nigdy nawet nie aprobował komunistycznej ideologii. Jego książka jest próbą zrozumienia zachowań kolegów pisarzy; albo inaczej: próbą uczynienia duchowego i intelektualnego wymiaru panowania komunistów pojmowalnymi dla zachodniej publiczności. Już samo takie podejście było wyzwaniem dla panującego ówczesnie stylu antykomunizmu, który zakładał, że panowanie to opiera się wyłącznie na gwałcie i zastraszaniu. Miłosz otwarcie sprzeciwiał się temu:

„Ludzie na Zachodzie skłonni są często rozpatrywać los krajów nawracanych tylko w kategoriach przymusu i przemocy. To jest niesłuszne. Poza zwyczajnym strachem, poza chęcią uchronienia się przed nędzą i fizycznym zniszczeniem, działa pragnienie wewnętrznej harmonii i szczęścia. Los ludzi zupełnie konsekwentnych, niedialektycznych, takich jak Witkiewicz, jest przestrogą dla niejednego intelektualisty. Zresztą dokoła siebie widzieć on może odstrasające przykłady: po ulicach miast blakają się jeszcze cienie nieprzejeźdźnych, tych, co nie chcą w niczym brać psychicznie udziału, wewnętrznych emigrantów zżeranych przez nienawiść, aż nic w nich już nie zostaje prócz nienawiści i są jak puste orzechy. Żeby zrozumieć sytuację pisarza w krajach demokracji ludowych, trzeba mówić o racjach jego działania i utrzymywanej przezeń z wielkim trudem równowadze”⁷.

Miłosz szuka zatem motywacji intelektualistów, którzy opowiedzieli się za ustrojem komunistycznym, a nawet wstąpili do partii. Zaczyna od opisu ogólnego mechanizmu, który powoduje nawrócenie pisarzy na Nową Wiarę. W tym celu używa metafory zapożyczanej z powieści Witkacego *Nienasylenie* (1932), gdzie napięcie poznawcze

i uczuciowe powodowane wśród polskich elit groźbą inwazji chińskiej uspokajają pigułki Murti-Binga, narkotyk, który sprawia, że ten, co go używa, czuje się szczęśliwy i pogodzony z przyszłością — z każdą przyszłością. Miłosz zapytuje zatem: co w rzeczywistej Polsce późnych lat czterdziestych i wczesnych lat pięćdziesiątych czyniło intelektualistę gotowym do zażycia pigułek Murti-Binga? Odpowiedź jest złożona. Miłosz wymienia pustkę spowodowaną zanikiem silnych uczuć religijnych, poczucie absurdu i nieszczańskiej egzystencji, presję argumentów rozwijanych przez teoretyków marksizmu-leninizmu, a zwłaszcza przekonania, które krzewią, że komunizm jest koniecznością historyczną, chęć znalezienia się po stronie zwycięzców w historycznej walce klas.

Jakie miejsce w tym wszystkim przypada Zachodowi? Dlaczego rozczarowani polscy intelektualiści nie opierają się Nowej Wierze, pokładając swe nadzieje w Zachodzie? Po pierwsze dlatego, odpowiada Miłosz, że pod okupacją niemiecką zobaczyli załamanie się wszystkich wartości zachodnich, nawet najbardziej elementarnych. Toteż materializm dialektyczny kieruje swe argumenty do ludzi, których zaufanie do Zachodu zostało już uprzednio jeśli nie zniszczone, to poważnie nadwątlone i popękane, i którzy skłonni są uważać, że to, co stało się w Europie Środkowej między 1933 a 1945 rokiem, powtórzy się też gdzie indziej. Intelektualista wschodni patrzący na Zachód doznaje zatem niekiedy poczucia wyższości właściwego komuś, kto z góry zna przyszłość, której jego zachodni odpowiednik nie jest świadom.

Intelektualista wschodni jest, co więcej, zrażony trwaniem postaw i kierunków, które zdają mu się przestarzałe, unieważnione wojną i tym, co nastąpiło po niej. Zrażony jest też pustką duchową, która zdaje mu się porównywalna z tą, jakiej doznawał umierający świat pogański w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Ale zarazem nie zapoznaje wyższości Zachodu w dziedzinie nauki, techniki i zaspoka-

⁷ Czesław Miłosz, *Zniewolony umysł*, Paryż 1980, s. 19–20.

jania potrzeb materialnych. I ma jakąś mglistą nadzieję, że zbawienie przyjdzie stamtąd, choć nie wyobraża sobie wcale, kiedy by to mogło nastąpić i na czym by mogło polegać. „Stosunek intelektualisty wschodniego do Zachodu jest więc skomplikowany i nie daje się zamknąć w formułkach sympatii i antypatii. Jest to coś w rodzaju zawiedzionej miłości, a jak wiadomo zawiedziona miłość pozostawia często osad sarkazmu”⁸.

Takie niespójne stanowisko, pełne sprzeczności wewnętrznych, cechuje nie tylko postawę wschodniego intelektualisty wobec Zachodu. Jest ono znacznie bardziej ogólne. Albowiem Murti-Bing nie usuwa poczucia winy utrwalonego w jego pamięci wcześniejszym wychowaniem, które wpoili mu poczucie związku z własnym narodem, z jakąś religią, z pewnym systemem estetycznym czy filozoficznym i, co nie najmniej ważne, również z tradycyjną moralnością. Toteż wynikiem konwersji jest osobowość rozdwojona, która zarazem przyjmuje Nową Wiarę i ma wobec niej wiele zastrzeżeń.

Trzeci rozdział *Zniewolonego umysłu* pokazuje, jak ludzie usiłują kontrolować swą schizofrenię, by zachować we wszystkich okolicznościach maskę ortodoksji wbrew swym prywatnym poglądom, które są z nią pod pewnymi względami sprzeczne. Wprowadzona tu metafora *ketmana* zapożyczona jest z dokonanego przez Gobineau (1816–1882) opisu religii perskiej. *Ketman* jest zabiegiem myślowym, który pozwala jednostce uprawiać dwójmowę i dwójmyślenie, ponieważ daje jej racje zarówno dla zewnętrznego okazywania, iż przyjęło się szczerze Nową Wiarę, jak i dla wewnętrznego przywiązania do własnej prywatnej herezji. By uczynić zrozumiałymi różne typy zachowania, Miłosz szkicuje fenomenologię odmian *ketmana*, zaczynając od tej, która apeluje do interesu narodowego, i rozpatrując kolejno te, które odwołują się do idei

rewolucji, do piękna, do dokonań zawodowych, do sceptycyzmu, do metafizyki i do etyki.

Druga część *Zniewolonego umysłu* zawiera cztery portrety pisarzy, którzy przemierzili całą drogę do komunizmu. Cztery portrety czołowych postaci literatury polskiej, które Miłosz oznacza pierwszymi czterema literami alfabetu greckiego, ale które były natychmiast rozpoznawalne dla każdego polskiego inteligenta. Próbuje rozsupłać splót indywidualnych motywacji, Miłosz pokazuje, jak każdy z tych pisarzy przeszedł z pozycji dalekiej od komunizmu lub wręcz wrogiej mu do uznania go, a nawet, w pewnych przypadkach, do utożsamienia się z nim.

Miłosz mówi tu o swych przyjaciółach i znajomych. Otóż tym, co uderza w jego tekście nawet dziś, a co musiało znacznie silniej uderzać czterdzieści trzy lata temu pierwszych czytelników *Zniewolonego umysłu*, jest to, że jego autor nie stroi się w tożę oskarżyciela publicznego, że nie inscenizuje procesu. Nie potępia. Nie rozgrzesza. Po prostu opisuje. I stara się postąpić możliwie jak najdalej w swym wysiłku zrozumienia jednostek, o których mówi, i różnicy między nimi a sobą samym. Nic więc dziwnego, że zarzucano mu współnictwo, usiłowanie uniewinnienia swych kolegów, a nawet ukrytą sympatię dla komunizmu.

W rzeczy samej jego postawę trudno było podzielać tym wszystkim, którzy uważali, że są w stanie wojny z komunizmem, i dla których każdy, kto nie był totalnie jego wrogiem, był jego sojusznikiem, zgodnie z zasadą: „kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam”. Postawę tę było trudno podzielać nawet niektórym przyjaciółom Miłosza z „Kultury”. O dziwo, nawet Giedroyc, którego postawa polityczna wobec intelektualistów polskich zdaje się niekiedy zbieżna z postawą Miłosza, miał — i nadal zachowuje — istotne zastrzeżenia do tego ich portretu, jaki przynosi *Zniewolony umysł*, ponieważ podejrzewał metaforę *ketmana*, jak Herling metaforę pigulek Murti-Binga, o to, że

⁸ Tamże, s. 61.

jest próbą znalezienia dla nich okoliczności łagodzących. Dwoma wyjątkami w kręgu „Kultury” byli Mieroszewski i — acz nie bez poważnych zastrzeżeń — Jeleński.

Artykuł tego ostatniego posłużył mi za trzeci przykład twórczości pisarzy „Kultury”. Jeleńskiego wielbi się teraz jako najbardziej przenikliwego polskiego krytyka literackiego lat powojennych, zwłaszcza z uwagi na jego kampanie w obronie Gombrowicza i Miłosza. Jest to w pełni uzasadnione. Niekiedy jednak, gdy czytam wszystkie pochwały, jakich jest przedmiotem, mam poczucie, że widzi się w nim wyłącznie estetę, podczas gdy napisał również, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, wiele znakomitych artykułów na tematy związane w równej mierze z polityką, co z kulturą. Jeden z nich chciałbym tu przypomnieć. Ma tytuł *Od endeków do stalinistów* i ukazał się we wrześniowym numerze „Kultury” z 1956 roku jako wprowadzenie do ankiety o polskim antysemityzmie.

W ankiecie tej „Kultura” poprosiła liczne osobistości polskiej emigracji o krótkie wypowiedzi na temat psychoanalizy polskiego antysemityzmu, jego związków z ideologiami reakcyjnymi, faszystowskimi czy stalinowskimi, tych kół w Polsce, które mogą być szczególnie skuteczne w walce przeciw antysemityzmowi, i sposobów, jakimi powinny ją prowadzić, obecności antysemityzmu wśród emigrantów polskich i jego objawów, środków, jakich emigracja powinna użyć, by przyczynić się do walki z antysemityzmem. Wypowiedzi miały być ogłoszone w „Kulturze”, a czytelników zaproszono do nadsyłania swych opinii.

Już sam tytuł artykułu Jeleńskiego mógł spowodować oburzenie, gdyż przyrównywał polską partię nacjonalistyczną założoną pod koniec XIX wieku do stalinowców uważanych za tępicielei tradycji polskich. Treść artykułu była jeszcze trudniejsza do przyjęcia. Po przypomnieniu pogromu w Kielcach 4 lipca 1946 roku, Jeleński wyliczał za prasą krajową przykłady zachowań antysemickich w Pol-

sce w 1956 r. I zwalczał szeroko rozpowszechniony pogląd, że sami Polacy nie powinni poruszać tematu antysemityzmu. „Nawet polscy liberałowie i demokraci, nawet Polacy, którym antysemityzm jest najbardziej obcy i wrogi, skłonni są do przemilczania spraw, które wydają się zbyt wstydliwe. Jak przyznać przed sobą samym, że antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, że widok największej masowej zbrodni w historii świata nie spowodował masowego odruchu solidarności Polaków w stosunku do ludności żydowskiej?”

Nie dość tego. Jeleński podkreślał bowiem, że „wyjątkowe epizody” ratowania Żydów przez Polaków, którzy czyniąc to narażali własne życie, „nie wyrównują biernej odpowiedzialności, która ciąży nad narodem polskim za wyniszczenie trzech milionów ludzi”. Po czym zwalczał jeden „z ulubionych argumentów polskich antysemitów”, opowiadanie o Żydach, którzy radośnie witali wojska sowieckie wkraczające na polskie kresy wschodnie we wrześniu 1939 r. „W każdym razie wydaje się absurdem oskarżanie o «kolaborację» z komunizmem tych właśnie obywateli polskich, których «kolaboracja» wytłumaczalna jest względami samozachowawczymi: mniej by Żydów pociągał komunizm, gdyby była ich nie odtrącała Polska przez tyle lat”⁹.

Niektóre zarzuty Jeleńskiego szły zbyt daleko. Nie wiedział przecież wtedy i wiedzieć nie mógł o tym, co polskie podziemie zrobiło dla ratowania Żydów i dla powiadomienia aliantów zachodnich o hitlerowskiej polityce eksterminacji. Zaslugą jego artykułu było jednak wyraźne postawienie sprawy i trafne wskazanie obojętności Polaków na los Żydów, braku solidarności z nimi. Jeleński analizo-

⁹ Konstanty A. Jeleński, *Od endeków do stalinistów*, K., 9/107, 1956; G. Pomian (wyd.), *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976*, t. II, s. 100.

wał nadto przejawy antysemityzmu w PZPR, pokazując, że stalinowska grupa w jej kierownictwie usiłuje używać go jako broni w walce przeciw „liberalnej” opozycji wewnętrzzpartyjnej. Tak działo się istotnie w 1956 roku, a w jeszcze większym zakresie w czasie haniebnych wydarzeń z marca 1968, gdy „Kultura” raz jeszcze opowiedziała się jednoznacznie przeciw polskiemu antysemityzmowi.

Co się tyczy samej ankiety, jej wyniki sprawiły „Kulturze” rozczarowanie, którego nie próbowała ukryć. Z osobistości, do których się zwrócono, niemal żadna nie nadesłała wypowiedzi. „Jest to pierwszy wypadek, aby tego rodzaju inicjatywa «Kultury» spotkała się z tak negatywną reakcją. Trudno nie wyciągnąć stąd wniosku, że temat jest żenujący”. Po czym autor komentarza podpisanego przez redakcję — był nim Jeleński — zauważa, że jego artykuł i list czytelniczki z Izraela ogłoszony w tym samym numerze wielu czytelników uznało za „prowokację” i cytuje kilka listów, które o tym świadczą.

Komentarz omawia następnie cztery listy otrzymane z Polski i dwadzieścia cztery listy emigrantów, w tym takie, które usiłowały odsłonić głębokie korzenie polskiego antysemityzmu w przesądach chłopów polskich oraz w konkurencji gospodarczej Polaków i Żydów w małych miasteczkach targowych. Maria Czapska, siostra Józefa Czapskiego, zwróciła jako jedyna uwagę na wpływ liturgii katolickiej i modlitwy *Oremus et pro perfidis Judaeis*, usuniętej później przez Sobór Watykański Drugi. Zakończenie komentarza warto przytoczyć:

„Pozostaje zagadnienie antysemityzmu podświadomego czy «magicznego» w masach polskiego ludu. Wydaje się, że może mu się skutecznie przeciwstawić jedynie Kościół katolicki. Oby polska hierarchia pamiętała, że nic nie zyskało Kościołowi tyle ogólnego szacunku i uznania w świecie w ciągu ostatniego stulecia, co jego bezkompromisowe stanowisko, w niektórych przynajmniej krajach, w

obronie Żydów przed hitlerowską eksterminacją. Oby katolicy polscy zdali sobie sprawę z tego, że antysemityzm jest zagadnieniem totalnym, którego nie można usprawiedliwiać częściowo”¹⁰.

Czterdzieści lat minęło od daty napisania tych słów. Smutno przyznać, że są one nadal aktualne. Ale niestety są.

¹⁰ *Problem antysemityzmu. Ankieta „Kultury”*, K., 1/111–2/112, 1957; G. Pomian (wyd.), *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976*, t. II, s. 127.

II. Giedroyc i Mieroszewski

Aktualność Mieroszewskiego

Po siedemdziesięciu bez mała latach współkształtowania polskiej kultury i polskiej polityki, w tym zwłaszcza — po siedmiu ostatnich, które obok wywiadów prasowych i audycji telewizyjnych przyniosły *Autobiografię na cztery ręce*, Jerzy Giedroyc jest dziś jedną z najbardziej znanych postaci naszej sceny publicznej¹. W ogólnych zarysach znana jest też historia Instytutu Literackiego². Juliusz Mieroszewski nadal jednak pozostaje w cieniu. W przeciwieństwie do pisarzy „Kultury” — Bobkowskiego, Gombrowicza, Herlinga, Jeleńskiego, Miłosza, Stempowskiego — nie zaistniał on dotąd jako postać samodzielna. Jest tak po części dlatego, że w Polsce wciąż jeszcze ceni się bardziej słowa niż myśli, błyskotliwość niż logikę, wiersze niż argumenty. Ale zaciążyła na tym również osobowość Mieroszewskiego, który żył jak samotnik, miał tylko jednego przyjaciela, Jerzego Giedroycia, i nie zostawił po sobie ani uczniów, ani wielbicieli. Świadczył o tym przejmująco jego pogrzeb, który, jak pisał Giedroyc do Jeleńskiego, „odbył się przy kompletnej obojętności polskiego Londynu. Poza rodziną Inki Mieroszewskiej był nasz prenu-

¹ O ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie zawarte w tym szkicu informacje na temat J. Giedroycia pochodzą z *Autobiografii na cztery ręce*, cyt. wg wyd. z 1999 r.

² Por. „Kultura” i jej krąg 1946–1986, Paryż, Les Amis de Kultura, 1988; reprint: Lublin, Wydawnictwo UMCS, 1995.

merator z Kanady, będący przejazdem w Londynie, p. Stypińska ze Stow. Pisarzy oraz ja”³. Świadczy o tym jeszcze dobitniej fakt, że trzy jego książki wznowione przez wydawnictwa podziemne nie wzbudziły zainteresowania⁴ i że wśród autorów emigracyjnych przywróconych po 1989 roku czytelnikom w Kraju nie znalazło się dlań jak dotąd miejsce⁵.

O Mieroszewskim wiadomo przede wszystkim, że w latach 1949–1976 był współtwórcą linii politycznej i czołowym publicystą „Kultury”, autorem kroniki londyńskiej i artykułów, które wyrażały stanowisko pisma. Wiadomo też, że, jak nikt inny, był przez tych dwadzieścia siedem lat partnerem, doradcą, powiernikiem i przyjacielem — słowem, *alter ego* Jerzego Giedroycia. Wiadomo nadto, że jego pisarstwo wywarło wpływ, którego zasięg pozostaje wprawdzie do ustalenia, ale który na pewno był znaczny, na opinię emigracji oraz — może nawet większy — na opinię w Kraju, zwłaszcza na postawy wobec sąsiadów Polski ze Wschodu i z Zachodu, wobec Ukrainy, Litwy i Białorusi, i wobec Niemiec; w szczególności w historii normalizacji stosunków polsko-niemieckich artykuły Mieroszewskiego odegrały rolę mniej widoczną wprawdzie, ale kto wie, czy nie równie ważną, co słynny list biskupów, który zresztą wyprzedziły o dziesięć lat⁶. Wiadomo wreszcie, że bez wczytania się w jego artykuły niepodobna wręcz napisać rzetelnej historii polskiej dysydencji po 1956 roku, gdyż z nich właśnie zaczerpnęła ona liczne inspiracje i pomysły.

³ List z 5 lipca 1976 w: J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, s. 422.

⁴ Stwierdza to Andrzej Friszke we wstępie do: *Myśl polityczna na wygnaniu. Publicyści i politycy polskiej emigracji powojennej*, Warszawa 1995. Tom ten zawiera studium Rafała Habielskiego *Gra możliwości. O pisarstwie Juliusza Mieroszewskiego*, s. 139–162.

⁵ Por. wszelako A. Mencwel, *Publicysta Juliusz Mieroszewski*, „Gazeta Wyborcza”, 15–16 czerwca 1996.

⁶ Poczynając od artykułu *Niemcy...*, K. 4/78, 1954, do 1965 r.

Wszystko to prawda. Ale nie określa to jeszcze zadowalająco miejsca Mieroszewskiego w historii. Powiedzmy więc od razu, pozostawiając uzasadnienie na później, że był on najwybitniejszym bodaj i najbardziej oryginalnym polskim myślicielem politycznym po II wojnie światowej. Więcej nawet: był chyba jednym z bardzo nielicznych rzeczywiście oryginalnych i wybitnych myślicieli politycznych wywodzących się z Europy Środkowej i zajmujących sprawami tego regionu. Jakoż w krajach bloku sowieckiego myśl polityczną tłumiły pospołu dominacja marksizmu i cenzura, a emigranci byli nazbyt często zapatrzeni w przeszłość i oderwani od rzeczywistości krajów pochodzenia. Toteż choć umysłów oryginalnych nie brakło, łatwiej znaleźć wśród nich filozofów, socjologów, ekonomistów i historyków niż analityków polityki wykraczających poza doraźne komentarze i usiłujących odsłonić zarówno trwałe — geograficzne, historyczne, psychologiczne — uwarunkowania stosunków międzynarodowych, jak kierunki zmian systemów sprawowania władzy w poszczególnych krajach oraz wzajemne zależności między jednymi a drugimi, aby budować na tej podstawie jeśli nie programy, to przynajmniej wytyczne dla działań zbiorowych na rzecz odzyskania wolności⁷.

Na tym właśnie skupiał się Mieroszewski. Jego korespondencja z Jerzym Giedroyciem to zatem nie tylko zespół ciekawych, niekiedy wręcz pasjonujących dokumentów, gdzie historycy lat powojennych znajdą masę nieznanych często informacji i gdzie wszyscy, których ten okres inte-

Mieroszewski poświęcił stosunkom polsko-niemieckim i miejscu Niemiec w Europie kilkanaście ważnych artykułów, które miały echa w samych Niemczech. Por. też: J. Mieroszewski, *Kehrt Deutschland in den Osten zurück? Polen Deutschland Europa*, Berlin 1961.

⁷ Innym przykładem myśliciela politycznego z tego regionu i z tego okresu co Mieroszewski, choć żyjącego i tworzącego w zupełnie innych warunkach, jest István Bibó. Por. *Misère des petits Etats d'Europe de l'Est*, Paris 1986, wyd. 2 Paris 1993.

resuje, łącznie z miłośnikami anegdot, złośliwości i plotek o pisarzach i innych sławnych ludziach, też będą mieli czym się pożywić. To również wprowadzenie w warsztat i w życie myśliciela, którego poglądy, wbrew temu, co się niekiedy przypuszcza, nie uległy bynajmniej całkowitej dezaktualizacji.

*

Czytać te listy — to jak podsłuchiwać cudzą rozmowę. Bo też rzadko zdarza się korespondencja, która by w tak wielkim stopniu była rozmową pisaną — zastępstwem prawdziwej rozmowy możliwej tylko wyjątkowo. W latach 1950–1960 międzynarodowe połączenia telefoniczne były bardzo kosztowne; podróże — jeszcze bardziej. Zresztą Mieroszewski nie chciał opuszczać Londynu i żadne namowy nie zdołały go do tego skłonić, a Giedroyc nie mógł często wyjeżdżać z Lafitu, gdyż „Kultura” pozostawiała mu bardzo ograniczoną swobodę ruchów. Toteż widywali się z rzadka, tylko dwa lub trzy razy w roku, i wszystkie sprawy załatwiali listownie, jak listownie prowadzili dyskusje, uzgadniali stanowiska i sformułowania, wymieniali informacje i pogłoski, opinie i oceny. Ich korespondencja mówi zatem o wszystkim: o losach świata i dziurawych butach, o zmianach w Związku Sowieckim i bólu zębów, o wydarzeniach w Polsce i polityce USA oraz o wydatkach niekiedy na poziomie kilku szylingów, o perypetiach życia emigracyjnego, spotkaniach z przyjezdnymi z Kraju, listach od Polaków rozsianych po świecie, kuchni redakcyjnej „Kultury”, jej finansach, kształtowaniu się jej linii politycznej i zmianach, jakim ulegała, jej autorach i niedoszłych autorach, kłopotach z kolportażem, reakcjach czytelników. Przewijają się przez nią dziesiątki tematów i setki osób.

Charakter rozmowy nadaje tej korespondencji jej gęstość. Poczta w owych latach pracowała dobrze: listy prze-

bywały odległość Paryż–Londyn najwyżej w dwa dni. Mogły więc rzeczywiście być namiastką spotkań pod warunkiem, by pisać je często. Dokładny wykaz liczby listów w rozbiciu rocznym za lata 1949–1956 podaje gdzie indziej. Tu wystarczy powiedzieć, że w latach 1951–1957 i 1959–1960 na każdy tydzień przypadają z górą 3 listy, a w latach 1958 i 1961–1967 — naprzemiennie 2 lub 3. Później mamy około dwóch listów tygodniowo aż do roku 1971, gdy choroba Mieroszewskiego znacznie zmniejszyła ich liczbę. Łącznie w latach 1949–1976 Giedroyc napisał do Mieroszewskiego 1796 listów i otrzymał ich odeń 1493. Mieroszewski mylił się zatem, gdy w 1966 r. szacował liczbę listów wymienionych z Giedroyciem na około 5000⁸. Do tej daty było ich 2559, z czego 1182 pochodzą z lat 1949–1956. To i tak bardzo dużo.

Charakter rozmowy nadaje też tej korespondencji sposób, w jaki listy są pisane: szybko, bez żadnych poszukiwań formalnych, niekiedy nawet bez znaków przestankowych. Nie ma tu żadnej literackości, żadnego myślenia o czytelniku innym niż bezpośredni odbiorca. W 1966 r., wspominając o swej korespondencji z Giedroyciem, Mieroszewski zauważył wprawdzie, że „gdyby — Boże broń — ktoś chciał [ją] wydać drukiem, objęłaby kilka tomów”. Ale myśl ta musiała mu się wtedy wydać fantazjowaniem, jak fantazjowaniem wydawała się pisaćemu te słowa, gdy dziesięć lat temu cytował ją po raz pierwszy⁹. W każdym razie nie wpłynęła w najmniejszym stopniu na poetykę pisanych listów. Zachowują one do końca styl wypowiedzi ustnych: opowiadania, myślenia głośno, sprawozdania, do czego przyczynia się swoboda, z jaką obaj autorzy osądzają

⁸ Por. maszynopis projektowanej audycji radiowej załączony do listu J. Mieroszewskiego 22 czerwca 1966 cyt. w: K. Pomian, *Redaktor i Publicysta — o polityce „Kultury”*, w tym tomie s. 115. Ostatnio znaleziono jeszcze kilka ułamków korespondencji Giedroycia z Mieroszewskim; nie zmienia to jednak zarysowanego tu obrazu.

⁹ Tamże.

osoby, instytucje i wydarzenia, o których piszą, i z jaką spierają się ze sobą, gdy występują między nimi rozbieżności, choć zwracają się do siebie przeważnie „Drogi Panie” i „Drogi Panie Redaktorze”, rzadziej „Drogi Panie Juliuszu” i „Drogi Panie Jerzy”; przejdą na ty dopiero w 1975 roku.

Wszystko to sprawia, że listy te, jak chyba żaden inny dokument, pozwalają zajrzeć za kulisy, poznać intencje, niekiedy skrywane, dowiedzieć się, czego ich autorzy nie uważali za wskazane powiedzieć publicznie, choć myśleli to właśnie, a z czego po namyśle zrezygnowali. Odsłaniają pomysły, których trzeba było poniechać albo których nie udało się urzeczywistnić, zamiary, poszukiwania, próby. Pokazują obu autorów niejako od wewnątrz, od strony ich uczuć, przeżyć, wspomnień, oczekiwań, rozterek. Czytając je, trzeba wszelako pamiętać, że rejestrują przelotne nastroje, chwilowe irytacje, uniesienia, które rychło opadały, sądy nie do końca przemyślane lub zgola dyktowane impulsem. Że służą każdemu z autorów do sprawdzenia reakcji drugiego i za jego pośrednictwem własnej, a niekiedy — do zobaczenia swych myśli na piśmie, co uprzedmiotowia je i pozwala nabrać do nich dystansu, ustosunkować się do nich krytycznie. Jak każda prawdziwa rozmowa, tak i ta jest wymianą zarazem z rozmówcą i z sobą samym, co czyni z poszczególnych listów fragmenty jakiegoś osobliwego dziennika na cztery ręce: dziennika Jerzego Giedroycia i dziennika Juliusza Mieroszewskiego, które krzyżują się i odsyłają do siebie, tworząc łącznie jedyny istniejący dziennik „Kultury”.

Spotykali się już w czasie wojny: na Bliskim Wschodzie i w Rzymie. Nie była to jednak znajomość na tyle zażyła, by Giedroyc zaproponował Mieroszewskiemu uczestnictwo w zespole Casa Editrice Lettere. Kontakt nawiązał ponownie Mieroszewski, co świadczy, że jego nazwisko nie figurowało na liście autorów, których Giedroyc poszuki-

wał, by przyciągnąć ich do „Kultury”. Nic dziwnego: przed wojną Mieroszewski jako dziennikarz niczym się chyba specjalnie nie wyróżniał. Nie należał do grona świetnych piór skupionych wokół „Buntu Młodych” i „Polityki”; nikomu nie przyszłoby wtedy na myśl porównać go z takim np. Adolfem Bocheńskim. Przeistoczenie się Mieroszewskiego z dziennikarza w myśliciela nastąpiło w „Kulturze” i możliwe było tylko dzięki niej, gdyż żadne inne pismo na emigracji nie pozwoliłoby mu głosić jego obrazoburczych poglądów. Trafienie na redaktora takiego, jak Giedroyc, i znalezienie w jego osobie sprzymierzeńca politycznego, a zarazem partnera intelektualnego, inspiratora i przyjaciela, miało więc dla Mieroszewskiego znaczenie najzupełniej zasadnicze. W jakiejś mierze stworzyło go na nowo. Ich korespondencja — zwłaszcza z pierwszych lat — jest historią tego odrodzenia się w nowej postaci.

*

Czym był wrzesień 1939? Czy tylko jedną z tych klęsk wojennych, jakie zdarzają się w historii każdego kraju i z jakiej można się podnieść, by dalej działać bez wielkich zmian? Czy też, przeciwnie, katastrofą narodową, która obnażyła słabość samych podstaw państwa i społeczeństwa i która zmusza przeto do radykalnych rewizji? A jeśli tak — to co trzeba zakwestionować? Przygotowanie wojska? Ewolucję w kierunku totalitaryzmu znamioną dla ostatnich lat Drugiej Rzeczypospolitej? Konstytucję z 1935 r.? Pomajowe rady autorytarne? Stosunki społeczne? Stan gospodarki? Politykę wobec mniejszości i wobec państw ościennych? Granice? Spór o ocenę Września 1939 i wynikające z niej wnioski jest od czterdziestu z górą lat jednym z najważniejszych polskich sporów zarazem historycznych i politycznych.

Spór ten zaczął się, gdy jeszcze trwały walki, i wyraził

się początkowo w decyzjach dotyczących naczelnych władz państwa. Ale dla tych, którzy przeżyli Wrzesień w wieku męskim, nie mniej ważne od wniosków politycznych, jakie zeń wywiedli, było samo doświadczenie przegranej. Określiło ono w znacznej mierze ich postawy, poglądy i drogi życiowe na wszystkie późniejsze lata. Mieroszewski przeżył Wrzesień jako kataklizm zarazem zbiorowy i osobisty: tragedię narodu i bankructwo elit, załamanie się klasy społecznej i kręgu towarzyskiego, do których należał. Koniec świata. Jeśli pił do upadłego na Bliskim Wschodzie i w Rzymie, to nie tylko, jak sądzę, z powodu rozstania z żoną. Przede wszystkim z poczucia całkowitego krachu i beznadziejności.

Przestał pić dzięki drugiej żonie. Wyjechał do Anglii. Postarał się znaleźć sposób zarabkowania, który pozwalał mu przeznaczyć trochę czasu na lektury i na pisanie. Ale poczucie, że we Wrześniu jego życie uległo przepołowieniu i że druga połowa została odcięta od pierwszej, nie opuściło go już nigdy. By się o tym przekonać, wystarczy przeczytać przejmujący list z 25 stycznia 1955, w którym dowodzi Giedroycowi płonności wszelkich marzeń o stabilizacji¹⁰. Albo wmyśleć się w zdanie napisane piętnaście miesięcy wcześniej: „My już nigdy nie wyjdziemy z cienia wojny”¹¹. W pewnym sensie zresztą nigdy zeń nie wyszedł. Nie tylko dlatego, że to wojna ukształtowała świat, który był przedmiotem jego analiz. Również dlatego, że jego własna postawa wobec samego siebie i wobec innych nie daje się bez niej zrozumieć.

Istotnym składnikiem tej postawy było bowiem nigdy bodaj nie wypowiedziane przekonanie, że ze względów moralnych nie wolno żyć tak, jak się żyło przed Wrześniem. Że nie wolno zachowywać się tak, jak gdyby uważa-

ło się, że był to tylko przypadek losowy, z którego nic nadzwyczajnego nie wynika. Że wnioskom, jakie się z Września wyciągnęło, należy dawać wyraz nie tylko w słowach, lecz również w sposobie bycia. Stąd sarkazm Mieroszewskiego wobec polskiego Londynu, pogarda, z jaką często mówił o działaniu instytucji i zachowaniu jednostek — o tych wszystkich, którzy nie zrozumieli, co się stało, i gonią za prezesurami, tytułami, odznaczeniami, nagrodami, jak gdyby świat zachowywał swą postać sprzed Września, podczas gdy jest on zasadniczo odmienny. Stąd wybór trybu życia maksymalnie chyba przeciwnego temu, jaki sam prowadził przed wojną: rezygnacja z dobrych zarobków, odmowa podróży, zarzucenie rozrywek i ograniczenie stosunków towarzyskich. Zastąpienie życia światowego życiem wewnętrznym, dziennikarskiego rozproszenia — skupieniem myśli.

Gdy w 1949 r. Mieroszewski pisał pierwszy list do Giedroycia, miał dotkliwe poczucie bezsensowności swego życia sprowadzonego do wiązania końca z końcem bez żadnej perspektywy oddziaływania na rzeczywistość. Miał też poczucie bezsensowności poczynań tych emigrantów, którzy we własnym mniemaniu zajmują się polityką, a tak naprawdę czekają nie wiadomo na co. A raczej wiadomo: na dzień, w którym od bomb trzeciej wojny światowej runą w gruzy ich domy i angielskie posady. Jakże wymowny pod tym względem jest jego drugi list do Giedroycia z atakiem na „Orla Białego” za prześmiewczy stosunek do odbudowy Warszawy i za reakcyjność, czyli właśnie za myślenie tak, jak gdyby pozostawało tylko czekać, aż nieuchronny bieg wydarzeń sprawi, że przeszłość wróci do istnienia w całej swej krasie.

W tym okresie zaostrzania się rozdzwisku z polskim Londynem, reprezentowanym przez „Orla Białego”, i pogłębiającego się poczucia osamotnienia i bezsensu Mieroszewski spotkał „Kulturę” i Giedroycia. Porozumienie nastąpiło natychmiast. Więcej nawet: można chyba mówić

¹⁰ Por. J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. II, s. 45–49.

¹¹ List z 2 października 1953, tamże, cz. I, s. 304.

w tym przypadku o intelektualnej i politycznej miłości od pierwszego wejrzenia. Nic dziwnego. Rzadko zdarzały się dwie osobowości tak pod wieloma względami podobne do siebie, a zarazem tak dobrze dopełniające się nawzajem.

*

Giedroyc i Mieroszewski urodzili się w tym samym roku i wywodzili z tego samego środowiska społecznego: ze zubożałej arystokracji, która stawiała się inteligencją lub, jak kto woli, z inteligencji pochodzenia arystokratycznego, które reprezentowali drugie już pokolenie. Rodzinę pierwszego zrujnowała śmierć pradziadka; rodzina drugiego straciła majątki ziemskie gdzieś w drugiej połowie XIX w. Ojciec pierwszego skończył studia farmaceutyczne i pracował jako aptekarz; ojciec drugiego był lekarzem. Obaj, i Giedroyc, i Mieroszewski, studiowali prawo; jeden na Uniwersytecie Warszawskim, drugi — na Uniwersytecie Jagiellońskim. I obaj związali się z prasą: Giedroyc wydawał miesięczniki w czasie wolnym od urzędowania w takim czy innym ministerstwie, a Mieroszewski, po krótkim okresie pracy w banku, został dziennikarzem w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” (IKC).

Podobieństw charakterologicznych też nie brakło. Obaj mieli skłonność do samotnictwa, która u Mieroszewskiego rozwinęła się w pełni po wojnie, a u Giedroycia pozostała stłumiona na skutek życia w „falansterze” Maisons-Laffitte; wiadomo, że chwilami bardzo mu ono ciążyło. Obaj traktowali pracę nie jako źródło zarobków, ale jako powołanie i obowiązek, jako dziedzinę, która była dla nich nie częścią życia, lecz życiem samym, co sprawiało, że podporządkowywali jej wszystko inne ze sprawami osobistymi na czele. Obaj umieli zajmować wobec siebie nawzajem stanowisko krytyczne, nie zgadzać się ze sobą, robić sobie wymówki, niekiedy bardzo gorzkie i nieprzyjemne. Ale umieli też za każdym razem, po przedstawieniu sobie nawzajem

argumentów, skończyć spór i dalej współpracować, jak gdyby nigdy nic. To zaś dlatego, że każdy z nich umiał wycofać się z zajmowanego stanowiska pod presją drugiego i że zwycięzca w sporze nie żądał przyznania mu racji, zadowalając się odrzuceniem niesłusznego jego zdaniem poglądu. Względy merytoryczne były ważniejsze dla każdego z nich od ambicjonalnych satysfakcji. Przychodziło im to tym łatwiej, że odznaczali się bezwzględą lojalnością w stosunkach wzajemnych i że każdy z nich przypisywał drugiemu działania z pobudek bezinteresownych.

Obu fascynowała polityka. Giedroyc ujmuje ją jednak z perspektywy wysokiego urzędnika, który w centrum uwagi stawia państwo: aparat administracyjny, wojsko, organa porządku publicznego — z perspektywy rządu. Mieroszewski patrzył raczej z dołu, z punktu widzenia obywateli, którzy uważają kontrolowanie władz za swe prawo i obowiązek. Ta różnica podejścia do polityki streszcza się w butadzie Mieroszewskiego, który napisał w jednym z listów, że gdy Giedroyc zostanie premierem, to jego, Mieroszewskiego, miejsce będzie w naczelnym organie prasowym opozycji¹². Dla Giedroycia najważniejszym celem polityki wewnętrznej jest zachowanie jedności państwa zagrożonej przez dążenia odśrodkowe, zwłaszcza mniejszości narodowych; państwo monoetniczne nie mieści się w jego wyobraźni. Dla Mieroszewskiego celem takim było umożliwienie społeczeństwu wyrażania niekiedy różnych tylko, a niekiedy wręcz sprzecznych interesów poszczególnych grup, tak by znaleźć optymalne rozwiązania dla rodzących przez nie konfliktów.

W tym punkcie stanowiska Giedroycia i Mieroszewskiego dopełniały się równie dobrze, co w widzeniu przez nich miejsca Polski w układzie stosunków międzynarodowych — widzeniu zakorzenionym w przeżyciach dzieciństwa i określonych nimi więziach kulturowych. Giedroyc

¹² Por. list z 25 stycznia 1952, tamże, cz. I, s. 183.

urodził się w Mińsku białoruskim; do gimnazjum zaczął uczęszczać w Moskwie. Jego drugim językiem jest rosyjski, a jako student ostatniego roku prawa zapisał się na historię Ukrainy. Mieroszewski urodził się w Galicji, wychowała go bona Niemka, czytał po niemiecku wcześniej niż po polsku i przeżył w Niemczech kilka lat jako korespondent IKC¹³. Pospołu ucieleśniali dwoistość Polski, jej położenie między Rosją a Niemcami, jej przynależność do Wschodu i do Zachodu. Ucieleśniali też inną polską dwoistość o znaczeniu zarazem politycznym i kulturowym, każdy z nich należał bowiem do nieco innego Zachodu: Mieroszewski śledził głównie piśmiennictwo angielskie i amerykańskie, Giedroyc czyta przede wszystkim Francuzów i autorów tłumaczonych na francuski. Do tego należy dodać, że o ile Giedroyc bliski jest utożsamienia kultury z literaturą, o tyle Mieroszewski, który obok prawa skończył również Wyższą Szkołę Handlową, przypisywał wielką wagę ekonomii, nauce i technice.

Najdziwniejsze w stosunkach między Giedroyciem a Mieroszewskim jest to, że drugi uznał bez żadnych zastrzeżeń wyższość pierwszego, co rzadko zdarza się rówieśnikom. Brało się to nie tylko z faktu, że Giedroyc był twórcą i redaktorem naczelnym „Kultury”, do której Mieroszewski zgłaszał dopiero akces. Również z podziału pracy, który zostawiał Mieroszewskiemu to, co lubił najbardziej, tzn. pisanie, a zarazem czynił zeń współautora linii politycznej „Kultury”. I ze szczerego podziwu dla redaktorskich talentów Giedroycia, dla jego umiejętności przyciągania autorów, dla jego wysokich wymagań i bezkompromisowości, ilekroć w grę wchodził poziom pisma, a przede wszystkim chyba — dla jego nieustępliwej walki o utrzymanie niezależności. W początkach współpracy Mieroszew-

skiego z „Kulturą” właśnie jej niezależność miała dlań chyba zasadnicze znaczenie, gdyż przynosiła rozwiązanie dylematów, z którymi w pojedynkę nie mógł się być uporać.

*

Również Giedroyc przeżył Wrzesień jako koniec świata. O wiele bardziej powściągliwy od Mieroszewskiego w wewnętrzznianiu uczuć, zamknięty w sobie, a zarazem obdarzony temperamentem człowieka czynu — gdy już stało się jasne, że dla takich jak on droga do Polski jest zamknięta, odpowiedział na to nie włączeniem się w utrzymywanie przy życiu dawnych instytucji, ale stworzeniem nowej. Zapewne nie był jedynym, który w tych pierwszych latach powojennych zakładał pismo. Ale był chyba jedynym, który od początku całkowicie uniezależnił się od uznanych przywódców, istniejących partii, posiwiących koterii literackich, polskich i obcych pieniędzy obciążonych serwitutami politycznymi, jak gdyby chciał pokazać na przykładzie własnym i swych przyjaciół, że odbudowę niepodległości zaczyna się od siebie i od zaraz¹⁴.

Stały za tym poglądy na przyszłą Polskę znacznie zradykalizowane w stosunku do tych, jakie Giedroyc wyznawał przed wojną, zwłaszcza w sprawach społecznych i narodowościowych. I stało za tym przekonanie, które różniło go od elity emigracyjnej skupionej w Londynie, że przyszła Polska nie może być prostą kontynuacją Polski przedwojennej, że choć będzie ta sama — musi być inna. Stał za tym wreszcie wstręt Giedroycia do czekania z założonymi rękami i ustami pełnymi frazesów, jego niewiara w trzecią wojnę, która by miała wyzwolić Polskę od panowania so-

¹³ Por. Piotr Wandycz, *O Mieroszewskim i Mieroszewskich*, tamże, cz. I, s. 38, oraz list J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z 3 lutego 1954, tamże, cz. I, s. 349–350.

¹⁴ Jak wspomina Adam Pragier, *Moja opinia o „Kulturze”*, K. 5/235, 1967, Instytut Literacki był jedyną placówką wydawniczą, która pod koniec wojny nie otrzymała subwencji od rządu.

wieckiego, jego potrzeba podjęcia walki z komunizmem bez zwłoki i to tam, gdzie wydawał się on szczególnie mocny, niemal nie do odparcia: na obszarze światopoglądów, idei, rozumienia historii, wizji przyszłości. Na obszarze kultury, która była dla Giedroycia polityką prowadzoną innymi metodami.

Zdaniem Giedroycia, który i w tym punkcie różnił się zasadniczo od emigracyjnych autorytetów, nie sposób było poprzestawać na widzeniu w komunizmie wyłącznie narzędzia imperialnej ekspansji Rosji i przypisywać jego sukcesów tylko nagiej sile wspomaganej tchórzostwem i ustepliwością Zachodu. Za istotny czynnik zwycięstw komunizmu Giedroyc uważał bowiem jego atrakcyjność. Atrakcyjność dla krajów zacofanych, którym proponował szybkie uprzemysłowienie. I dla tych klas społecznych, którym oferował zaspokojenie ich podstawowych roszczeń. Jakoż przed robotnikami roztaczał wizję świata bez kryzysów, pełnego zatrudnienia i nadania ich pracy godności najwyższej. Inteligencji technicznej obiecywał modernizację wszystkich dziedzin gospodarki. Środowiskom intelektualnym dostarczał systemu pojęć zdolnego rzekomo zapewnić myślowe panowanie nad historią przeszłą i skuteczne, gdyż brzemienne działaniem, programowanie przyszłej. Sławił pracę, naukę, młodość, przyszłość, człowieka, wolność i pokój.

Uznanie, że komunizm przyciąga ludzi normalnych, inteligentnych i nie zdeprawowanych, nakazywało w pierwszym rzędzie poniechać traktowania wszystkich, którzy doń przystąpili lub z nim współpracują, jak kanalii przekreślonych raz i na zawsze. Nakazywało przyjąć, że działają z pobudek ideowych. Toteż Giedroyc zakładał, że część z nich prędzej czy później przejrzy i że należy im w tym pomóc, unikając języka, który by odtrącał ich z góry. Że należy odsłaniać fałsz propagandy komunistycznej, pokazując jej całkowitą sprzeczność z realiami życia w Związku Sowieckim i krajach „demokracji ludowej”. Ale że zara-

zem należy przeciwstawić komunizmowi bardziej atrakcyjny program rozwiązania problemów gospodarczych i społecznych, którymi się żywił, bardziej atrakcyjny wzór myślenia o historii i polityce, bardziej atrakcyjną literaturę, bardziej atrakcyjną sztukę i bardziej atrakcyjną wizję przyszłości. Giedroyc zakładał, innymi słowy, że, by wygrać z komunizmem, nie wystarczy negować i wyklinać. Trzeba nadto mieć do zaoferowania coś pozytywnego.

Takie stanowisko musiało doprowadzić do konfliktu z czynnikami politycznymi polskiego Londynu wokół trzech spraw. Wokół programu emigracji, gdyż zdaniem Giedroycia przywrócenie bez zmian Polski przedwrześniowej nie mogło zwycięsko konkurować z projektami komunistów ani jako perspektywa rozwiązania polskich problemów społecznych, ani jako wizja przyszłości. Wokół oceny tego, co się dzieje w Kraju, gdyż Giedroyc uważał, że nie sposób zadowolić się potępieniem wszystkiego w czambuł, lecz że trzeba dążyć do uzyskania rzetelnej wiedzy na ten temat, by na jej podstawie dopiero oceniać poszczególne zmiany. Wokół stosunku do przyjezdnych z Kraju, do tych zwłaszcza, którzy po okresie współpracy z władzami komunistycznymi postanowili zostać na Zachodzie. Londyn wymagał od nich kajania się; Giedroyc — analizy motywów, które skłoniły do współpracy z komunistami, i przyczyn, które spowodowały zerwanie z nimi.

Program emigracji stał się pośrednio przedmiotem dyskusji za sprawą Wańkowicza; *Klub Trzeciego Miejsca* był bowiem próbą, skądinąd mętną i nieudaną, określenia jakiegoś stanowiska, które by nie było ani kurczowym trzymaniem się przedwrześniowych dogmatów, ani akcesem do Polski Ludowej. Nie miało to ważniejszych skutków, tyle tylko, że pokazało kierunek poszukiwań „Kultury” i jej gotowość podejmowania tak wybuchowej tematyki, którą po kilku latach zademonstrowała jeszcze dobitniej. Inaczej było ze sporem o to, co się dzieje w kraju, spowodowanym publikacją reportażu Janty *Wracam z Polski*. Był

to pierwszy otwarty konflikt Giedroycia z gen. Andersem, pierwszy przejaw pretendowania „Kultury” do rangi niezależnego ośrodka politycznego. Aktem trzecim, sporem wokół przyjeźdnego z kraju, który postanowił zostać na Zachodzie, była „sprawa Miłosza”.

Nastąpiła ona dwa lata po wejściu Mieroszewskiego do zespołu i zacieśniła jego z nim związki. Ale już w 1949 r., gdy zaczynał on dopiero swą współpracę z „Kulturą”, wiedział, że może otwarcie atakować nie tylko Polskę Ludową, lecz również londyńskich nieprzejednanych, choć nie stawiał ich bynajmniej na tej samej płaszczyźnie. Ta pierwsza była mu obca i wroga — zmieni się to w pewnym stopniu po 1956 r. — podczas gdy poczuwał się do wspólnoty z tymi drugimi, acz poczucie to słabło z biegiem lat. Wiedział, że może zajmować wobec kraju postawę empiiryka, który chce naprzód stwierdzić, jak się rzeczy mają, a potem dopiero oceniać. Że, co więcej, może podjąć walkę o unowocześnienie emigracji, o dostosowanie jej myślenia politycznego do wymogów współczesności, czyniąc z niej składnik walki z komunizmem o odrodzenie demokracji w niepodległej Polsce. Że zatem nie jest dłużej skazany na rolę biernego świadka wydarzeń. Że może, choćby w ograniczonym zakresie, być ich współtwórcą. Nie musi czekać. Może działać. Dzięki „Kulturze” życie Mieroszewskiego odzyskało sens. Nic więc dziwnego, że przeniósł na nią swe ambicje i swe marzenia, że swym artykułom pisanym do niej stawiał coraz wyższe wymagania, że utożsamiał się z nią bez reszty. Aż jego życie stało się częścią jej historii.

★

W ciągu dwudziestu siedmiu lat współpracy z „Kulturą” stanowisko polityczne Mieroszewskiego ulegało zmianom powodowanym częściowo zmianą okoliczności, a częściowo pogłębianiem i uściślaniem przezeń własnych myśli. Zmiany te dawały niektórym asumpt do głoszenia, że

„Kultura” nie ma programu, nie ma doktryny, nie trzyma się konsekwentnej linii politycznej i nie wie, czego chce¹⁵. Repliki Mieroszewskiego na te zarzuty nigdy nie uciszyły ich ostatecznie, czemu nie sposób się dziwić: dla przeciwników „Kultury” tak na emigracji, jak w Kraju, były one szczególnie dogodne. Co więcej, miały pozór zasadności. W pewnym sensie bowiem, który Mieroszewski kilkakrotnie próbował wysłowić¹⁶, „Kultura” rzeczywiście nie miała ani programu, ani doktryny. Miała zasady i kształtowała swą linię polityczną, stosując je zależnie od okoliczności. Ale reguła Giedroycia, wedle której „trzeba umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy”¹⁷, jest trudna do zrozumienia, gdyż odnalezienie pierwszych za drugimi wymaga pewnego wysiłku i minimum dobrej woli.

„Kultura” nie miała programu ani doktryny w tym sensie, w jakim doktrynę miało Stronnictwo Narodowe czy w jakim miał ją PPS. Nie znaczy to, że jej stanowisko było, jak chciał Mieroszewski, nie ideologiczne, lecz pragmatyczne. Było ono bowiem równie ideologiczne, co inne. Różniło się od nich jednak w tej mierze — i była to różnica najzupełniej zasadnicza — w jakiej reprezentowało ideologię demokratyczną, co znaczy, że nie chciało przesądzać o rozwiązaniu jakiejkolwiek istotnej kwestii dotyczącej przyszłego ustroju Polski, jej granic czy instytucji. Chciało tylko doprowadzić do sytuacji, w której sami Polacy będą mogli zająć wobec tych kwestii stanowisko, i wyrażało gotowość uznania decyzji większości.

Jakoż w rozumieniu Mieroszewskiego i Giedroycia od

¹⁵ Celował w tym Stefan Kisielewski. Por. skądinąd świetne *Spotkania z Jerzym Giedroyciem*, „Puls”, 30, lato 1986, przedruk w: G. i K. Pomianowie (wyd.), *O „Kulturze”*. *Wspomnienia i opinie*, Londyn 1987, zwłaszcza s. 71–72.

¹⁶ Por. np. *ABC Polityki „Kultury” w: Polityczne neurozy*, Paryż 1967, s. 20–33 i *Linia w: Materiały do refleksji i zadumy*, Paryż 1976, s. 8–9.

¹⁷ *Autobiografia...*, s. 233.

samego początku ich współpracy naczelnym celem polityki polskiej nie może być przywrócenie Polski sprzed Września 1939 w nie zmienionym kształcie terytorialnym i instytucjonalnym. Nadrzędnym celem polityki polskiej powinno być wywalczenie dla Polski wolności, tzn. nierozdzielnie splecionych ze sobą demokracji i niepodległości. Giedroyc kładł akcent raczej na niepodległość, Mieroszewski, jak zobaczymy, raczej na demokrację; obaj byli jednak zgodni co do tego, że trzeba je ujmować łącznie. Takie wytyczenie nadrzędnego celu określało kryterium przykładowe przez Mieroszewskiego i Giedroycia do polityki emigracji: w jakiej mierze przyczynia się ona do osiągnięcia go, czy przybliża do niego i w jakim stopniu?

Wraz z upływem czasu odpowiedź staje się coraz bardziej krytyczna. „Dramat polski, nie mający analogii w dziejach naszego narodu — toczy się bez nas i poza nami. Sprawa bowiem wygląda tak: my nie walczymy z komunizmem, tylko odrzucamy komunizm [...]”¹⁸, stwierdza Mieroszewski na marginesie „sprawy Miłosza”. Pół roku później posuwa się jeszcze dalej: „Naszą postawę — pisze — charakteryzuje psychologia obłożonego miasta. W odniesieniu do wszystkiego obowiązuje u nas stan wyjątkowy w permanencji. Niczego nie wolno, na nic nie jest czas. Przede wszystkim niczego nie wolno zmieniać”. Po czym daje swą ocenę tego stanu rzeczy: „Jesteśmy reakcyjni, bo uważamy się nie tylko za uchodźców z niepodległej Polski, ale i za uchodźców z Europy «ancien régime'u». Jesteśmy reakcyjni, bo na wzór pocarskiej, rosyjskiej emigracji jesteśmy białą emigracją, która swą sprawę wiąże nie z postępem i rewizją, lecz przeciwnie, z dążeniem do przywrócenia «status quo ante». Jesteśmy reakcyjni, bo w tej epoce przełomowej zamiast być awangardą postępu, jesteśmy stróżami mauzoleum skostniałych doktryn”. I pyta: „Co

my przeciwstawiamy stalinowskiej reakcji, która dławi nasz kraj? Jaką rewolucję, jaki program reform?”¹⁹.

Dojrzewanie pozytywnego programu dla emigracji trwało jeszcze ponad dwa lata. Został on wyłożony w artykule *Polacy i... poganie*, który wywołał burzliwe dyskusje w Londynie²⁰ i chyba nie tylko w Londynie. Mieroszewski formułował w nim, po raz pierwszy bodaj z taką jasnością, cel polityczny emigracji:

„Państwo na emigracji» — pisał — wyznaje od początku fałszywą wiarę, że jedynym naszym celem jest niepodległość. Bismarckowska teza głosząca, iż absolutna suwerenność jest ostatecznym celem dążeń narodowych — jest dziś anachronizmem. «Kultura» zawsze była wierna pogładowi, że wolność jest celem nadrzędnym, któremu wszystko musi być podporządkowane. Pierwsze pytanie w politycznym abecadzie brzmi nie — czy Polska będzie niepodległa? lecz — czy świat jutra będzie światem wolnych ludzi? [...] Niepodległość Polski (między Rosją a Niemcami) rozpatrywana w oderwaniu od problemu radykalnej przebudowy systemu międzynarodowego, a w szczególności systemu europejskiego — jest mrzonką nie z tego świata”.

Z tej perspektywy Mieroszewski piętnował polityczną jałowość emigracji: „Nasza izolacja jest całkowita”. „Intelektualnie nie jesteśmy nawet na marginesie Zachodu, ale poza nawiasem Zachodu”. — Odrzucał obowiązującą emigrantów wiarę w powrót, „polityczną liturgię, z której wywietrzała wszelka treść”, i postulował uznanie faktu przemiany emigracji w Polonię, która winna zastąpić reprezentowanie kraju służbą krajowi. „Naczelnym zadaniem Polonii jest wyprowadzić Polaków z izolacji. Z getta politycznego, kulturalnego i intelektualnego. Musimy

¹⁸ J. Mieroszewski, *List z Wyspy*, K. 7/45–8/46, 1951, s. 96.

¹⁹ J. Mieroszewski, *Literatura „Oblężonego Miasta”*, K. 1/51, s. 4–6.

²⁰ Por. list J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z 2 października 1954 w: J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. I, s. 451–452.

wieść w społeczeństwa zachodnie, jeżeli chcemy wywierać formatywny wpływ polityczny i kulturalny”²¹.

Mieroszewski nie proponował bynajmniej emigracji politycznej, by popełniła samobójstwo. Uważał tylko, że powinna zerwać z fikcją „legalizmu”, który zakładał, że Polska jest w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim, i odkładał przeto wszystkie zmiany „państwa na uchodźstwie” do czasu zawarcia pokoju, co dostarczało „podstawy prawnej” dożywotnim prezydentom i dożywotnim prezesom stronnictw historycznych pretendującym do sprawowania rządów na emigracji i do reprezentowania Kraju z tytułu mandatu uzyskanego przed Wrześniem. Uważał, że życie polityczne emigracji — a raczej Polonii — należy oprzeć na zasadach demokratycznych, organizując wybory do Skarbu Narodowego, którego „celem zasadniczym [...] obok polityki powinno być służenie kulturze polskiej na obczyźnie”. Albowiem z wprowadzaniem demokracji nie należy czekać do zwycięstwa nad komunizmem i odzyskania niepodległości. Trzeba je zacząć od zaraz. Wrócimy jeszcze do tej sprawy.

Od Października 1956 r. Giedroyc i Mieroszewski zakładają do polityki Gomułki i jego ekipy to samo kryterium, które stosowali w poprzednich latach, by oceniać politykę emigracji. Doprowadzi to do udzielenia Gomułce „kredytu zaufania”, uważanego niekiedy za błąd „Kultury”. Toteż warto przypomnieć, jak zmiany dokonujące się w Kraju od 1955 r. były przeżywane i oceniane przez ludzi prześladowanych w latach stalinizmu, którzy nigdy nie okazywali wobec ideologii komunistycznej nawet cienia sympatii. We wrześniu 1956 r. Stefan Kisielewski pisał do Giedroycia:

„Sytuacja w Polsce? Podobno nie wierzycie w «odwilż» — ale nie macie racji. Odwilż to bardzo głęboki i długofalowy proces, zapoczątkowany w Rosji, którego konsekw-

wencje mogą być nieobliczalne. Dotychczasowe rezultaty już są ogromne: wypuszczenie ludzi z więzień, zaprzestanie prześladowań za «pochodzenie klasowe», złamanie wszechwładzy UB, reforma sądownictwa, likwidacja terroru «personalnych» w instytucjach, przyznanie pewnych uprawnień sejmowi, złagodzenie nacisku na przedsiębiorstwa prywatne, wielkie luzy w kulturze — to są rzeczy dla narodu doniosłe. Oczywiście — nie oznaczają one likwidacji totalizmu — to sprawa na dziesiątki lat, a pokolenie działaczy wychowanych na totalizmie nie chce ustąpić z placu ani w Rosji, ani w Polsce. Ale odwilż to zjawisko głębokie”.

Po czym Kisielewski analizował nastroje społeczne: „Rozsądni ludzie są w Polsce zgodni, że jeśli świat podzielił się na bloki, to miejsce nasze jest w bloku wschodnim, w sojuszu z Rosją. Ale chcielibyśmy w tym bloku wywalczyć sobie niezależność taką np., jak Tito. O to toczy się walka i w tym sensie ludzie z KC wcielają polską rację stanu, walcząc z Rosją o niezależność w ramach sojuszu. Pytanie, o ile da się zmienić ten idiotyczny ustrój gospodarczy, pasjonuje wszystkich — to oczywiście funkcja przemian w Rosji, ale i zręczności ludzi kierujących polityką partii. Niestety w tym uzależnianiu [sic! powinno być: uniezależnianiu] przeszkadza spontaniczna antyradzieckość społeczeństwa. Nie po raz pierwszy Polacy nie rozumieją swej racji stanu: nastroje antyradzieckie usztywniają Rosję i uniemożliwiają uniezależnienie [...]”²².

Kisielewski pisał to, nim doszło do zmiany na szczytach aparatu władzy, do zwolnienia kardynała Wyszyńskiego i ułożenia na nowych zasadach stosunków z Kościołem, do rozwiązania przez chłopów niemal wszystkich „spółdzielni produkcyjnych” i poniesienia przez PZPR programu kolektywizacji wsi, do likwidacji obowiązkowej organizacji młodzieżowej, do przyznania ograniczonej wprowadzić, ale realnej autonomii szkołom wyższym... I pisał to do

²¹ J. Mieroszewski, *Polacy i... poganie*, K. 9/83, 1954, s. 53, 56, 60.

²² List z 9 września 1956. Archiwum Instytutu Literackiego.

Giedroycia, który, jak Mieroszewski, był od dawna przekonany o realności „odwilży”. Świadczył o tym zresztą artykuł we wrześniowym numerze „Kultury”, napisany nieco wcześniej niż list Kisielewskiego, gdzie, po wyłożeniu swego credo politycznego, Mieroszewski określał warunki współpracy między krajem a emigracją. Oto credo: „O demokracji powiedziano setki rzeczy mądrych i wzniosłych. Ale dopiero na Zachodzie przyswoiliśmy sobie przekonanie, że istnieje tylko jedna prawdziwa wolność, to jest wolność demokratyczna. Wszystko inne nie jest wolnością dla wszystkich. Polacy stawiają znak równania między wolnością a niepodległością. Ale jest to ujęcie fałszywe. Polska rządzona przez oenerowskiego «Führera» mogłaby być państwem niepodległym i suwerennym, ale w tej Polsce nie byłoby wolności ani dla mnie, ani dla setek tysięcy moich rodaków”.

Po tym utożsamieniu wolności z demokracją w rozumieniu zachodnim, po stwierdzeniu, że „Polacy zagraniczni nie zrezygnują nigdy z ustroju demokratycznego w Polsce” i po przypomnieniu, że „Rząd demokratycznie wyłoniony może być lewicowy, prawicowy, koalicyjny — z udziałem lub bez udziału komunistów” — Mieroszewski określał warunki niezbędne dla ułożenia normalnych stosunków między emigracją a Krajem: „Jeżeli obecny ustrój w Kraju będzie ewoluował w kierunku uznania zasady wielopoglądowości politycznej — jeżeli liberalizacja zacznie z czasem przekształcać się w demokratyzację — wówczas zarysuje się możliwość unormalizowania stosunku emigracji do Kraju”²³. Po czym próbował sformułować dla emigrantów kodeks postępowania w nowej sytuacji, zastrzegając się zresztą, że zmienia się ona tak szybko, że stanowisko zespołu „Kultury” może ulec rozluźnieniu lub usztywnieniu „zależnie od dalszego rozwoju wypadków”.

Jak świadczy korespondencja Giedroycia z Mieroszew-

skim, gdzie sprawa ta zajmuje wiele miejsca, przyznanie przez „Kulturę” „kredytu zaufania” Gomułce nie było bynajmniej jeszcze jednym przejawem ogólnonarodowego uniesienia, które udzieliło się również znacznym odłamom emigracji. Było przemyślaną i konsekwentną decyzją, następstwem stwierdzenia, że zmiany, jakie dokonują się w Polsce, przybliżają realizację nadrzędnego celu politycznego, czyli odzyskania wolności. Wyrastało też z przekonania, że ruch społeczny, zwłaszcza zaś — robotniczy, będzie mógł odtąd wywierać nacisk na władze PRL i wymuszać na nich dalsze ustępstwa. Wystąpienie robotników Poznania było bowiem dla Giedroycia nie jednorazowym wybuchem bez trwałych skutków, ale świadectwem wejścia klasy robotniczej na scenę publiczną w roli jednego z czołowych protagonistów konfliktu zarazem gospodarczego, społecznego i politycznego. Było pojawieniem się siły, z którą kierownictwo PZPR będzie odtąd musiało się liczyć.

Udzielenie Gomułce przez „Kulturę” „kredytu zaufania” nie było, co ważniejsze, rezygnacją ze stawiania mu wymagań, z popierania wszelkich działań zmierzających do poszerzenia zakresu wolności i z szukania dróg stworzenia w Polsce opozycji politycznej. Ostatni list Mieroszewskiego z 1956 roku jest pod tym względem tak ważny, że jego fragment trzeba tu przytoczyć: „Jeżeli chodzi o stosunek do obecnego rządu polskiego, to musimy stworzyć nową koncepcję opozycji politycznej. Rządu nie uznajemy za demokratycznie wyłoniony rząd polski, ale uznajemy tenże rząd za faktyczny organ kierowniczy polityki krajowej. We wszystkich zagadnieniach związanych z bezspornymi interesami narodowymi jesteśmy gotowi ten rząd faktycznie popierać, nie tracąc jednak nigdy z oczu celu zasadniczego, to jest odbudowy pełnej demokracji (co nie wyklucza istnienia w Polsce silnej partii komunistycznej)”²⁴.

²³ J. Mieroszewski, *Dialog*, K. 9/107, 1956, s. 6.

²⁴ List J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z 27 grudnia 1956 w: J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. II, s. 483.

Słowa te nie wymagają komentarza. Warto natomiast porównać stanowisko „Kultury” pod koniec lata 1957 r., a więc jeszcze przed rozwiązaniem „Po prostu” i cofnięciem Gomułce „kredytu zaufania”, ze stanowiskiem Wolnej Europy. Zarówno Giedroyc, jak Nowak są zgodni, że kierownictwo PZPR zaczyna wycofywać się z pozycji zajmowanych w Październiku. Ale w ich postawie występuje znamienna rozbieżność. Nowak do Giedroycia: „Nie wiem, czy Pan się ze mną zgodzi, ale wydaje mi się, że należy działać raczej powściągająco. [...] Dopiero po Zjeździe można będzie ustalić, czy chodzi tu o stałą tendencję odwrotną”. Na co Giedroyc: „Osobiście nie bardzo zgadzam się z Pańskim założeniem, że należy działać powściągająco. Zależy na jakim odcinku. Politycznym (antysowieckim) tak, na ekonomicznym np. nie. Wydaje mi się, że taki strajk w Łodzi trzeba było bardzo energicznie poprzeć. Nie jest naszym zadaniem popieranie Gomułki, ale tylko zmuszanie go w miarę naszych możliwości, by szedł w takim, a nie innym kierunku. Wygrany strajk ekonomiczny stworzyłby mu niewątpliwie trudności, ale robotnicy politycznie by się wyprostowali, a Zw. zawodowe musiałyby ożyć. No, ale to temat do dłuższej dyskusji”²⁵.

Stanowisko „Kultury” było, jak z tego widać, bardziej konsekwentne i w mniejszym stopniu dyktowane złudzeniami, niż się to niekiedy twierdzi. Jak to często bywa, przeciwnicy widzieli tę konsekwencję lepiej od niektórych zwolenników, a nawet chyba ją przeceniali. Oto poufna informacja otrzymana z kraju i przesłana przez Jana Nowaka Giedroyciowi:

„W związku z aktualizacją zagadnienia stosunków kraj–emigracja, grupa Pax dostarczyła sekretariatowi generalnemu PZPR ocenę polityczną polskiej emigracji politycznej, opracowaną przez zespół MACKIEWICZ, HAGMAJER, ROSTWOROWSKI, REIFF i in. Szczegóły rapor-

tu są nam bliżej nie znane, wiemy jednak, że zawierał on atak na «dekadensko-burżuazyjny» ośrodek «Kultury», oddziaływający w sensie «demoralizującym» na inteligencję polską i starający się «podniecać» rewizjonistów i galwanizować «kosmopolityczne» elementy PZPR. Można było zrozumieć z raportu, że «elementy kosmopolityczne» to w pierwszym rzędzie Żydzi.

PIASECKI dorzucił osobiście do raportu, że GIEDROYC jest niebezpieczny, będąc jedynym człowiekiem na emigracji mającym koncepcję polityczną i plan, który wykonuje co do litery. Plan jego jest niebezpieczny, bo prowadzi do konfliktu z Rosją i do opanowania władzy w Polsce przez kosmopolitycznych oportunistów idących pod pozorami neutralności na akcję antysowiecką oraz na całkowitą przebudowę struktury ekonomicznej i politycznej kraju. Plan ten wedle kierownika Paksu jest szaleństwem i aplikowanie jego grozi pograżeniem Polski w kompletną anarchię, wojnę domową ze wszystkimi jej zewnętrznymi implikacjami”. Po czym mowa o grupie Mikołajczyka, o micie Andersa oraz o NiD-zie i o Grupie Popiela²⁶.

Była to już jesień 1957. Nie tu miejsce, by przedstawiać politykę „Kultury” po rozwiązaniu „Po prostu” i cofnięciu Gomułce „kredytu zaufania”²⁷. Wystarczy tylko zauważyć, że kryterium oceny zarówno poczynań władz, jak różnorakich inicjatyw społecznych, pozostało nie zmienione. W każdym przypadku chodziło o ustalenie, w jakiej mierze dane posunięcie jest krokiem ku wolności, czy przybliża do niej i w jakim stopniu.

★

Oryginalność Mieroszewskiego i wyjątkowość jego stanowiska w powojennej polskiej myśli politycznej biorą się

²⁵ J. Nowak do J. Giedroycia, 30 sierpnia 1957, i odpowiedź Giedroycia z 3 września 1957. Archiwum Instytutu Literackiego.

²⁶ Załącznik do listu J. Nowaka do J. Giedroycia, 1 października 1957. Archiwum Instytutu Literackiego.

²⁷ Por. mój szkic *Redaktor i Publicysta...*, w tym tomie s. 126–134.

z umieszczenia przezeń demokracji na szczycie hierarchii wartości. Z uznania jej za cel nadrzędny. Wpisywało się to w całościowy pogląd na społeczeństwo, nigdy nie wyłożony systematycznie, rzecz jasna, ale łatwy do odtworzenia²⁸. Składały się nań akceptacja konfliktowości społeczeństwa, obecności w nim przeciwnych interesów grupowych i sprzecznych opinii, przy równoczesnym dopuszczeniu, że sprzyjające warunki polityczne umożliwiają pokojowe rozstrzyganie konfliktów. Oraz wyniesienie do rangi najwyższego dobra wolności jednostki i nadanie zasadniczego znaczenia instytucjom, które pozwalają jej urzeczywistniać się. Towarzyszyło temu przeprowadzanie wyraźnej granicy między państwem i ogólnie życiem publicznym, nieodwołalnie świeckim, a obszarem prywatności, do którego należą wierzenia religijne.

Liberalizm polityczny był niezbywalnym składnikiem demokratyzmu Mieroszewskiego. Nie był on jednak liberałem ekonomicznym. Uważał, że państwo powinno prowadzić politykę społeczną, że, co więcej, winno dążyć do realizacji sprawiedliwości społecznej i że jego obowiązkiem jest przeto regulowanie rynku jako podstawowego mechanizmu alokacji dóbr. W tym punkcie jego demokratyzm nabierał wyraźnego zabarwienia socjalistycznego. Mieroszewski był wreszcie zdania, że gospodarka i życie społeczne rozwijają się postępowo i że zasadniczym czynnikiem sprawczym tego rozwoju są pospół nauka i technika.

W latach 1950–1960 poglądy takie były szeroko rozpowszechnione w demokratycznych krajach Europy Zachodniej i w USA; inspirowały nawet programy rządów w kwestiach gospodarczych i społecznych. Ale w polskim życiu politycznym i umysłowym Mieroszewski był odosobnio-

²⁸ W dalszym ciągu, poza cytowanymi wyżej artykułami, opieram się zwłaszcza na czterech książkach Mieroszewskiego. Wszystkie wydał Instytut Literacki. Są to: *Ewolucjonizm* (1964), *Polityczne neurozy* (1967), *Modele i praktyka* (1970) i *Materiały do refleksji i zadumy* (1976).

ny. Na emigracji nawet Jerzy Giedroyc, skądinąd tak mu bliski, nie podzielał jego przekonań socjalistycznych, które sprowadzał, niesłusznie, jak sądzę, do pozy przybranej pod wpływem angielskich lektur²⁹. W Kraju zaś rewizjoniści, którzy by mogli być jego zwolennikami, wyzwalali się dopiero od marksizmu; zresztą do połowy lat sześćdziesiątych niemal wszyscy należeli do PZPR, co wpływało na ich myślenie, zwłaszcza o społeczeństwie i polityce, i na ich stanowisko wobec poglądów Mieroszewskiego.

Ten bowiem łączył swój demokratyzm społeczny ze zdecydowanym, jednoznacznym, ideowo bezkompromisowym antykomunizmem. Był to jednak antykomunizm szczególnego autoramentu. Wolny od wszelkich skłonności totalitarnych, nie odmawiał on komunistom prawa do istnienia. Nie uważał, by w imię walki z nimi wolno było sprzymierzać się z patentowanymi wrogami demokracji i sprzeciwiał się zwalczaniu komunizmu z pogwałceniem zasad, których przed nim właśnie należało bronić. Zakładał, że komunizm dysponuje nie tylko siłą, lecz również argumentami, które trzeba umieć zwalczać, poddając je rzeczowej krytyce, i którym trzeba umieć przeciwstawić argumenty bardziej przekonujące. Że, innymi słowy, z komunizmem trzeba zwyciężyć w sporze ideowym, co wprawdzie nie wystarcza do obalenia go, ale jest tego warunkiem koniecznym. Antykomunizm Mieroszewskiego uznawał nadto, co było od początku stanowiskiem „Kultury”, że zmiany, jakie dokonały się w Polsce, mają nie tylko strony negatywne, i że niektóre z nich pozostaną nieodwracalne, o ile tylko dadzą się pogodzić z ustrojem demokratycznym.

Szukanie przez Mieroszewskiego dróg prowadzących do urzeczywistniania takiego ustroju w Polsce było prostym następstwem uznania przezeń demokracji za najwyż-

²⁹ *Autobiografia...*, s. 223.

szą wartość polityczną, za cel nadrzędny. Znaczyło to wszelako, że ustroj przyszłej Polski ma różnić się zasadniczo od ustroju Drugiej Rzeczypospolitej, której zasługi w różnych dziedzinach Mieroszewski jak najbardziej doceniał, ale której nie uważał za godną kontynuacji z uwagi na antydemokratyczny charakter rozwiązań ustrojowych utrwalonych w Konstytucji z kwietnia 1935 r. Odrzucenie przezeń „legalizmu” i negatywny stosunek do dożywotnich wodzów odpowiedzialnych tylko „przed Bogiem i historią” były następstwem tego bezwzględnie opowiedzenia się po stronie demokracji. I to właśnie stosunek do demokracji był ogniskiem wszystkich sporów Mieroszewskiego z publicystami „Orla Białego” i innych pism emigracyjnych, choć na pozór dotyczyły one wyłącznie aktualnych spraw emigracyjnej polityki: stanowiska wobec Zachodu i wobec Kraju, granic Polski, stosunku do Miłosza i do emigrantów z Polski Ludowej, Skarbu Narodowego czy Kongresu Wolnej Kultury Polskiej — by wymienić najważniejsze tematy z lat 1949–1956.

Demokracja — wedle Mieroszewskiego — to ustroj, w którym tylko wygrane wybory dają jednostce prawo reprezentowania innych, wypowiedzania się w ich imieniu i podejmowania wiążących ich decyzji. W którym zatem politycy są wybierani przez obywateli większością głosów i są przed nimi odpowiedzialni za swe posunięcia, w tym — za użytek czyniony z powierzonych im pieniędzy. To ustroj przejrzysty, gdzie nie sposób ukryć przed obywatelami, kto jakie stanowisko zajmuje w takiej lub innej kwestii, i gdzie zakres tajemnicy państwowej jest ograniczony do nieodzownego minimum. Wymaga to rozwiązań uniemożliwiających dożywotnie utrzymywanie się przy władzy. Wymaga też stałej kontroli władz przez obywateli, czyli istnienia nieskrępowanej opozycji politycznej i pełnej wolności słowa: wolności prasy i wolności stowarzyszeń.

W tym rozumieniu demokracji nie ma nic szczególnie oryginalnego. Chodzi tu przecież o rzeczy elementarne.

Ale nawet one były odrzucane przez znaczną część emigracyjnego świata politycznego i dziennikarskiego. W pierwszych latach powojennych można było jeszcze bronić poglądu, wedle którego, jeśli uznaje się istnienie państwa polskiego na wychodźstwie, nie wolno przed powrotem do Kraju wprowadzać żadnych zmian konstytucyjnych, by nie tworzyć w trybie niedemokratycznym faktów dokonanych i nie zrywać ciągłości. W miarę upływu czasu pogląd taki stawał się jednak coraz trudniejszy do utrzymania i coraz bardziej stawało się jasne, że chodzi nie tyle o obronę „legalizmu”, ile o zachowanie na emigracji autorytarnego modelu polskiego życia publicznego. Tragikomiczny spór na temat Kongresu Wolnej Kultury Polskiej (który miał odbyć się w Paryżu wiosną 1956 r.) między Mieroszewskim i Związkiem Pisarzy z jednej strony a z drugiej londyńskim komitetem organizacyjnym, gdyż ten chciał po pierwsze ustalić listę mówców na Kongresie, a po drugie ocenzurować z góry ich wystąpienia — był tego najbardziej jaskrawą ilustracją³⁰. Najbardziej jaskrawą, ale bynajmniej nie jedyną.

Ważniejsze od samego rozumienia demokracji przez Mieroszewskiego były wnioski polityczne wywiedzione przezeń z uznania jej za wartość nadrzędną. Najważniejszym z nich było wspomniane już twierdzenie, że głównym celem polityki winna być nie niepodległość, lecz wolność, tzn. niepodległość zespolona z demokracją, której stanowi warunek konieczny, ale która ze swej strony nadaje jej sens. Zrywało ono, z czego Mieroszewski zdawał sobie świetnie sprawę, z polską tradycją romantyczną i jej pozostałościami w myśleniu przeważającej większości polityków emigracyjnych, zarówno endeków, jak pepeesowców. Zresztą samą niepodległość Mieroszewski rozumiał inaczej niż jego oponenti. Nie uważał bowiem za możliwą i pożą-

³⁰ Por. J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. II, s. 225 i nast.

daną nieograniczonej suwerenności państwowej, gdyż przyjmował, że Polska nie jest w stanie o własnych siłach wywalczyć niepodległości i że, gdyby nawet ją odzyskała, nie byłaby w stanie jej utrzymać, o ile nie uległby zmianie cały porządek europejski.

Zdaniem Mieroszewskiego Polska mogła odzyskać niepodległość tylko w przypadku zwycięstwa krajów demokratycznych nad komunizmem. Jak wszyscy emigranci, oczekiwał go początkowo od trzeciej wojny światowej. Szybciej od wielu innych uświadomił sobie jednak, że do niej nie dojdzie, co doprowadziło go po 1956 r. do stawiania na wewnętrzną ewolucję w bloku sowieckim. Zauważamy nawiasem, że stanowisko to okazało się ostatecznie słuszne. Jakoż wbrew obiegowym mniemaniom, komunistyczny system sprawowania władzy ewoluował od totalitaryzmu do ustroju autorytarnego, który ulegał z kolei zmianom zmniejszającym rolę, jaką odgrywała w nim przemoc; gdyby było inaczej, odejście komunistów od władzy nie mogłoby dokonać się w sposób pokojowy, w jaki się ostatecznie dokonało. Tego wszystkiego Mieroszewski nie przewidział, rzecz jasna, i przewidzieć nie mógł. Trafnie rozpoznał jednak zmianę, jaka nastąpiła w Październiku 1956, i wyciągnął z tego wnioski, które miały istotne znaczenie dla kształtowania się późniejszej opozycji politycznej w PRL.

By wyjaśnić rozumienie przez Mieroszewskiego niepodległości, wróćmy jednak do jego twierdzenia, że samo przez się odzyskanie jej w następstwie upadku komunizmu w niczym jeszcze nie zmieni położenia Polski między Niemcami a Rosją. Obok zmiennych ideologicznych Mieroszewski uwzględniał, innymi słowy, stałe geopolityczne i uzależniał trwałość niepodległości Polski od rozwiązania tak sformułowanego problemu. Ten zaś mógł, jego zdaniem, być rozwiązany tylko na dwa sposoby. Jednym jest federacja, która by połączyła Polskę z innymi krajami o zbliżonym położeniu geopolitycznym, co by stworzyło organizm

polityczny i gospodarczy o sile porównywalnej z siłą Niemiec; Mieroszewski i Giedroyc podejmowali działania mające przygotować klimat dla takiej federacji, okazało się jednak, że nie ma ona żadnych szans. Stąd stawka na rozwiązanie drugie: na federację europejską, w której obrębie ekspansja terytorialna byłaby wykluczona, a wpływy Niemiec zostałyby zrównoważone wpływami innych krajów, przede wszystkim — Francji.

Tak czy inaczej, zdaniem Mieroszewskiego niepodległość Polski może być utrwalona tylko pod warunkiem nowego ułożenia stosunków w Europie. Stąd niezmiennie zainteresowanie ruchem europejskim. Stąd krytyczne nastawienie wobec polityków, którzy do idei europejskiej odnosili się z rezerwą, choćby mieli skądinąd takie zasługi, jak Churchill czy de Gaulle. Stąd wreszcie ostra krytyka tych działaczy emigracyjnych, którzy nie tylko nie przykładali się do uczynienia ze sprawy polskiej fragmentu szerszej sprawy nowego porządku europejskiego, ale swymi wypowiedziami czy posunięciami izolowali pierwszą od drugiej i przeciwstawiali je sobie. Dochodzimy tu do kolejnego sporu Mieroszewskiego z wpływowymi odłami emigracji: sporu o rozumienie Zachodu. Że Polska jest częścią Zachodu, co do tego wszyscy na emigracji byli zgodni. Ale jakiego? Tego, do którego należą Francja, USA i Wielka Brytania, czy tego, który ogranicza się do Hiszpanii gen. Franco i Portugalii Salazara? Tego, który utożsamia się z demokracją, swobodą dociekania, nauką i otwarciem na resztę świata, czy tego, którego wyróżnikami są katolicyzm, uległość wobec autorytetów, zasklepienie w tradycji i kultywowanie narodowych odrębności?

Jeśli odpowiadało się na te pytania tak, jak Mieroszewski, i jeśli widziało się przyszłość Polski w przynależności do tak lub inaczej zjednoczonej Europy — to nie sposób było uciec od kwestii sąsiadów Polski i od kwestii jej granic wytyczonych w wyniku drugiej wojny światowej. Od kwestii sąsiadów — to znaczy przede wszystkim od uzna-

nia prawa do niepodległego bytu państwowego Ukrainy, Litwy i Białorusi, „obszaru ULB”. I od kwestii granic — to znaczy przede wszystkim granic wschodnich, których uznanie stanowiło nie tylko dowód realizmu, pogodzenia się z faktami dokonanymi. Stanowiło również akt sprawiedliwości w stosunku do Litwy, Białorusi i Ukrainy, usuwało czynnik zdolny zdestabilizować Polskę i zagrozić jej niepodległemu istnieniu, a zarazem uwiarygodniało deklaracje gotowości przyjaznego współżycia z wszystkimi sąsiadami. Co więcej, tylko uznanie granic wschodnich Polski pozwalało szukać porozumienia z Niemcami przy równoczesnym postulowaniu uznania przez nie polskich granic zachodnich, bez odwoływania się do rzekomych praw historycznych Polski do ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

Wyniesienie przez Mieroszewskiego demokracji na szczyt hierarchii wartości, przy uwzględnieniu czynników geopolitycznych, prowadziło jak widać do wniosku, że celem polityki polskiej nie może być przywrócenie Drugiej Rzeczypospolitej w nie zmienionym kształcie ustrojowym i terytorialnym. Miast tego nieziszczalnego celu Mieroszewski przedstawił program budowy Polski niepodległej i demokratycznej, a zarazem dostosowanej do Europy, której miała być częścią. Czy jednak program taki mógł znaleźć zwolenników, zważywszy brak w społeczeństwie polskim nawyków demokratycznych i negatywne skutki rządów PZPR? Czy był czymś więcej niż zestawem pobożnych życzeń? Czy dawał się przełożyć na konkretne posunięcia, które by przyczyniały się tu i teraz do jego urzeczywistnienia?

Mieroszewski był świadom tych trudności. Pisał przecież, że dla demokracji równie ważne, jeśli nie ważniejsze od działania instytucji jest wychowanie obywateli tak, by przyswoili sobie demokratyczne zasady i wartości. Pisał o tym wprawdzie dość późno, w latach sześćdziesiątych, ale jest niemal pewne, że myśl ta towarzyszyła mu od dawna. W każdym razie najbardziej chyba oryginalnym wkła-

dem Mieroszewskiego do myślenia o demokracji było jego przekonanie, że walkę o nią, jak walkę o niepodległość, należy zaczynać od siebie, tam, gdzie się jest, i że sama ta walka powinna być szkołą demokracji, jak walka o niepodległość powinna być szkołą niepodległości. Tak więc niepodległość utwierdza się, nim jeszcze uzyskało się suwerenność państwową. Utwierdza się ją, zapewniając niezależność swemu działaniu na jej rzecz, tak by samemu wytyczać sobie cele i samemu dobierać odpowiednie środki. Pozwala to współpracować z obcymi państwami i korzystać z ich pomocy, nie stając się wszelako ich narzędziem czy agenturą. Przykładem takiej niezależnej instytucji polskiej była dla Mieroszewskiego w pierwszym rządzie „Kultura”. Dlatego przeciwstawiał ją tak ostro Wolnej Europie, w sposób niekiedy wręcz krzywdzący dla tej ostatniej.

Z demokracją jest podobnie jak z niepodległością. Trzeba ją tworzyć bez zwłoki, w tym zakresie, w jakim to możliwe. Otóż na emigracji — a do 1956 r. Mieroszewski kierował swe postulaty tylko do niej — powinno to być możliwe w bardzo szerokim zakresie. Ale nie było. Toteż „Kultura” podjęła piórem Mieroszewskiego walkę o wybory do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, która miała odgrywać rolę parlamentu emigracyjnego. I walkę tę przegrała w obliczu zgodnego oporu przedstawicieli stronnictw politycznych, ze Stronnictwem Narodowym na czele, którzy wszelkimi możliwymi sposobami bronili swych stanowisk i związanych z nimi przywilejów. Stąd pomysł Mieroszewskiego i Giedroycia, by demokratyzacji życia emigracyjnego dokonać nie od frontu, ale niejako metodą oskrzydlenia, domagając się wyborów do władz Skarbu Narodowego i publicznego rozliczania się ze zgromadzonych sum.

Skarbem Narodowym „Kultura” interesowała się zresztą od początku. Ale dopiero w obliczu niepowodzenia wszelkich prób zdemokratyzowania tej instytucji zespół „Kultury” ogłosił w listopadzie 1954 decyzję wstrzyma-

nia się z płaceniem składek i wezwał czytelników do pójścia w jego ślady, by tym sposobem wyrzucić presję na władze Skarbu i zmusić je do uznania, że są odpowiedzialne przed płatnikami i że muszą rozliczać się przed nimi z polityki, jaką prowadzą za ich pieniądze. Szczegółową historię tej sprawy łatwo odtworzyć z listów. Dała ona asumpt Mieroszewskiemu do napisania świetnego artykułu o wymownym tytule *Pieniądz i odpowiedzialność*, najlepszego chyba wykładu właściwego mu rozumienia demokracji w warunkach emigracyjnych. I nie tylko³¹.

Od 1956 r. Mieroszewski włącza się coraz bardziej w sprawę Kraju. Zawsze śledził to, co się tam działo, czytał prasę w rosnących ilościach i, gdy mógł, spotykał przyjezdnych, coraz liczniejszych od 1955 r. Ale w maju 1956 r. przestaje być tylko obserwatorem wydarzeń krajowych: „Jestem — pisze do Giedroycia — całkowicie ześrodkowany na artykule, który kończę. Uważam, że jest czas dawać w «Kulturze» artykuły, które by sugerowały pewne taktyczne i polityczne posunięcia facetom w Kraju. To nie jest łatwo, ale trzeba od czasu do czasu napisać artykuł tak, jakby «Kultura» miała debiet w Kraju i artykuł był w pierwszym rzędzie przeznaczony dla czytelnika krajowego. [...] Moją ambicją jest, byśmy byli pismem i emigracyjnym, i krajowym, i po-mostem między Polonią a Krajem (nie reżimem!)”³².

Słowa te określają kierunek, któremu „Kultura” pozostanie odtąd wierna, co zmusi Giedroycia i Mieroszewskiego do zastanawiania się nad tym, jak można działać na rzecz demokracji i niepodległości w warunkach Polski rządzonej przez aparat PZPR. Szczegółowe omówienie ich poszukiwań i propozycji wykraczałoby poza ramy chronologiczne tego szkicu. Zadowolić się więc trzeba formułą Mieroszewskiego, wywiedzioną z doświadczeń Października, która

³¹ J. Mieroszewski, *Pieniądz i odpowiedzialność*, K. 3/89, 1955.

³² List J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z 28 maja 1956 w: J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. II, s. 294.

zachowała ważność w ciągu późniejszych trzydziestu trzech lat: „[...] komunizm zreformować mogą tylko komuniści. Lecz komunistów w danym kraju może zmienić tylko nacisk społeczeństwa”³³. Przejawy tego nacisku wywieranego przez społeczeństwo na aparat PZPR i na podporządkowaną mu administrację były, poczynając od Poznania, w centrum uwagi „Kultury”. Informowała o nich i udzielała im pomocy również wtedy, gdy poddawała skądinąd krytyce ich orientację ideową. Kierowała się bowiem przekonaniem, że ważniejsza od niej jest sama manifestacja sprzeciwu: pierwszy akt samostanowienia. I przekonaniem, że każdy powinien zacząć od siebie i że tylko scałkowanie się jednostkowych przejawów niezależności może uruchomić wielki, niezależny ruch społeczny.

„Przemian społecznych, przebudowy ustroju, jeśli trzeba — rewolucji — nie robią «inni» ludzie, tylko Ty, Czytelniku. W Polsce nie będzie nigdy demokracji, dopóki Ty, Czytelniku, nie uświadomisz sobie w pełni, że demokracja zaczyna się od Ciebie i walka o nią, a następnie jej obrona, nie jest zadaniem «innych ludzi», tylko Twoim. Ustroju demokratycznego nigdzie nie budowano inaczej i innej drogi do demokracji nie ma”³⁴.

*

Nie są to jedyne słowa Mieroszewskiego, o których można powiedzieć, że pozostają w pełni aktualne, choć jest też w jego dorobku wiele stron dziś już przedawnionych. Nic dziwnego. Mieroszewski pisał bardzo dużo; w „Kulturze”, obok zasadniczych artykułów, drukował zapiski kronikarskie, recenzje, noty, polemiki nadal interesujące dla historyków, ale chyba już tylko dla nich. Zresztą również w artykułach opartych na starannie gromadzonej dokumen-

³³ J. Mieroszewski, *Ewolucjonizm*, s. 41.

³⁴ J. Mieroszewski, *Modele i praktyka*, s. 51. Artykuł z września 1969.

tacji, długo obmyśliwanych, pisanych wolno i przerabianych wielokrotnie, zdarzały się Mieroszewskiemu błędne diagnozy i przewidywania, które się nie potwierdziły. Wystarczy wspomnieć tytułem przykładu o jego przekonaniu, że w Wielkiej Brytanii zwycięży „demokracja robotnicza”³⁵, które wyłożył dziesięć lat przed objęciem rządów przez panią Thatcher i zapoczątkowaniem przez nią otwartej — i zwycięskiej — walki z prawami pracowników i ze związkami zawodowymi.

Błędy prognostyczne Mieroszewskiego nie są niczym wyjątkowym. Próby określenia kierunku przemian społecznych i przyszłego układu sił politycznych są wprawdzie niezbędne, by działać tu i teraz, gdyż to w ich świetle podejmuje się decyzje, ale zarazem są ryzykowne i bardzo często chybiające, ponieważ jedną ze swoistych i niezbywalnych cech ludzkiej przyszłości jest to, że pod wieloma względami nie daje się przewidzieć, a już na pewno nie daje się przewidzieć w szczegółach, że robi niespodzianki, zaskakuje, zdumiewa. Wysiłek wkładany w to, by myślowo zapanować nad nią, by przedstawić ją sobie, choćby w najogólniejszych zarysach, nim jeszcze stanie się rzeczywistością, rzadko jednak bywa daremny, o ile, rzecz jasna, oparty jest na możliwie rozległej i rzetelnej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości, na umiejętnej analizie posiadanych informacji i na wyciąganiu z nich wniosków w sposób logicznie poprawny. Albowiem przewidywania, które spełniają te wymogi, nawet gdy okazują się nietrafne, dostarczają uzasadnienia wypowiedzanym sądom i podejmowanym krokom, a tym samym sprawiają, że postawa, jaką można zajmować wobec nich, przestaje sprowadzać się do ich przyjęcia bądź odrzucenia, gdyż mogą one odtąd być przedmiotem dyskusji dotyczącej stopnia ich zasadności. Jako składniki spójnej konstrukcji pojęciowej, te sądy czy kroki nie są już arbitralne. Są racjonalne.

³⁵ Tamże, s. 163. Artykuł z sierpnia-września 1968.

Mieroszewski uprawiał publicystykę jak pracę naukową. Gromadził fakty. Doskonalił narzędzia analityczne. Dbał o dokładność opisów, jasność formuł i poprawność rozumowań. Toteż, choć mylił się wielokrotnie, udało mu się celnie rozpoznać główne tendencje epoki. Miał więc słuszość, gdy przewidywał ewolucję komunizmu jako systemu panowania nad społeczeństwem. Miał słuszość, gdy wiązał odzyskanie niepodległości przez Polskę z perspektywą integracji europejskiej. Miał słuszość, gdy stawiał na dążenie narodów wcielonych do Związku Sowieckiego, by wyzwolić się spod dominacji Rosji. Miał słuszość, gdy podkreślał rosnącą rolę nauki i techniki zarówno w gospodarce, jak w kulturze. I miał wreszcie słuszość, gdy uważał za nieuniknione zwycięstwo demokracji. Zapewne każda z tych tendencji wyraziła się w szczegółach inaczej, niż to sobie wyobrażał. Ale linie wiodące zostały wytyczone trafnie.

Dwa dziesięciolecia, które minęły od śmierci Mieroszewskiego, były na Zachodzie okresem najgłębszego kryzysu gospodarczego od 1929 r. i bezprzykładowych przemian społecznych i obyczajowych, a w Europie Środkowej i Wschodniej — okresem postępującej degrengolady systemu sowieckiego, zakończonej jego ostatecznym upadkiem. Świat dzisiejszy zdaje się należeć do epoki różniącej się zasadniczo od tej, w której żył i pisał Mieroszewski. I pod wieloma względami tak istotnie jest. Nie odesłało to jednak jego tekstów do „mauzoleum skostniałych doktryn”. Nie odebrało im w pełni przydatności do analizy przemian i oceny zdarzeń, jakie dokonują się na naszych oczach. Nie pozbawiło ich nawet całkowicie aktualnego ostrza polemicznego.

Wprawdzie komunizm jako system panowania nad społeczeństwem należy dziś do bezpowrotnej przeszłości, ale inne tendencje rozpoznane przez Mieroszewskiego nie doszły bynajmniej do kresu. Integracja europejska jest ciągle jeszcze nietrwąłą, zwłaszcza z uwagi na negatywne skutki gospodarcze i społeczne obecnej polityki monetarnej.

I pozostaje niedopełniona tak długo, jak długo Unia Europejska nie istnieje jako rzeczywisty podmiot polityki międzynarodowej i jak długo otwarta pozostaje sprawa przyjęcia do niej krajów Europy Środkowej. Stosunki między Rosją a innymi państwami utworzonymi lub odrodzonymi w następstwie rozpadu Związku Sowieckiego nie są ciągle ustabilizowane, co czyni z nich możliwe źródło konfliktów. Nadal rośnie rola nauki i techniki w gospodarce i kulturze; więcej nawet: przenikanie elektroniki do coraz to nowych dziedzin życia powoduje kaskadę prawdziwych rewolucji, które są chyba dopiero w powijakach. A zwycięstwo demokracji, choć przeszło najśmielsze nadzieje pokoleń ukształtowanych w cieniu triumfujących totalitaryzmów, nie jest bynajmniej ostateczne, po pierwsze dlatego, że demokracja jest ustrojem, który musi być stale i świadomie odtwarzany, o ile nie ma obumrzeć w następstwie bezwładu, po drugie zaś — ponieważ w świecie działają potężne siły, które dążą do obalenia jej i do przywrócenia w jakiejś postaci ustrojów autorytarnych.

Do zachowania przez teksty Mieroszewskiego aktualności i wymowy polemicznej przyczynia się również koniunktura swoiście polska. Poglądy poważnych odłamów społeczeństwa uległy bowiem w ciągu ostatnich lat prawdziwemu uwsteczniению. Mieroszewski odnotował zresztą coś podobnego już w 1956 r., gdy przytoczył opinię swych rozmówców z Kraju, że „nacisk totalitaryzmu komunistycznego nie budzi w masach reakcji demokratycznej, liberalnej, lecz przeciwnie, hoduje w ludziach nastroje nacjonalistyczno-prawicowe. Jeżeli tak jest — dodawał — to polski komunizm spełnia dziwną historyczną misję!”³⁶. Spełnił ją do końca, z tym że w odróżnieniu od sytuacji sprzed lat czterdziestu owe nastroje zdają się występować dziś zwłaszcza wśród inteligencji.

Wyraża się to w idealizowaniu ostatnich lat Drugiej

³⁶ J. Mieroszewski, *Dialog*, s. 5.

Rzeczypospolitej i w zamykaniu oczu na obecne w ówczesnym życiu publicznym tendencje totalitarne i antysemickie; w retroaktywnym wyprowadzeniu Polski z koalicji antyhitlerowskiej widocznym w manifestowaniu sympatii dla gen. Franco, a zwłaszcza w traktowaniu Związku Sowieckiego tak, jak gdyby był wrogiem numer jeden podczas drugiej wojny światowej; w uważaniu całego okresu PRL za czarną dziurę i wykreślanu z historii również tego, co było wtedy rzeczywistym osiągnięciem narodu; w odrzuceniu świeckości państwa i w akceptacji endeckiego modelu Polaka-katolika; w kwestionowaniu celowości przystąpienia Polski do Unii Europejskiej uzasadnianym kultem zaścianka i kruchty, strachem przed współczesnością, wrogością wobec Zachodu; w podważaniu samych podstaw demokracji: w mówieniu o życiu politycznym językiem frontu i walki, w dążeniu do zniszczenia przeciwnika, w wykluczaniu ze wspólnoty narodowej tych, co głoszą inaczej, w marzeniu o jednomyślności i o wodzu, który poprowadzi. Wszystkie wypowiedzi tego rodzaju, żywcem przejęte od antagonistów Mieroszewskiego, którzy powtarzali je za swymi poprzednikami, ale przedstawiane tak, jak gdyby były ostatnim słowem i szczytowym wzlotem ducha ludzkiego, sprawiają, że jego pisma — artykuły i listy — nie są tylko źródłami do dziejów polskiej myśli i polskiej polityki. Ich czas wciąż jeszcze trwa.

Antony, sierpień 1996 r.

Postscriptum.

Od czasu napisania tego szkicu ukazał się wybór pism Mieroszewskiego: J. Mieroszewski, *Final klasycznej Europy*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył R. Habielski, Lublin 1997, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu i Wydawnictwo UMCS —

oraz J. Korek, *Paradoksy paryskiej „Kultury”*. Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980, Stockholm 1998, Almqvist & Wiksell International, i A. Mencwel, *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku*, Warszawa 1997, „Czytelnik”, gdzie rozdział V traktuje o „Kulturze”.

Redaktor i Publicysta — o polityce „Kultury”

W czerwcu 1966 r., z okazji dwudziestolecia „Kultury”, Juliusz Mieroszewski przygotował audycję radiową, która ostatecznie w pierwotnej wersji nie trafiła na antenę. Zaczął od stwierdzenia, że jest od siedemnastu lat członkiem redakcji „Kultury”, po czym, omawiając jej funkcjonowanie, zauważył: „Jerzy Giedroyc jest jednym z najoryginalniejszych i najwybitniejszych polskich redaktorów ostatniego półwiecza. Nie jest jednak ani dziennikarzem, ani pisarzem. Jadąc kolejką podziemną do naszego studia obliczyłem, że do tej pory wymienilem z Giedroyciem około 2500 listów. Na każdy z tych listów otrzymałem oczywiście odpowiedź. Nasza korespondencja obejmuje więc około 5000 listów, co gdyby — Boże broń — ktoś chciał wydać drukiem, objęłoby kilka tomów. Giedroyc dosłownie redaguje pismo w drodze korespondencyjnej, bo pisze nie tylko do mnie, lecz do wszystkich współpracowników «Kultury». Decydującą rolę w naszym piśmie odgrywa «redakcja niewidzialna». Przez co rozumiem wszystkie najlepsze pióra emigracyjne, które spotyka się na łamach «Kultury»”¹.

¹ Tu i dalej, o ile nie zaznaczono inaczej, odsyłam do korespondencji J. Giedroycia z J. Mieroszewskim znajdującej się w archiwum Instytutu Literackiego.

Cytat z maszynopisu audycji załączonego do listu J. Mieroszewskiego z 22 czerwca 1966.

Każdy współpracownik „Kultury” może zaiste potwierdzić słowa Mieroszewskiego o redagowaniu pisma w drodze korespondencyjnej, gdyż każdy ma pokazny plik listów Redaktora, to kilkudzaniowych, to całostronicowych, niekiedy wysyłanych rzadko, niekiedy — dzień po dniu. Zawsze pisane na maszynie, na firmowym papierze Instytutu Literackiego i zawsze w dwóch egzemplarzach, szybko, o czym świadczą literówki, krótkimi, dobitnymi zdaniami — listy te są najważniejszym chyba źródłem do historii „Kultury”: pozwalają spojrzeć na nią niejako od wewnątrz, uprzytamniają zakres zainteresowań Jerzego Giedroycia i rozmiary jego działalności, odsłaniają przynajmniej część tego wysiłku, którego owocami są nie tylko numery miesięcznika i „Zeszytów Historycznych” oraz tomy książek, ale również różnorakie inicjatywy kulturalne, polityczne czy humanitarne. Instytut Literacki jest przede wszystkim wydawnictwem. Ale jest też ośrodkiem myślenia o sprawach Polski, który usiłuje wywierać i istotnie wywiera wpływ na opinię zarówno krajową, jak emigracyjną i zachodnią². Obok publikacji Instytutu pokazują to najlepiej właśnie listy.

Gdy zacząłem zbierać materiały do tego szkicu, Jerzy Giedroyc — za co mu serdecznie dziękuję — zgodził się udostępnić mi swoją korespondencję z Juliuszem Mieroszewskim z lat 1962–1975; wcześniejsze listy zostały odnalezione zbyt późno, bym mógł je tu uwzględnić. Korespondencja ta, zachowana w całości, składa się z 1374 listów, z czego 794 pochodzą od Jerzego Giedroycia, a 580 — od Juliusza Mieroszewskiego. Do 1968 r. na jeden rok przypadało przeciętnie 130 listów w proporcji 75 do 55. Później rytm nieco słabnie, by załamać się w 1971 r., z którego pochodzą tylko 44 listy. Od tej daty choroba oczu utrudniała, a niekiedy wręcz uniemożliwiała Mieroszew-

² Por. o tym artykuły zawarte w: G. i K. Pomianowie (wyd.), *O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie*, zwłaszcza s. 83 i nast.

skiemu pisanie i zmuszała go do używania magnetofonu³. Zauważę nawiasem, że w świetle tych danych przytoczone wyżej obliczenie Mieroszewskiego budzi wątpliwości: 130 listów rocznie — to w ciągu siedemnastu lat około 2200 listów, nie zaś 5000. Być może w latach pięćdziesiątych wymiana była znacznie bardziej intensywna. Ale gdyby nawet Mieroszewski się pomylił i gdyby jego korespondencja z Jerzym Giedroyciem obejmowała do 1966 r. tylko — ? — 2200 listów, co znaczy, że łącznie było ich około 3000, pozostałaby i tak zespołem o wyjątkowym znaczeniu ze względu zarówno na swe rozmiary i zakres czasowy, jak na wagę poruszanych spraw. Jest to bowiem trwająca z górą ćwierć wieku dyskusja o Polsce i świecie, prowadzona z tą swobodą, jaką daje pełne wzajemne zaufanie, przez dwóch wnikliwych obserwatorów i analityków biegu wydarzeń, a zarazem polityków szukających nieustannie sposobu, by wyrzucić nań odpowiedni wpływ.

I

W 1962 r. Mieroszewski współpracował z Jerzym Giedroyciem już od trzynastu lat, a ich znajomość sięgała czasów o wiele dawniejszych. Był też wtedy Mieroszewski, od dobrych kilku lat, czołowym publicystą „Kultury”: jego artykuły wyrażały stanowisko pisma, a on sam utożsamiał się z nim do tego stopnia, że podporządkował mu całe swe życie osobiste i zawodowe. Odpowiadając Jerzemu Giedroyciowi, który domagał się odeń przyspieszenia prac nad książką, pisał: „Moja pierwsza lojalność jest do «Kultury», a nie do moich książek. Moi czytelnicy to są czytelnicy «Kultury» — o czytelnikach moich książek nic nie wiem.

³ Por. notę redakcji, K. 4/1971, oraz J. Mieroszewski, *Pocztówka do czytelników*, K. 7–8/1971, przedruk w: tegoż, *Materiały do refleksji i zadumy*, Paryż 1976, s. 17–18. W latach 1971–1975 Mieroszewski pisał niektóre listy własnoręcznie, inne dyktował żonie.

Moje książki są tylko dodatkiem do moich artykułów”⁴. A kiedy indziej stwierdził: „Nie jestem tak skory do angażowania się w cokolwiek. 20 lat temu zaangażowałem się w «Kulturę» i to mi wystarczy do końca życia”⁵. Pod tym względem Mieroszewski nie różnił się od mieszkańców domu „Kultury”: „Wszyscy pracujący w «Kulturze» razem ze mną otrzymujemy 650 franków miesięcznie i poświęcamy naszej robocie 100% czasu, praktycznie całkowicie rezygnując z życia osobistego” — pisał Jerzy Giedroyc, odpowiadając na list Mieroszewskiego, który wnosił o podniesienie mu pensji⁶. Wnosił zasadnie, gdyż pensja ta pozwalała tylko na mniej niż skromną egzystencję, choć dla „Kultury” była pokaźnym obciążeniem⁷. Sprawy płacowe powracają zresztą w listach kilkakrotnie, co nie dziwi, gdy wie się, jak trudne były warunki Mieroszewskiego i jak niewielkie — możliwości „Kultury”. Nie miało to jednak żadnego wpływu na wzajemne stosunki.

Z mieszkańcami domu „Kultury” łączyło Mieroszewskiego wszystko. Z polskim Londynem — prawie nic. Ale mieszkał właśnie w Londynie, utrzymując z przyjaciółmi kontakty głównie epistolarne, rzadziej — telefoniczne, a jeszcze rzadziej — osobiste. Jednym z tragikomicznych wątków jego korespondencji z Jerzym Giedroyciem jest powracająca przez wiele lat sprawa przyjazdu państwa Mieroszewskich do Maisons-Laffitte, który ostatecznie nigdy nie doszedł do skutku. Wśród różnych argumentów wysuwanych przez Mieroszewskiego, by ten wyjazd odsunąć, istotne miejsce zajmują koszty, które rzeczywiście mogły spowodować znaczną wyrwę w jego budżecie. „Kultura” była wprawdzie gotowa je opłacić, co deklarowała wielokrotnie, ale Mieroszewski tego nie chciał, by

⁴ List J. Mieroszewskiego z 24 stycznia 1967.

⁵ List J. Mieroszewskiego z 2 kwietnia 1968.

⁶ List J. Giedroycia z 26 sierpnia 1967 w odpowiedzi na list J. Mieroszewskiego z 15 sierpnia 1967.

⁷ Por. np. list J. Mieroszewskiego z 5 lipca 1967.

nie narażać pisma na dodatkowe wydatki⁸. Ale tak naprawdę nie chciał chyba wyjeżdżać gdziekolwiek, toteż nigdy nie podjął nawet starań o stypendium do Stanów Zjednoczonych czy do Niemiec, choć Jerzy Giedroyc namawiał go do tego przez wiele lat. Zawsze coś stało temu na przeszkodzie.

Czy wyrażały się w tym agorafobia i mizantropia, czy też Mieroszewski nie odczuwał po prostu potrzeby podróżowania, oglądania świata, spotykania ludzi? Trudno powiedzieć. Faktem jest, że ucieleśniał on w stopniu niemal doskonałym wzór dziennikarza, który poznaje rzeczywistość za pośrednictwem książek, gazet, radia. Wzór komentatora czy publicysty przeciwstawny wzorowi reportera, bliski natomiast pod wieloma względami wzorowi naukowca: socjologa czy politologa. Jakoż swą publicystykę uprawiał z istic naukową rzetelnością, gromadząc ogromną dokumentację i starając się zawrzeć w każdym tekście maksimum treści. „Jakże często rola publicysty polega na tym, by książkę zmieścić w jednym artykule” — napisał⁹; wystarczy go czytać, by zauważyć, że swą rolę traktował tak właśnie. Był przy tym w stopniu rzadko spotykanym wymagający wobec siebie i krytyczny wobec własnych tekstów: „Niektóre moje artykuły sprzed 15 czy 18 lat wydają mi się katastroficznie słabe. Niewątpliwie zrobiłem pewien postęp i dziś nie publikuję takich słabizn”¹⁰. Wszystko to sprawiało, że pisanie do „Kultury” zajmowało Mieroszewskiemu tyle czasu, iż nie starczało go już na nic innego, choćby na kontakty osobiste z mieszkańcami Domu, ograniczone zatem do rzadkich spotkań podczas ich pobytów w Londynie, co w przypadku Jerzego Giedroycia zdarzało się najwyżej dwa razy w roku.

A przecież była to przyjaźń. Sam Mieroszewski zresztą

⁸ Por. list J. Mieroszewskiego z 3 sierpnia 1966.

⁹ List J. Mieroszewskiego z 1 lutego 1962.

¹⁰ List J. Mieroszewskiego z 24 stycznia 1968.

w liście do czytelników — jego ostatnim, jak się okazało, artykule w „Kulturze” — podkreślił, pisząc o „porozumieniu z nową, solżenicynowską Rosją”, że jest ono „osobistym osiągnięciem mojego Redaktora i jedyne przyjaciela, jakiego mam — Jerzego Giedroycia”¹¹. Korespondencja Publicysty z Redaktorem jest również historią ich przyjaźni. Przyjaźni dziwnej — na odległość i z dystansem. Pierwszy pisze do drugiego: „Drogi Panie Redaktorze” lub „Drogi Panie Jerzy”; drugi — do pierwszego: „Drogi Panie” lub „Drogi Panie Juliuszu”. Dopiero w 1975 r. zaczęły zwracać się do siebie po imieniu. Przyjaźń, której najmocniejszym spoiwem jest „Kultura”, wspólna i wyłączna miłość obu przyjaciół, i której treść stanowią sprawy zawodowe, tzn. głównie polityczne, gdyż to one wypełniają ich życie osobiste. „Niech Pan bardzo uważa na siebie — pisze Mieroszewski. — Jest mało ludzi na emigracji, od których zdrowia tak wiele zależy. W normalnych warunkach każdy człowiek jest do zastąpienia — lecz na emigracji są ludzie nie do zastąpienia. Do tych ostatnich Pan należy. Jesteśmy w równym wieku. Żywię egoistyczną nadzieję, że to Pan mnie przeżyje, a nie ja Pana. Moja śmierć byłaby stratą dla «Kultury», lecz beze mnie «Kultura» mogłaby dalej istnieć, a bez Pana — nie”¹².

Była to więc przyjaźń, w której, jak widać choćby z przytoczonego fragmentu, jeden z przyjaciół uznawał wyższość drugiego. Ale przyjaźń, która wymagała również od obu umiejętności rezygnowania z własnego stanowiska, gdy kolidowało ono z interesem „Kultury”. W cytowanej na wstępie audycji Mieroszewski pisał na ten temat: „Redaktor «Kultury» jest Polakiem wschodnim. Miastem jego dzieciństwa jest Moskwa. Publicysta «Kultury», czyli niżej podpisany, jest Polakiem zachodnim; okolicą mojego

dzieciństwa jest wieś podhalańska. Giedroyc zna język rosyjski, Rosjan i Rosję na wylot — natomiast ja nie zamieniłem dwóch słów w życiu z autentycznym Rosjaninem. W sumie trudno o dwie bardziej różne indywidualności i temperamenty. Na czym więc polega sekret naszej harmonijnej współpracy niemal przez 20 lat? W «Kulturze» — w przeciwieństwie do większości organizacji emigracyjnych — nie było nigdy rozłamów, czystek, walk personalnych, ścierania się osobistych ambicji, dramatycznych rozejść się i dramatycznych powrotów. W naszych dyskusjach, które bywają gwałtowne, nigdy nie chodzi o linię polityczną p. Giedroycia czy linię polityczną p. Mieroszewskiego, lecz o linię polityczną «Kultury», i to jest cała tajemnica. Celem jest zawsze wypracowanie, wydyskutowanie, wykrystalizowanie linii i fizjonomii pisma, któremu służymy i które w stosunku do nas jest wartością nadrzędną. Każdy z nas, członków redakcji, identyfikuje się z «Kulturą», lecz «Kultury» nie można identyfikować z żadnym z nas, ponieważ «Kultura» jest czymś więcej niż każdy z nas. Tylko w takiej atmosferze i przy takim założeniu ogólnym jest rzeczą możliwą ułożyć polityczną współpracę Polaków wschodniego i zachodniego, co nadaje «Kulturze» w pewnej mierze reprezentatywny charakter, ponieważ syntetyzuje niejako doświadczenia i tok myślowy tak wschodniego, jak i zachodniego odłamu polskości”¹³.

Wzmianka Mieroszewskiego o „gwałtownych” dyskusjach na temat linii politycznej „Kultury” nie była bynajmniej retoryczną przesadą. Zapewne w dziesiątkach przypadków Jerzy Giedroyc dziękuje za artykuł lub za kronikę bądź za „doskonały” artykuł; niekiedy pisze — to jeden przykład z wielu — „artykuł bardzo gratuluje. To jeden z lepszych Pana artykułów, a to jest dużo powiedziane”. Ale bywało również inaczej: „Pana artykuł przeczytałem

¹¹ J. Mieroszewski, *List do Czytelników*, K. 11/1975, przedruk w: tegoż, *Materiały...*, s. 254.

¹² List J. Mieroszewskiego z 24 lutego 1964.

¹³ Maszynopis audycji załączony do listu J. Mieroszewskiego z 22 czerwca 1966.

z mieszanymi uczuciami. Widzę, że nasze ostatnie rozmowy całkowicie Pana nie przekonały. Pana rozumowanie, jak zwykle, jest niezmiernie logiczne, ale nie bierze Pan pod uwagę rzeczywistości. Może się mylę, ale w Polsce, jak i w Rosji, narasta od wewnątrz rewolucja i trzeba się liczyć ze wstrząsami. Jest to bardziej prawdopodobne niż postulowana przez Pana ewolucja". Następują krytyki szczegółowe: „Dlaczego używa Pan terminu kontrrewolucja? Tu działa u Pana sztanca narzucona przez partię. Porównanie Europy Wsch[odniej] z Hiszpanią jest naciągane. Hiszpania przeżywa niebywały rozkwit gospodarczy, który wiele rzeczy łagodzi, ale i tak ferment w Hiszpanii rośnie. W Europie Wsch[odniej] stopa życiowa ulega stałemu pogorszeniu. Brak natomiast terroru ułatwia fermenty [...]. Ustęp o inteligencji (str. 2–3) jest doskonały, natomiast wnioski wydają mi się błędne. Primo nie można się dziś powoływać na przykład Jugosławii, która jest dziś przykładem bankructwa ekonomicznego. Nie można też stawiać bez zastrzeżeń na menadżerów. To jest klasa — przynajmniej w Polsce — nieprzygotowana do tego [...]. Nie może być całkowitego rozdziału między partią a gospodarką. Partia jest totalitarna i kryteria ideologiczne są decydujące. Co z tego, że gospodarką rolą będzie kierować fachowiec z prawdziwego zdarzenia, jeśli nie będzie mógł przekreślić kolektywizacji, a nie przekreśli jej, bo to jest kamień węgielny ideologiczny, z którego partia nie zrezygnuje, a i on sam, jeśli jest komunistą, nie będzie nawet w myśli atakować. Stosować więc będzie półśrodki, które nie dadzą rozwiązania. Można dawać rolnictwu kredyty, zwiększać działki przyzagrodowe, decentralizować: rezultat jest identyczny. Wniosek: poprawa nie jest możliwa bez zmian strukturalnych [...]". I jest jeszcze mowa o Gomułce i o odrzuceniu przezeń pomocy amerykańskiej ze względów ideologicznych, o granicy na Odrze i Nysie, o środowiskach młodziży komunistycznej, gdzie tworzą się „fermenty”, w przeciwieństwie do „społeczeństwa, które jest zatowizowane,

zniechęcone i bierne, i które będzie reagowało jedynie na bodźce ekonomiczne i reagowało ślepo, tak jak w Poznaniu". Na zakończenie Jerzy Giedroyc pisze: „Myślę — jeśli Pan choć z częścią moich argumentów się zgodzi — że artykuł można będzie zostawić, operując większym jego wycieniowaniem. Co z Pana przyjazdem? Wydaje mi się on coraz ważniejszy, byśmy mogli sobie znów szereg rzeczy przedyskutować i «dotrzeć się». Nie wątpię, że łatwo to osiągniemy. Ale tu jest potrzebny osobisty kontakt: listy nie wystarczą”¹⁴.

A oto odpowiedź Mieroszewskiego:

„Ostatni list Pana sprawił mi wielką przykrość. Nagle po 17 latach współpracy i po setkach moich artykułów ogłoszonych w «Kulturze» — doszedł pan do wniosku, że kontakt listowny nie wystarczy. Jeśli istniałyby jakieś zasadnicze różnice pomiędzy nami — to moja trzydniowa wizyta w Laffitte na pewno by ich nie zlikwidowała.

Zasadniczych różnic pomiędzy nami nie ma, choć na wiele rzeczy patrzę inaczej niż Pan. I to jest z korzyścią dla pisma. Dawałem dowody, że jestem gotów do kompromisu, i *Tysiąc lat i co dalej?* napisałem drugi raz. To jednak nie może być regułą! Pan czasem traktuje mnie za praktykanta dziennikarskiego, który musi się «docierać». Na to wszystko w stosunku do mnie jest trochę późno. Mam dziś ustalone poglądy, które dla Pana nie są tajemnicą — i byłoby dziwne, gdyby w moim wieku było inaczej. Pan należy do redaktorów, którzy inspirują swoich współpracowników. Co innego jest jednak inspirować, a co innego dyktować. Mieliliśmy podobne przejścia i dyskusje przed laty i powiedziałem Panu wówczas, co powtarzam i dziś, że Pan nie może pisać moją ręką. Gdyby Pan w moim tekście dał w pewnym punkcie gwiazdkę i w odsyłaczu stwierdził, że redaktor «Kultury» ma w tej sprawie inny pogląd, byłby to dodatkowy pieprzyk i podkreślenie, że mimo wielolet-

¹⁴ List J. Giedroycia z 31 lipca 1966.

niej współpracy zachowaliśmy różne osobowości i poglądy.

Teraz co do meritum sprawy. Tezą mojego artykułu jest pogląd, że bez zmian strukturalnych nie może być poprawy. To jest teza, z którą Pan się zgadza. Nie odrzucam możliwości rewolucji w bloku wschodnim. Widuję jednak sporo ludzi z Kraju, dostając listy krajowe wysyłane z Włoch i z Austrii, i muszę stwierdzić, że informacje, które mam w ręce, nie wskazują na przewrót. Będzie przewrót, to postaramy się być na szczycie fali. Tutaj wszyscy (Anders, Ciołkosz itd.) oczekują przewrotu z godziny na godzinę. To są starsi panowie, którym się spieszy. Chcieliby za swego życia doczekać się konkretnych przemian. Niestety wydaje mi się, że to byłoby zbyt piękne, aby miało być prawdziwe.

Uważa Pan, że przeceniam rolę technologii i scjentyzmu. Wacek Zbyszewski na nowoczesną gospodarkę zautomatyzowaną i scybernetyzowaną patrzy oczyma starego Krzyżanowskiego. W efekcie nic z tego wszystkiego nie rozumie. Włożyłem wiele pracy, by w sprawach tych być nieco odczytany i zorientowany, i zapewniam Pana, że wagi tych zagadnień nie sposób przecenić, a łatwo nie docenić.

Sprawa granicy na Odrze i Nysie bynajmniej nie jest «deta», jak Pan pisze. Wszyscy ją *quasi* uznają, bo nikt nie chce narazić się Rosji. Gdyby jednak jutro nieuznawanie granicy na Odrze i Nysie stało się aktem przyjaznym w stosunku do Rosji, wszyscy wyparliby się granicy w ciągu jednego dnia. Innymi słowy granica stoi tak długo, jak długo Rosja sobie życzy, by stała i trwała. W przyszłości mogą być gwarancje międzynarodowe, zjednoczona Europa itd. — lecz na razie jest tak, jak jest¹⁵.

Cóż na to Redaktor? Odpiera zarzuty osobiste i kontynuuje dyskusję merytoryczną. „Bardzo mnie dotknął Pana poprzedni list. Nie mam zamiaru «pisać Pana ręką» ani uprawiać dyktanda. Tak się jednak złożyło prawie od po-

czątku naszej współpracy, że stał się Pan *porte parole* politycznym «Kultury» i za takiego jest Pan powszechnie uważany. Dlatego nie widzę możliwości drukowania Pana artykułów jako dyskusyjnych. To było możliwe ze względu na wielką, powiedziałbym zdumiewającą, zbieżność naszych postaw i poglądów. Nie jestem starszym panem z białej emigracji oczekującym nie istniejących przewrotów, ale od dawna widzę narastające siły i dążenia rewolucyjne. Załączam (wyłącznie do Pana wiadomości, proszę to trzymać w najświętszej tajemnicy aż do czasu wydania książki) odbitkę szczotkową listu Kuronia i Modzelewskiego. Musi Pan przy tym wziąć pod uwagę, że to nie jest odosobniony głos paru ludzi, ale ta grupa działa i rozwija się”. Po czym raz jeszcze wraca do słowa „kontrrewolucja” i do entuzjazmowania się cybernetyką, a następnie określa linię, której „Kultura” trzymać się będzie w następnych latach: „Należy bardzo ostrożnie selekcjonować zwierzchnia krajowców. My widzimy w większości wypadków starszych panów, «profitariuszy», albo średnie pokolenie politycznie zupełnie wypalone. Całą naszą siłą jest stawka na młodzież, a ta jest zupełnie inna”. I kończy tak: „Nie możemy się ustawiać w pozycji Stommy. Wiem, że to nie jest między nami zasadnicza różnica, ale teraz dla nas niezmiernie znaczenie ma taktyka i każde słowo Pana artykułu musi być wyważone. Pana artykułów nie czyta się w kraju tak, jak normalną publicystykę. Czyta się, analizując i nicując każde słowo. A Pan nie zawsze chce o tym pamiętać¹⁶. W następnym liście Mieroszewski pisze nieomal wyłącznie o książce Kuronia i Modzelewskiego, która odtąd będzie czas jakiś centralnym tematem jego korespondencji z Redaktorem¹⁷.

¹⁶ List J. Giedroycia z 10 sierpnia 1966.

¹⁷ Por. list J. Mieroszewskiego z 14 sierpnia 1966 oraz J. Mieroszewski, *Kuroni i Modzelewski*, w: tegoż, *Polityczne neurozy*, Paryż 1967, s. 78–87.

¹⁵ List J. Mieroszewskiego z 3 sierpnia 1966.

Spięcia takie, jak opisane, powtarzały się jeszcze kilkakrotnie. Nigdy jednak nie zarysował się w ich toku choćby cień perspektywy zerwania. Nigdy nie było nawet potrzeby godzenia się, gdyż poczucie więzi było po obu stronach tak silne, że każdy spór kończył się po wyłożeniu wzajemnych zarzutów oraz argumentów na rzecz zajmowanego stanowiska. Jak to ujął Mieroszewski: „Co przysłoby Panu z publicysty, który we wszystkim by Panu potakiwał? Zgadza się we wszystkim w 98%. Owe 2% niezgody między nami uważam za rzecz niezmiernie zdrową dla «Kultury»”¹⁸.

II

W 1962 r. Gomułka był u władzy od sześciu lat. Jego powrotowi towarzyszyły nadzieje niemal wszystkich grup społecznych i środowisk: chłopów, którzy rozwiązywali „spółdzielnie produkcyjne”; robotników, którzy wychodzili z niewoli „socjalistycznej dyscypliny pracy”; technokratów i menadżerów, którzy liczyli na unowocześnienie zarządzania gospodarką; inteligencji twórczej, która wyzwała się od socrealizmu i diamentu i nawiązywała ponownie kontakt z Zachodem; Kościoła, który czekał na zwolnienie kardynała Wyszyńskiego; PPR-owców i AK-owców, intelektualistów katolickich z zamkniętego od trzech lat „Tygodnika Powszechnego” i młodych marksistów z „Po prostu”, socjalistów i spółdzielców, studentów, rzemieślników i marynarzy. Wyjątki były chyba tylko dwa: część bierutowskiego aparatu partyjnego i państwowego oraz Stowarzyszenie „Pax”. W zgodzie z opinią panującą w kraju, a wbrew większości emigracji, „Kultura” udzieliła Gomułce kredytu zaufania. Było to następstwem konsekwentnego liczenia na przemiany wewnętrzne i przekonania, że

¹⁸ List J. Mieroszewskiego z 15 kwietnia 1969.

ich inicjatorami będą sami komuniści. Nie oczekiwano od nich cudów: przywrócenia niepodległości i demokracji parlamentarnej opartej na wolnych wyborach. Spodziewano się jednak, że potrafią dokonać istotnych zmian. W styczniu 1958 r., po likwidacji „Po prostu” i wszczęciu na łamach prasy reżymowej zmasowanego ataku na „Kulturę”, redakcja tak wyjaśniła swe stanowisko:

„Dając wyraz naszej wierze w możliwość ewolucyjnej zmiany i poprawę warunków w kraju — nie rozumieliśmy przez to, że któregoś dnia komuniści odejdą od komunizmu. Sądziliśmy natomiast, że komuniści, wykorzystując wyjątkową sytuację, zechcą zamienić ów przywilej geopolityczny, stanowiący fundament ich egzystencji, na autentyczne zaufanie i solidne poparcie narodu. Droga do tego celu wiodła poprzez demokratyzację — poprzez poszerzanie marginesu wolności — poprzez budowę społecznego i gospodarczego modelu ustrojowego, który czyniłby zadość aspiracjom nie tylko paruset tysięcznej partii komunistycznej, ale i pozostałej dwudziestoosmiomilionowej reszcie polskiego społeczeństwa. Komuniści polscy mieli przed sobą dosłownie dziejową szansę wykazania światu, że potrafią przewodzić demokratycznemu społeczeństwu w oparciu o demokratyczne metody i instytucje. Mieli szansę podważyć tezę — uznaną za pewnik przez setki milionów ludzi na Zachodzie — a mianowicie, że z komunistami nie można współpracować, a można ich tylko zwalczać. Całe zainteresowanie «polskim eksperymentem» sprowadza się *de facto* do tego problemu”¹⁹.

W 1962 r. wszystkie te nadzieje należały już do przeszłości. Był to zresztą rok kolejnego procesu o kolportaż „Kultury”. Toteż redakcja nie oczekiwała niczego od władz PRL, nie preferowała żadnej z frakcji zwalczających się w aparacie PZPR i uważała uczestnictwo w instytucjach ofi-

¹⁹ Redaktor, *Do krajowych czytelników „Kultury”*, nadbitka na biblijnym papierze wysłana do kraju, b.m. i d. [Paryż 1958].

cialnych za pozbawione jakichkolwiek perspektyw. Stąd krytyka posłów „Znaku” na łamach „Kultury”, a jeszcze ostrzej — w korespondencji: „Oni — w przeciwieństwie do rewizjonistów — są moralnymi bankrutami i oportunistami” — pisał Mieroszewski²⁰. I stąd zainteresowanie rewizjonistami właśnie, silne zwłaszcza u Mieroszewskiego, gdyż Jerzy Giedroyc był w tej materii o wiele bardziej sceptyczny. Ale nawet u Mieroszewskiego sympatia dla rewizjonistów brała się nie tyle z jego przekonań socjalistycznych, choć miały one na nią znaczny wpływ, ile przede wszystkim z wiary, że tylko oni mogą wnieść jakąś dynamikę do systemu, który coraz bardziej pogrąża się w bezruchu. Przy czym „Kulturze” szło o coś więcej niż o powstrzymanie zarysowującego się regresu. Chciała ona doprowadzić do ponownego uruchomienia procesu przemian demokratyzacyjnych i modernizacyjnych, zablokowanych przez Gomulkę wkrótce po Październiku 1956, przyczynić się do zrobienia kolejnych kroków oddalających Polskę od sowieckiego modelu socjalizmu. „Naszą siłą — pisał Jerzy Giedroyc — jest ściśle przyleganie do rzeczywistości krajowej i szybkie reagowanie na przemiany — czasem nawet wyprzedzając wypadki. Proszę sobie przypomnieć burzę, jaką wywołała w kraju nasza ulotka i reakcja na zamknięcie «Po prostu». Okazuje się, że mieliśmy rację. Ludzie typu Nowaka czy innych walczą o Gomulkę, o obraz statyczny. My walczyliśmy nie tylko z ograniczaniem tych swobód, które Październik przyniósł, ale od początku walczyliśmy «o drugi etap». W tym sensie jesteśmy i będziemy «obrońcami Października»”²¹.

Tymczasem jednak nic się w Polsce nie działo. Wczesne lata sześćdziesiąte stały pod znakiem „naszej małej stabi-

²⁰ List J. Mieroszewskiego z 26 stycznia 1962. — Stosunek do rewizjonistów zmieni się po kilku latach, por. list J. Mieroszewskiego z 27 lipca 1966: „doszedłem do wniosku, że rewizjonizm w pewnym sensie się przeżył”.

²¹ List J. Giedroycia z 4 stycznia 1963.

lizacji”, w której przeważająca większość inteligencji polskiej czuła się zupełnie dobrze. „Kultura” zaś w osamotnieniu borykała się z trudnościami. „Bardzo jestem już zmęczony chałupniczymi warunkami pracy i tą ciągłą szarpaniną bez możliwości wyjścia naprawdę z ghetta” — pisał Jerzy Giedroyc. Mieroszewski podtrzymywał go na duchu: „Drogi Panie Jerzy — my mamy rację — ale, jak zawsze, mając rację, jesteśmy samotni. Ci, co mają rację, są zawsze osamotnieni. Ale my damy sobie radę. Kraj dyskutuje tylko z nami i z nikim więcej. Co się liczy poza «Kulturą»? — nikt i nic”²². W jakimś sensie było to prawdą: z perspektywy władz PRL emigracja polityczna utożsamiała się niemal bez reszty z „Kulturą”, zwłaszcza że jej inne odłamy znajdowały w apelach przychodzących z kraju uzasadnienie dla łączenia tradycyjnej antykomunistycznej retoryki z zupełną polityczną biernością. „Jednak propaganda naszych przyjaciół krajowych jak Kisielewski robi swoje: potrafili wmówić w emigrację, że nie ma ona prawa robić polityki, bo politykę się robi nad Wisłą. Nie trafia mi to do przekonania”²³ — pisał Jerzy Giedroyc. Toteż niestrudzenie usiłował „robić politykę”, napotykając jednak stosunek jawnie nieprzychylny ze strony intelektualistów w kraju, z nielicznymi wyjątkami, jak np. Tadeusz Manteuffel czy Stanisław Ossowski: „Czuje, że stosunek środowisk intelektualnych w kraju jest od pewnego czasu bardzo dla nas niechętny. Oni praktycznie woła i Kongres, i nawet FE. To jest obawa, że my znowo chcemy wszystko «firmować», że «narażamy», etc. Nie mogę powiedzieć, by to było dla mnie przyjemne, ale uważam, że nie można się poddawać. Przeczekamy tę passę”²⁴.

²² List J. Mieroszewskiego z 16 stycznia 1962.

²³ List J. Giedroycia z 9 maja 1964.

²⁴ List J. Giedroycia z 5 kwietnia 1964; por. list J. Giedroycia z 1 czerwca 1962 o Tadeuszu Manteufflu jako wielkim przyjacielu „Kultury” oraz list J. Giedroycia z 1 sierpnia 1963 o spotkaniu ze Stanisławem Ossowskim.

W swych świetnych *Spotkaniach z Jerzym Giedroyciem* Stefan Kisielewski notuje ze zdziwieniem, że „jeszcze w roku 1971” Redaktor przewidywał wystąpienia robotnicze w Polsce — i to nie tylko przeciw warunkom bytowym, lecz w „sprawach najważniejszych”. „Nie wierzyłem mu, pozwoliłem sobie nawet na niegodne kpinki, że nie bardzo wiem, co Redaktor ma wspólnego z klasą robotniczą. A tymczasem...”²⁵. Tymczasem orientował się on w stanie społeczeństwa polskiego lepiej od wielu uznanych w kraju wyroczni. I to nie tylko w 1971 r., gdy, po strajkach na Wybrzeżu i w Łodzi, przewidywanie dalszych wystąpień robotniczych nie wymagało szczególnej dalekowzroczności. Jakoż dziwić się można tylko tym, którzy nie z owych strajków nie zrozumieli i spędzili lata siedemdziesiąte, mówiąc o „robotach”, by następnie przeżyć olśnienie w sierpniu 1980 r. — jeśli nie później. Jerzy Giedroyc rozumiał jednak rolę, jaką mają w Polsce do odegrania robotnicy, nie w 1971 r., ale osiem lat wcześniej, gdy zaiste niemal nikt, pomijając socjologów przemysłu, nie okazywał takich zainteresowań.

„Z innych spraw jedną z najważniejszych wydaje mi się problem robotniczy. Jest to dziś warstwa najbardziej niezadowolona i najbardziej wroga ustrojowi (przy istniejącej jeszcze sympatii, stale zresztą się zmniejszającej, do Gomułki). Jest to jednak warstwa w Polsce nowa, która nie miała czasu, a przede wszystkim możliwości, wychowania sobie leaderów. Została ona zdradzona przez inteligencję całkowicie, poza nieśmiałymi próbami w okresie Października. Oderwanie się inteligencji od mas robotniczych nie było nigdy tak ostre chyba jak teraz. Analogii trzeba szukać chyba w okresie lat osiemdziesiątych–dziewięćdziesiątych, i to nawet nie, bo wtedy były jakieś Proletariaty. Emigracja tak samo zdradziła. PPS-owcy, obojętne czy to jest

²⁵ S. Kisielewski, *Spotkania z Jerzym Giedroyciem*, „Puls”, 30 (1968), s. 17.

Ciołkosz, czy Zaremba, jeśli mają jakieś kontakty (bardzo się tym chwalą), to mają jedynie z dawnymi kolegami sprzed wojny [...]. FE tym problemem się nie interesuje. Nie tylko dlatego, że stawia na wieś w pierwszym rzędzie, ale bo to problem bardzo drażliwy. Dziś trzeba robotnika podniecać do walki o poprawę warunków materialnych, o samorząd w związkach zawodowych, o wyjazdy za granicę. (Ciekawe, że z kraju komunistycznego, przy tych masowych wyjazdach, stypendiach, wycieczkach, zupełnie nie ma elementu robotniczego, nie mówiąc o chłopskim. Wyjeżdżają w ich imieniu jedynie). Tu trzeba, mam wrażenie, bardzo ostro zwrócić uwagę inteligencji na konieczność nawiązania kontaktu i współpracy, i nie bać się zachęcać robotników do walki, strajków, represji [? — K.P.] etc. Oni się boją potępienia ze strony tzw. społeczeństwa, w imieniu neopozytywizmu etc. Jestem przekonany, że gdyby np. taki strajk pielęgniarek był przez nas rozdmuchany, to mielibyśmy i dalsze strajki. Myślę, że na te sprawy należy zwrócić uwagę i bardzo bym Pana namawiał, by się tym Pan zajął w najbliższych artykułach. Ma się rozumieć, będzie z miejsca zarzut, że wskazujemy palcem, prowokujemy przewencyjne represje, ale nie ma innej drogi, tak jak nie było innej drogi, gdyśmy pisali o rewizjonistach. Zresztą, co to jest partia poza policją i Biurem Polit[ycznym]? To też ludzie zgubieni, bez wiary, szukający jakiegoś wyjścia. Niech Pan o tym pomyśli”²⁶.

Miorszewski odpowiada: „Dziękuję za list. To, co Pan pisze o sytuacji robotników w kraju i o tym, że inteligenci odwrócili się od robotników, jest w 100% słuszne. Wiele z Pańskich uwag z ostatnich listów znajdzie się w artykułach, które teraz piszę”²⁷. Na co Redaktor: „Cieszę się, że zamierza Pan nacisnąć zagadnienie robotnicze. To najsłabszy punkt reżymu i niestety inteligencji krajowej. Zakłady

²⁶ List J. Giedroycia z 13 sierpnia 1963.

²⁷ List J. Miroszewskiego z 21 sierpnia 1963.

socjologiczne wypacają różne studia na ich [robotników — K.P.] temat, ale to tak, jakby pisali o Kongo. Literaci są w ogóle oderwani od społeczeństwa, ale z warstwą robotników nie mają w ogóle żadnego kontaktu [...]. Najśmieszniejsze, że teraz Ch[ruszczow] (jeśli wierzyć prasie) interesuje się w Jugosławii radami robotniczymi, a ten problem nawet w «Po prostu» był zarzucony, a w każdym razie nie na tym tle ich zamknięto»²⁸. I znowu Mieroszewski: „W załączeniu przesyłam artykuł. Znajdzie w nim Pan wiele własnych sformułowań — lecz myślę, że tych «pożyczek» nie weźmie mi Pan za złe. Do sprawy robotników będziemy stale wracać»²⁹.

Takie oto listy krążyły między Londynem a Maisons-Laffitte trzy lata przed *Listem otwartym* Kuronia i Modzelewskiego, pięć lat przed Marcem, siedem lat przed Grudniem, trzynaście — przed utworzeniem KOR. Listy, które pokazują, co miał na myśli Jerzy Giedroyc, gdy pisał o przyleganiu do rzeczywistości krajowej tak, by wyprzedzać wypadki. Wyprzedzać — a zarazem przygotowywać. Nigdy nie dowiemy się, z iloma przybyszami z kraju Redaktor rozmawiał o problemie robotniczym, ilu przekonał o jego pierwszorzędnej doniosłości, a ilu zareagowało tak, jak później Stefan Kisielewski. Wszystkich ich razem nie było zapewne dużo, ale były to często osoby wywierające wpływ na otoczenie. Nigdy też nie dowiemy się, ile osób w kraju przeczytało artykuły Mieroszewskiego. Kilkaset? Kilka tysięcy? Ale niektóre przekazywały innym treść swych lektur, choć nie zawsze powoływały się na źródło. Warto przypomnieć tu jeden z tych artykułów włączony do broszury *Ewolucjonizm*, wydrukowanej na papierze biblijnym i przesyłanej do kraju. Nazywa się *Strona bierna* i nie stracił całkiem aktualności.

„Podkreślałem wielokrotnie w moich artykułach — za-

²⁸ List J. Giedroycia b.d. [ale przed 31 sierpnia 1963].

²⁹ List J. Mieroszewskiego z 31 sierpnia 1963.

czyna Mieroszewski — że komunizm zreformować mogą tylko komuniści. Lecz komunistów w danym kraju zmienić może tylko nacisk społeczeństwa”. Aby ten nacisk uruchomić, trzeba przełamać sowietyzację realizowaną m.in. przez „rutynę dnia codziennego”. Sowietyzację, której „celem jest akceptacja — nie systemu (partii nic na tym nie zależy) — lecz własnej niemocy. Celem jest uznanie bierności społeczeństwa za stan normalny. Celem jest przekonanie wszystkich i każdego z osobna, że jakakolwiek akcja zbiorowa jest nierealnym szaleństwem. Celem jest wtłoczenie ludziom w głowy, że jakakolwiek forma demokracji nie jest złem ani dobrem, lecz po prostu absurdem. Istotą sowietyzacji jest wyrobienie w ludziach — poprzez długotrwałe uwarunkowanie — pewności, że system, w którym żyją, obojętne, jak go sklasyfikujemy, stanowi sytuację bez wyjścia, z którą, by żyć, należy się pogodzić”.

Mówienie o sowietyzacji stało się modne w kręgach inteligencji polskiej dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Mieroszewski pisał w 1964 r., gdy wypowiedziane przezeń poglądy budziły zdumienie, jeśli nie oburzenie większości jego krajowych czytelników. Trzeba było kilkunastu lat, ostrych wstrząsów i trudnego zrywania z głęboko zakorzenionymi przyzwyczajeniami, by poglądy te zostały uznane za oczywiste przez znaczne odłamy inteligencji, przy czym odkrywano je często we własnym zakresie, nie wiedząc, że były już dawno wypowiedziane, a nawet nie znając nazwiska Mieroszewskiego. I trzeba było równie wielu lat, by uznano słuszność kilku tez, które zawiera cytowany artykuł, i by znaleziono sposób przetworzenia ich w program działania, co było oryginalnym wkładem KOR, a zwłaszcza Jacka Kuronia. Oto tezy Mieroszewskiego:

„IV. Podstawowym warunkiem zapoczątkowania w Polsce ewolucji ku modelowi demokracji przemysłowej — jest odzyskanie przez społeczeństwo poczucia podmiotowości. Społeczeństwo musi przestać być bierną masą komendowaną — musi przestać być sarkającym niemową i przed-

miotem rozgrywek o władzę pomiędzy frakcjami klasy rządzącej.

W warunkach polskich trzeba wszystko zaczynać od «a». Każde choćby na małą skalę wystąpienie zbiorowe — nawet jeżeli nie przyniosłoby natychmiastowych korzyści — odbuduje w społeczeństwie poczucie podmiotowości i wiary we własne siły.

V. Nie namawiamy do nieprzemyślanych wystąpień. Lecz jawnych nonsensów i jawnej krzywdy nie należy kwitować biernym sarkaniem.

Wystąpienia zbiorowe winny zawsze dotyczyć spraw bezspornie słusznych. Należy unikać «generalnych rozgrywek». Zbiorowa akcja winna zawsze dotyczyć konkretnej sprawy. Proponowane rozwiązanie musi być realne i możliwe do przyjęcia.

VI. [...] «Akcja przemysłowa» jest zawsze opłacalna i jako instrument emancypacji świata pracy niczym nie do zastąpienia. «Akcja przemysłowa» tylko w sytuacji kryzysowej przybiera formę strajku. W gruncie rzeczy prawo do strajku oznacza prawo krytyki i prawo zbiorowej obrony interesów społeczno-gospodarczych danej grupy pracowników.

Ludzie przy władzy — czy to będzie Gomułka, czy dyrektor superkoncernu przemysłowego — są liberalni i ustępni tylko w proporcji do nacisku tych, którymi rządzą. Jeżeli nie ma nacisku rządzonych — kończy się «liberalizm» rządzących.

VII. Demokracji w Polsce nie stworzy ani nowa konstytucja, ani wolne wybory. Własną formę demokracji musi się wypracować i wywalczyć. Zmiana międzynarodowej koniunktury politycznej może nasze szanse polepszyć lub pogorszyć — lecz demokracji nikt nam w prezencie nie ofiaruje. To jest typ kultury politycznej, która musi wyrosnąć z nas samych³⁰.

³⁰ J. Mieroszewski, *Strona bierna*, w: tegoż, *Ewolucjonizm*, Paryż 1964, s. 41-48.

III

Takie są najważniejsze składniki tej orientacji „Kultury”, która zyskała miano „ewolucjonizmu”, i której założeniem naczelnym było, że ustroj typu sowieckiego może unowocześniać się i demokratyzować, o ile znajdą się siły społeczne zdolne wymusić takie zmiany na aparacie władzy. Wypracowany w latach następujących po Październiku 1956, ewolucjonizm zrywał z postawą zajmowaną w owych dniach³¹. Po doświadczeniu z Gomułką „Kultura” — w przeciwieństwie do wielu kręgów inteligencji w kraju — nie udzielała już kredytu zaufania żadnej ekipie sprawującej władzę w PRL. Stawiała na społeczeństwo³². Zainteresowanie problemem robotniczym, całkowicie pozbawione skądinąd uwierystycznych złudzeń, brało się właśnie z dążenia do rozpoznania tych sił społecznych, od których można oczekiwać działań na rzecz zmiany panującego systemu. Sam ewolucjonizm ulegał zresztą istotnym przeobrażeniom. Od 1963 r., a jeszcze dobitniej — od 1966 r., Jerzy Giedroyc konsekwentnie podkreślał w swych listach konieczność uwzględnienia w większym stopniu ewentualności gwałtownych wstrząsów i domagał się od swego Pub-

³¹ List J. Mieroszewskiego z 7 lutego 1968: „Przeczytałem 220 zeszytów „Kultury”, co było benedyktyńską pracą, lecz nie taję, że wiele na tym skorzystałem. Coś w rodzaju rachunku sumienia. [...] Do r. 1957 nasza linia polityczna, choć nieortodoksyjna, jest łatwa do zilustrowania doбором tekstów. Inaczej przedstawia się sprawa po upadku Października. Wówczas poddaliśmy wszystko krytyce i po wielu analizach wyprodukowaliśmy naszą obecną linię, tzw. ewolucjonizm, który nie odrzuca możliwości rewolucji, i postawę prorosyjską, która nie wyłącza postawy proamerykańskiej. Zajęło nam pięć lat, by to wszystko wykrytalizować i podnieść się z klęski Października”.

³² Por. list J. Giedroycia z 21 sierpnia 1962. — List J. Mieroszewskiego z 27 sierpnia 1962: „Jestem tego samego zdania, co Pan, że nie mamy powodu angażować się po którejkolwiek ze stron w obecnej walce w łonie PZPR. Żadna ze stron to nie są rewizjoniści, a tylko rewizjoniści nas interesują”.

licysty wyraźnego stwierdzenia, że nie wyklucza on również przemian rewolucyjnych, co termin „ewolucjonizm” zdaje się sugerować. Zwraca uwagę na radykalizację nastrojów młodzieży w Polsce, na narastanie ruchu dysydenckiego w Związku Sowieckim, na przemiany w Czechosłowacji. Widzi w tym symptomy kryzysu, który może doprowadzić do rewolucji³³. Mieroszewski odrzuca zarzut, jakoby w rewolucję nie wierzył. Twierdzi wszelako, że należy być ostrożnym w przewidywaniach, a w wydarzeniach czeskich widzi raczej potwierdzenie słuszności ewolucjonizmu w pierwotnym tego słowa znaczeniu, które zakładało przemiany stopniowe i wprowadzane odgórnie, choć pod naciskiem społeczeństwa³⁴. Dyskusja na ten temat toczy się niemal bez przerwy, aż do kwietnia 1968 r., gdy Mieroszewski proponuje formuły, które zyskają aprobatę Redaktora:

„Ewolucja czy rewolucja to nie są przekonania, tylko taktyka, która w każdym kraju musi być inna. Cel tak ewolucji, jak i rewolucji jest identyczny, a zastostowanie metody zależy wyłącznie od sytuacji.

[...] Ani ewolucjonizm, ani rewolucjonizm nie stanowią *credo* «Kultury». Naszym *credo* jest obalenie komunizmu. Każda metoda dobra, która prowadzi do tego celu. Jestem przekonany, że — zależnie od sytuacji — obie metody będą stosowane.

Jeżeli tak postawimy sprawę, na łamach «Kultury» jest

³³ List J. Giedroycia z 13 sierpnia 1963: „Przekonaliśmy się, że złudzenia na liberalizację komunizmu, jakie mieliśmy w związku z Październikiem i Gomułką, były wykorzystane przez partię. W pewnym sensie rewolucja bardziej się opłaciła Węgrom niż pokojowy Październik Polsce”. Por. też list J. Giedroycia z 27 sierpnia 1966 cytowany niżej, przyp. 40; z 7 lutego 1968; z 13 lutego 1968; z 20 lutego 1968; z 2 marca 1968; z 29 marca 1968.

³⁴ Por. np. listy J. Mieroszewskiego z 7 września 1966; z 14 lutego 1968; z 3 marca 1968.

miejsce tak dla ewolucjonistów, jak i rewolucjonistów, ponieważ jednoczy ich wspólnota celu.

Ani ewolucjonizm, ani rewolucjonizm nie są programem «Kultury». Naszym programem jest przebudowa Związku Sowieckiego i zaprowadzenie demokracji w Europie Wschodniej³⁵.

Dyskusja na temat ewolucji i rewolucji nie była bynajmniej akademicka. Szło w niej bowiem o określenie stanowiska „Kultury” wobec różnorodnych tendencji kontestacyjnych, które zarysowywały się coraz wyraźniej zarówno w Polsce, jak w innych krajach obozu. Tak więc przejście „Kultury” na pozycję ewolucjonizmu łączyło się z cofnięciem uznania politycznego grupie poselskiej „Znak”, a uwzględnienie możliwości rewolucji — z rezygnacją z oczekiwania od rewizjonistów, że uruchomią dynamikę demokratyzacji. Czy przyczyną była zmiana poglądów „Kultury”, czy stwierdzenie rzeczywistego wyczerpania się rewizjonizmu jako orientacji politycznej — dociekać próżno. Faktem pozostaje, że „Kultura” — a zwłaszcza Redaktor — radykalizuje się równolegle do radykalizowania się kontestacji w kraju i dojrzewania ruchu dysydenckiego w Związku Sowieckim. Również i w tym przypadku nie sposób powiedzieć, kto na kogo wywierał wpływ; nie ulega wszakże kwestii, iż zachodziło tu sprzężenie zwrotne. Widać to choćby z poniższego wyjaśnienia Jerzego Giedroycia:

„Jeżeli ostatnio kładę nacisk na rewolucję, to nie dlatego, że uważam to nagle za idealne rozwiązanie czy mam jakiś program tej rewolucji, ale jedynie dlatego, że ta rewolucja nadchodzi. Taka, jak ją Pan opisuje: bezprogramowa, bez żadnej koncepcji — i dlatego trzeba z jednej strony zastanowić się nad tą możliwością, a z drugiej stro-

³⁵ List J. Mieroszewskiego z 16 kwietnia 1968. — Por. list J. Giedroycia z 19 kwietnia 1968.

ny zwracać uwagę na niebezpieczeństwo. I tu apelować trzeba nie tylko do przyjaciół «K[ultury]» w kraju, by się nad tym problemem zastanowili, ale również trzeba zwracać uwagę Zachodowi, że taka możliwość wybuchu istnieje. Pan te obawy bagatelizuje, bo w tych sprawach Pan mało siedzi. Natomiast siedząc w tych sprawach więcej niż po uszy, w rozmowach i kontaktach z ludźmi z kraju i z Rosji, widzę coraz bardziej rosnące niebezpieczeństwo wyrażające się w tym, że «niech się coś zmieni, niech trzaśnie, obojętnie dlaczego, dla kogo i przez kogo, byle się coś zmieniło»³⁶.

Rewolucja w bloku sowieckim nie wybuchła. Ale w trzy dni po napisaniu tych słów kontestacja studencka w Polsce weszła w zupełnie nową fazę manifestacji ulicznych i strajków okupacyjnych, na co PZPR odpowiedziała masowym aresztowaniem studentów, posyłaniem ich karnie do wojska, relegacjami z uczelni oraz organizowanymi w całym kraju wiecami, gdzie „masy” potępiały „wichrzycieli” i wyrażały swe poparcie dla partii z towarzyszem Wiesławem na czele. Do tego doszła kampania prasowa, której głównym składnikiem była antysemicka nagonka upozorowana na walkę z syjonizmem oraz czystka uderzająca w osoby podejrzane politycznie lub „rasowo”, szczególnie ostra w administracji centralnej, instytucjach kulturalnych i szkolnictwie wyższym, ale realizowana niekiedy nawet w małych zakładkach, jeśli miejscowi antysemita chcieli się wykazać. Ta pacyfikacja Polski miała niewątpliwie przeciwdziałać ewentualnemu przenikaniu wpływów czeskich, a może nawet — przygotować interwencję. Oto dwa komentarze Jerzego Giedroycia, które pokazują te wydarzenia widziane z Maisons-Laffitte:

„Awantury studenckie nie są spowodowane sprawą *Dziadów*, Witkacego etc., toteż nie mają charakteru wyłącznie i jedynie emocjonalnego. Rezolucja zaproponowa-

³⁶ List J. Giedroycia z 5 marca 1968.

na przez studentów Politechniki, która jest przedmiotem ich ultimatum, wskazuje na duże umiarkowanie i chęć uzyskania realnego minimum. Ma Pan rację, że w tym brakuje momentu socjalnego. Gomułka wraca do starych carskich metod, to jest pchania mas robotniczych (nie ludźmy się, obecny robotnik w Polsce nie jest uświadomionym proletariuszem, ale miazgą ludzką zbliżoną do sytuacji w latach dziewiętnastych) do pogromów przeciwko syjonistom i inteligencji. To jest prawdziwe niebezpieczeństwo i tu trzeba bić na alarm. Tego nie zrozumiało «Po prostu» i nie doceniają obecni młodzi. Trzeba zrobić wszystko, by nie dopuścić do przepaści między robotnikiem a inteligencją. Mówiąc nawiasem, to jest największym niebezpieczeństwem dla liberalizacji w Czechach, gdzie ta przepaść jest kompletna. To próbuje wygrywać Nowotny»³⁷.

Uwagi te pisane były w trakcie wydarzeń, gdy trwały jeszcze strajki studenckie i gdy nie było pełnego obrazu tego, co się działo na prowincji. Wkrótce potem przyszły perturbacje spowodowane we Francji długotrwałym strajkiem powszechnym, którego detonatorem był ruch studencki. Gdy korespondencja wróciła do normy, Jerzy Giedroyc zajął się ponownie wydarzeniom marcowymi, tym razem jednak z innego punktu widzenia:

„Miałbym do Pana jeszcze jedną prośbę: wydaje mi się rzeczą bardzo ważną, by w tym numerze zająć bardzo ostre stanowisko w stosunku do kierownictwa PZPR. Idzie o wypuklenie dwóch rzeczy, które oni robią i które w sposób zupełnie nieprawdopodobny kompromitują Polskę jako taką. W pierwszym rzędzie jest to nagonka «syjonistyczna». Trzeba tu wreszcie postawić kropkę nad «i». Wiemy dobrze, że idzie o rozgrywki frakcyjne z grupą Puławian, co łączy się w dużej mierze z walką komunistów, którzy w czasie wojny byli w Polsce, z komunistami, którzy przyszli z Rosji. W sumie jest to około — trudno to bowiem obli-

³⁷ List J. Giedroycia z 13 marca 1968.

czyć — 1000–2000 osób. A więc właściwie liczba bardzo niewielka. Otóż dla usunięcia tych ludzi zorganizowano dużą kampanię mającą charakter antysemitki, przypominającą proces Beylisa w Rosji carskiej, która, jak Pan wie, zmobilizowała nie tylko cały świat żydowski przeciwko nam, ale całą liberalną opinię zachodnioeuropejską, a nawet w demokracjach ludowych, jak np. w Czechach czy Jugosławii. Furia przeciw Izraelowi jest tym bardziej niezrozumiała, że na środkowym Wschodzie Polska praktycznie nie ma nic do szukania [...]. Próba argumentowania, że się czyści ubeków i ludzi, którzy byli czołowymi działaczami w okresie stalinowskim, też jest niesłychanie naciągana. Wymienia się Fejgina czy Monata, a ludzie w Polsce zapomnieli, że z tego okresu i Moczar ma bardzo krwawe ręce, nie mówiąc już o Gomułce, który przecież likwidował podziemie akowskie i sankcjonował działalność NKWD na terytorium Polski. Jednocześnie [tu słowo nieczytelne — K.P.] wyolbrzymia się pomoc, jaką dawało społeczeństwo polskie Żydom w czasie okupacji, w sposób natrętny, przesadny i nieprzekonywający. Jeżeli zajmujemy stanowisko tak wyraźnie broniące Żydów, to dla mnie przynajmniej osobiście wynika z tego, że nie mam kompleksu niższości, i jeżeli z dumą podkreślamy Polskie Millenium, to przecież na nas spada odpowiedzialność jako naród rządzący i państwowy za nierozwiązanie różnych problemów, a przede wszystkim problemów narodowościowych, jak żydowski i ukraiński. A to jest problematyka, która przecież istniała setki lat. Nie uważam za właściwe, by Polacy wykazywali to, co zrobili dla Żydów. To jest zadanie i obowiązek samych Żydów, a jeżeli tego nie robią — to już ich to obciąża moralnie.

Drugą kompromitacją, która jest w powietrzu, to jest właśnie sprawa, o której pisałem wyżej: to jest niebezpieczeństwo, że Polacy mogą być pacyfikatorami liberalizacji w Czechosłowacji. Jeżeli to nastąpi, to się przez dziesiątki lat nie podniesiemy z tego powszechnego odium w stosun-

ku do nas i stracimy te wszystkie potencjalne możliwości, jakie Polska — zresztą zupełnie przypadkowo — posiada na skutek legendy Października 1956. Proponuję więc, by Pan zrobił krótki artykuł w tej sprawie, bardzo mocny [...]”³⁸.

Słowa te nie wymagają komentarza. Warto jednak zauważyć, że stanowisko „Kultury” w 1968 r. odbiegało całkiem daleko od poglądów tych wszystkich inteligentów w kraju, którzy byli wprawdzie bezpartyjni i antykomunistyczni, ale dla których to, co działo się w Marcu — tzn. właściwie od lata 1967 do końca 1969 r. — sprowadzało się wyłącznie do dintojry w PZPR, co pozwalało im uważać, że to nie ich sprawa. Poglądy takie były, rzecz jasna, rozpowszechnione również na emigracji. „Kultura” nie miała żadnych złudzeń w tej materii, a właściwie — nie miał ich Jerzy Giedroyc, gdyż Mieroszewski skłonny był niekiedy wierzyć, że rewizjoniści są rzecznikami krajowej większości: „Jakiś pajac w ostatnim «Orle Białym» napisał, że nie krajowcy, którzy piszą do «Kultury», jak P. Preiss, są reprezentatywni dla opinii młodych w Polsce — tylko Tyrmand jest wyrazicielem opinii większości w kraju. Gdybym uwierzył w reprezentatywność Tyrmanda, przyjąłbym obywatelstwo brytyjskie i przestał pisać po polsku”. Na co Redaktor: „Niestety w pewnym sensie oni [«Orzeł Biały» — K.P.] mają rację, jeżeli Pan weźmie większość inteligencji, to na pewno Tyrmand jest bardziej reprezentatywny. Musimy bowiem sobie uświadomić, że większość jest kołtuńska, nie tylko ślepo anty-, ale interesują ich właściwie poza tym anty- tylko plotki i ploteczki. Musimy sobie zdać sprawę, o czym zresztą i Pan, i ja wiemy nie od dzi-

³⁸ List J. Giedroycia z 16 lipca 1968. — Por. list J. Mieroszewskiego z 12 stycznia 1964, gdzie porównanie przepisów obowiązujących w PRL do ustaw norymberskich, i listy J. Giedroycia z 29 stycznia 1965, 29 marca 1966 i 24 czerwca 1967 o narastaniu „dzikiego antysemityzmu” w łonie partii.

siaj, że wszędzie, a w historii Polski specjalnie, znikoma mniejszość zawsze narzucała swą wolę biernemu i ospałem społeczeństwu, i nic nie wskazuje na to, że to się zmienia”³⁹.

IV

Tego rodzaju wypowiedzi Redaktora można przytoczyć o wiele więcej. Nie było chyba roku, w toku którego nie uzewnętrznił kilkakrotnie swego przekonania, że walczyć trzeba nie tylko z komunizmem, ale i z mentalnością, którą określał jako „endecką”, „reakcyjną” czy „białogwardyjską”, i co do której uważał, że hołduje jej większość inteligencji w kraju i na emigracji⁴⁰. Z tego przekonania wyrastała prowadzona przez „Kulturę” wobec jej czytelników polityka wychowawcza polegająca na narzucaniu im problematyki i perspektyw, które były im obce czy wręcz budziły ich wrogość, a tym samym — na poszerzaniu ich horyzontów. Jednym z najważniejszych składników tej polityki wychowawczej było przyzwyczajanie czytelników

³⁹ List J. Mieroszewskiego z 6 listopada 1969. — List J. Giedroycia z 10 listopada 1969.

⁴⁰ Por. listy J. Giedroycia z 3 czerwca 1966 i 27 sierpnia 1966: „W ustrojach totalitarnych opozycja narasta i narastać może jedynie na marginesach obozu rządzącego. Siłą Modz[elewskiego] i Kuronia jest, że po raz pierwszy rzucają wyraźne hasło rewolucji, a to jest jeden z [słowo nieczytelne — K.P.], który działa specjalnie w okresie, w którym na skutek wyżu demograficznego i polityki gospodarczej dla młodych nie ma miejsca i szans i zaczyna rosnąć lumpenproletariat inteligentki. Ten nie ma nic do stracenia jak ci, którzy «doszli», a wszystko do wygrania. Jest prawdą, że społeczeństwo polskie w znakomitej większości jest antykomunistyczne, nienawidzi reżymu, jest w dosłownym tego słowa znaczeniu kołtuńskie i reakcyjne. Ale fenomenem [słowo nieczytelne — K.P.] było zawsze od końca XVIII w. począwszy, że lewica, która była nie tylko nieliczna, ale zawsze skłócona, w zasadzie rządziła. W Polsce międzywojennej rządził Piłsudski, a nie Dmowski”. — Por. też listy J. Giedroycia z 2 marca 1968 i 29 września 1969.

do pluralizmu pisma, do współistnienia w nim różnych, niekiedy sprzecznych stanowisk i punktów widzenia. „[...] totalitackie Polonusy nie mogą tego pojąć — pisał Mieroszewski w związku z drukiem w «Kulturze» artykułu Kisiele. — Nie mogą pojąć, że można się z kimś nie zgadzać — lub nie we wszystkim się zgadzać — a mimo to faceta drukować. W tym «Kultura» jest zachodnioeuropejska. Ale Polacy uznają to w prasie amerykańskiej, a uważają za niepojęte w piśmie polskim”⁴¹. I po kilku latach: „Pan i ja jesteśmy uformowani w tradycji liberalnej, lecz w Polsce liberalizm jest martwy [...]. Numer «Kultury» z lewicującym artykułem Mieroszewskiego, z ultrakonserwatywnym artykułem Wacka Zbyszewskiego i z nagrodą dla Miedzińskiego — byłby w najlepszej liberalnej tradycji, lecz dla czytelnika krajowego byłby po prostu nie do pojęcia”.

Każdy, kto był „czytelnikiem krajowym”, przyzna, że jest w tym bardzo dużo prawdy. Ale to tylko wtęret do rozmowy, w której Redaktor odpowiada swemu Publicyście: „Nie jestem pewien, czy ja osobiście jestem uformowany w tradycji liberalnej. Miałbym poważne wątpliwości. Jedno jest chyba pewne, że nienawidzę owczych odruchów”⁴². Nie liberalizm zatem, lecz indywidualizm, ale z tymi samymi następstwami praktycznymi. Szacunkiem dla poglądów mniejszościowych i stanowisk niepopularnych, czego wyrazem było umożliwienie ich rzecznikom wypowiedzania się w „Kulturze” nawet wtedy, gdy pozostawali w niezgodzie z samą Redakcją, która musiała zaznaczać to przypisem czy komentarzem. Występowaniem wbrew panującym opiniom. Odmową bezkrytycznego wielbienia osobistości wysuwanych przez Polaków do roli mężów opatrnościowych, wieszczów czy przynajmniej autorytetów i konsekwentnym ocenianiem ich nie w świetle minionych za-

⁴¹ List J. Mieroszewskiego z 10 maja 1962.

⁴² List J. Mieroszewskiego z 19 marca 1967. — List J. Giedroycia z 22 marca 1967.

sług, ale wyłącznie ze względu na charakter i skutki aktualnie podejmowanych działań, i takim samym traktowaniem instytucji, choćby ogół otaczał je czcią, m.in. Episkopatu. Wszystko to razem składa się na postawę nonkonformistyczną znaną dla „Kultury” i przejawiającą się w jej wyborach nie tylko politycznych, lecz również artystycznych, niekiedy — jak w przypadku decyzji o druku Gombrowicza czy Miłosza — nie dających się zresztą odłączyć od siebie. Postawę nonkonformistyczną, która wyznacza swoisty etos „Kultury” i której praktykowanie przez czterdzieści lat stanowi o jej wyjątkowości, a zarazem jest jednym z jej najważniejszych wkładów do kształtowania przyszłego oblicza inteligencji polskiej.

Gdy bierze się do ręki numer czasopisma, zwraca się uwagę przede wszystkim na taki czy inny artykuł, tego czy innego autora. Rzadko — na pracę redaktora naczelnego. A przecież to jego dziełem jest każdy numer jako całość i ciąg numerów, które łącznie tworzą pismo. W przypadku „Kultury” rola redaktora naczelnego jest znacznie większa niż w periodykach, które ukazują się normalnie we własnych krajach. Przytoczone dotąd fragmenty jego korespondencji z Mieroszewskim świadczą, że to Redaktor właśnie kształtował w zasadniczej mierze linię polityczną „Kultury”. W słowach Mieroszewskiego: „pan jest twórcą «modelu», a ja jestem krawcem, który musi ów «model» skrajać i uszyć”⁴³ — było zapewne nieco przesady, gdyż wywierał on przecież wpływ na kształt samego „modelu”. Mieroszewski odróżniał jednak wyraźnie polityczne „spekulacje”, jak je nazywał, od wypowiedzi, które były zajęciem stanowiska w imieniu „Kultury” i co do których domagał się od Redaktora wyraźnych instrukcji⁴⁴, aby je na-

⁴³ List J. Mieroszewskiego z 9 maja 1965.

⁴⁴ List J. Mieroszewskiego z 25 listopada 1968: „Widzi Pan, w analizach i spekulacjach politycznych nie muszę się Pana radzić (choć często się radzę), bo to robię w oparciu o lekturę, rozmyślanie i doskonałą zna-

stępnie z całą dokładnością realizować. Użyta przezeń metafora „modelu” i krawca daje w tym zakresie wierny obraz ich wzajemnych stosunków.

Rola redaktora naczelnego „Kultury” nie sprowadzała się wszelako do wytyczania linii politycznej pisma. Lektura korespondencji pokazuje też, ile czasu i wysiłku pochłaniało szukanie nowych współpracowników, zdolnych kompetentnie omawiać tematy uważane przez Redaktora za doniosłe, ale nie poruszane w „Kulturze”, gdyż nie miał kto tego zrobić. Pokazuje nadto, ile czasu i starań zabierało zdobywanie pieniędzy na Fundusz Kultury i na wydawanie książek — tym trudniejsze, że z góry wykluczone były wszystkie dotacje, które by mogły, choćby w najmniejszym stopniu, ograniczyć niezależność pisma. „Co za szczęście, że nie siedzimy na niczym garnuszku. Ciężko bo ciężko, ale można spać względnie spokojnie, a co ważniejsze, mówić prawdę w oczy, nie bojąc się «sankcji»”⁴⁵ — pisał Redaktor do swego Publicysty. Na tym tle dochodziło niekiedy do dyskusji między nimi. Odpowiadając Mieroszewskiemu, który uważał, że „Wietnam jest ważny, lecz mimo wszystko to nie jest nasz problem”; i że otrzymanie amerykańskich pieniędzy na akcję wydawniczą „Kultury” ma większe znaczenie niż przyłączenie się do chóru krytyków polityki Stanów Zjednoczonych, Jerzy Giedroyc stwierdza: „Nie mogę się liczyć, czy zajęcie stanowiska w tej sprawie może się Amerykanom nie podobać. Ja nie liczyłem i nie liczę na ew[entualne] pieniądze ze źródeł państwowych, a jedynie poszukuję prywatnych fundacji i mecenasów”⁴⁶.

jomość Pańskich poglądów. Lecz tam, gdzie nie chodzi o analizę, lecz o sformułowanie programowe w sprawie tak ważnej, jak Zaołzie, to jest zadanie Pana jako szefa politycznego, a nie moje jako Pańskiego publicysty. Pan nie musi pisać elaboratu, jak Pan napisze kilkanaście zdań, to mi wystarczy”.

⁴⁵ List J. Giedroycia z 11 kwietnia 1964.

⁴⁶ List J. Giedroycia z 4 września 1966 w odpowiedzi na list J. Mieroszewskiego z 2 września 1966.

Dziś, gdy znane są stosunki między „Kulturą” a Kongresem⁴⁷ i gdy powszechnie wiadomo, że niezliczone pogłoski o finansowaniu jej przez CIA czy Bóg wie kogo jeszcze są najzwyczajniej fałszywe, można tylko podziwiać wytrwałość i odporność Redaktora, które pozwoliły „Kulturze” nie iść na żadne ustępstwa, choć przecież trzeba było to opłacać wieloletnimi i wielorakimi wyrzeczeniami. Właśnie ta codzienna walka o utrzymanie niezależności pisma umożliwiała praktykowanie przez nie nonkonformizmu, któremu nadawała zarazem wiarygodność, gdyż czyniła zeń coś więcej niż zespół poglądów — sposób życia.

Ale do listy zajęć Redaktora należy jeszcze dopisać kilka ważkich i czasochłonnych pozycji. Pierwszą jest upowszechnianie „Kultury” wśród emigrantów, pozyskiwanie nowych czytelników, a zwłaszcza — nowych prenumeratorów. Drugą — ocena otrzymywanych tekstów. Trzecią lansowanie, a jeszcze częściej — realizowanie we własnym zakresie, gdyż nie było komu ich powierzyć, różnych inicjatyw wydawniczych: od namawiania Mieroszewskiego, by pisał książki, a przynajmniej sporządzał zbiory swych artykułów, przez numery rosyjskie i niemieckie „Kultury” — projektowany numer węgierski nie doszedł do skutku — zeszyt poświęcony wydarzeniom w Czechosłowacji, antologię „Kultury” w języku angielskim, w którą redakcja włożyła więcej pracy niż jej nominalny wydawca⁴⁸, aż po tom *Znasz-li ten kraj?*, który Redaktor sam ułożył⁴⁹. To z kolei prowadzi do ostatniej dziedziny, zastrzeżonej do wyłącznej kompetencji Redaktora: stosunków z krajem i innymi krajami bloku sowieckiego. „Od 1959 ro-

⁴⁷ Por. K. A. Jeleński, *O „Kulturze” dla Francuzów*, w: tegoż, *Zbiórki okoliczności*, Paryż 1982, s. 153–170, zwłaszcza s. 159–160.

⁴⁸ O pracy nad antologią por. list J. Mieroszewskiego z 7 lutego 1968; list J. Giedroycia z 9 lutego 1968; list J. Mieroszewskiego z 11 lutego 1968; list J. Giedroycia z 20 lutego 1968.

⁴⁹ Por. list J. Giedroycia z 20 grudnia 1969.

ku — pisze on do Mieroszewskiego — mam kontakt z Sowietami, dostaję stamtąd rękopisy i mimo że wiem pozytywnie, że to doprowadza NKWD do szalu i odbija się naciskami na Warszawę w naszej sprawie — nikt nie wpadł. No bo ludzie w Moskwie są dyskretniejsi i wiedzą, co to jest konspiracja. We wszystkich wypadkach, w których ludzie w kraju cierpieli z powodu «Kultury», mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że cierpieli jedynie z własnej nieostrożności i lekkomyślności⁵⁰. Ale „Kultura” utrzymywała stosunki nie tylko z Rosją. Również z Ukrainą, Węgrami i Czechosłowacją. Przewycięzanie przez nią polskiego nacjonalizmu, bezzasadnego poczucia wyższości wobec narodów ościennych i zapatrzenia w mocarstwową przeszłość — dokonywało się nie tylko za sprawą publikowanych artykułów, ale również dzięki konsekwentnej polityce nawiązywania i utrzymywania kontaktów z sąsiadami na gruncie wspólnej walki o wyzwolenie dziś i perspektywy suwerennego ustanowienia równoprawnych stosunków w przyszłości.

Do wszystkich tych wiadomości zaczerpniętych z listów naoczny świadek może dodać, że działalność Redaktora jest dziś równie wielostronna, co dawniej. Zapewne, nie trzeba już zabiegać o to, by „Kultura” była znana; wśród szeroko pojmowanej inteligencji polskiej w kraju i na emigracji nie ma chyba nikogo, kto by o niej nie słyszał, a i poza obszarem polszczyzny cieszy się ona znacznym rozgłosem. Poprawie uległy też warunki materialne, choćby dlatego, że wzrosła liczba prenumeratorów pisma i czytelnictwo książek na emigracji. Toteż Instytut Literacki jest dziś samowystarczalny finansowo, co gwarantuje mu pełną niezależność. Wreszcie „Kultura” nie jest już jedynym liczącym się czasopiśmem emigracji polskiej, a nawet szerzej — środkowo- i wschodnioeuropejskiej, czym była przez długie lata. Wystarczy wymienić czeskie „Svedectvi”, ukraińskie

⁵⁰ List J. Giedroycia z 27 czerwca 1962.

„Suczastnist” i „Widnowę”, rosyjski „Kontynent” i węgierski „Magyar Füzetek”, pisma powstałe w jakiejś mierze z jej inspiracji. Niemniej jednak wszystkie niemal problemy pozostają dziś równie aktualne, co przed laty. I, jak przed laty, „Kultura”, choć ma liczne grono współpracowników, pozostaje — jako pismo różne od wszystkich innych — dziełem jednego Redaktora.

Obficie przytaczane tu cytaty z jego korespondencji z Juliuszem Mieroszewskim dobrałem tak, by pochodziły tylko z lat sześćdziesiątych, do Marca, i pokazywały stanowisko obu przyjaciół wobec spraw krajowych. Zależało mi bowiem na utrzymaniu zwartości i jednorodności, których nie dałoby się zachować w ramach tego szkicu, gdybym uwzględnił wszystkie wątki, które są w tej korespondencji obecne: charakterystyki osób i instytucji emigracji i ich stosunków z „Kulturą”; dookreślanie postawy wobec Rosji oraz wobec Ukrainy, Litwy i Białorusi; oceny sytuacji w krajach Europy Zachodniej oraz opinie o polityce międzynarodowej, zwłaszcza amerykańskiej i sowieckiej, ale również o Francji de Gaulle’a, Chinach, Niemczech, wojnie w Wietnamie, konflikcie izraelsko-arabskim, Czechosłowacji, Biafrze, dysydentach rosyjskich, ruchu studenckim. Każdy z tych wątków jest ważny. Każdy niemal mógłby być przedmiotem odrębnego szkicu. Dopiero łączne ich omówienie, uwzględniające przemiany, jakie zachodziły w ciągu czterdziestu lat, dałoby całościowy obraz. Historia polityczna „Kultury” czeka jeszcze swego autora. Ale moral z niej, kto wie, czy nie najważniejszy, można chyba sformułować już dziś.

„Co my mamy do zaoferowania? — zastanawiał się Mieroszewski, tłumacząc swemu Redaktorowi, że powinien otrząsnąć się z poczucia osamotnienia. — Co my mamy do zaoferowania? Uczciwość intelektualną, nie zniewolone umysły, polską niezależną myśl polityczną. W okresach pokłeskowego bagna — to nigdy nie były towary pokupne.

Lecz Historia nie jest z CIA ani z najsilniejszymi batalionami. Historia w ostatecznym rozrachunku jest z tymi, którzy mają rację. Z jednym istotnym dodatkiem: Historia jest po stronie tych, którzy mają rację i jej nie zaprzeczali”⁵¹.

Historia opowiedziała się po stronie „Kultury”.

⁵¹ List J. Mieroszewskiego z 13 marca 1967.

***III. O nowoczesność świadomą
tradycji***

Jeleński: szkic do portretu

Był pełnoprawnym obywatelem wielu światów. Pol-
szczyzny przede wszystkim, ale nadto co najmniej czte-
rech innych języków. Eseju, w którym spełniał się jako
pisarz, oraz rozprawy krytycznej, artykułu publicystycz-
nego, recenzji, noty polemicznej, przekładu. Literatury
polskiej i powszechnej; malarstwa, historii i polityki. Pol-
skiego ziemiaństwa i liberalno-lewicowej inteligencji. Mię-
dzynarodowego środowiska intelektualistów, artystów i
pisarzy, emigracji żołnierskiej i kręgów, których uczestni-
cy w różnych okresach opuścili PRL. Przeszłości, z którą
czuł się związany, i czasu teraźniejszego, który go fascyno-
wał. Paryża jako jednej ze stolic kultury polskiej i Paryża
jako centrum kultury francuskiej, a w jakiejś mierze też —
europejskiej i światowej. Zresztą traktowano go jak swe-
go w wielu miejscach, w wielu krajach, w wielu metropo-
liach. On jednak nigdzie nie czuł się chyba w pełni u siebie.
Gdzieś w latach sześćdziesiątych, podczas PRL-owskiej
nagonki na Gombrowicza, odpowiedział jakiemuś wolon-
tariuszowi oszczerstwa z warszawskiej „Kultury”, który
usiłował unaocznąć swym czytelnikom pogardę paryskiego
światowca dla literatury narodowej: „Nigdy nie mówię:
«U nas w Paryżu»”. Jakoż nigdy bodaj nie użył tego zwro-
tu. Co więcej, choć Polskę opuścił mając lat siedemnaście,
a w Paryżu mieszkał od 1951 roku, nigdy nie wystąpił o

obywatelstwo francuskie i do końca legitymował się dokumentem uchodzący politycznego.

Znaliśmy się zaledwie trzynaście lat. Po raz pierwszy spotkaliśmy się u pallotynów po moim tam odczycie, jesienią 1974 roku, i tamże, w mieszkaniu niezapomnianego ks. Józefa Sadzika, odbyliśmy pierwszą, długą, wieczorną rozmowę. Na pozór różniło nas niemal wszystko: pochodzenie społeczne, rodowód ideowy, życiorys, staż emigracyjny, nawet temperament, w moim przypadku znacznie bardziej gwałtowny. Jeśli jednak po tej rozmowie nastąpiło wiele innych, jeśli Konstanty Jeleński wkrótce stał się dla mnie Kotem, jeśli nasza znajomość szybko i najzupełniej naturalnie zaowocowała przyjaźnią — to chyba dlatego, że zachodziło tu jakieś, stopniowo przez nas obu odkrywane, powinowactwo duchowe zakorzenione we wspólnocie zainteresowań i wartości. Widywaliśmy się, jak na paryski tryb życia, względnie często. Niekiedy wpadałem do jego biura i szliśmy na obiad z czerwonym winem do jednej z małych, ludowych restauracyjek, które bardzo lubił, a których trochę uchowało się jeszcze w okolicach placu Republiki. Co kilka miesięcy spędzaliśmy razem wieczór na ożywionych dyskusjach o literaturze, malarstwie, polityce polskiej i francuskiej, na ogół przy akompaniamencie wybuchów śmiechu. Czasem byliśmy tylko w trójkę: moja żona, Kot i ja. Czasem grono było nieco szersze. Ostatnia taka beztroska i wesola kolacja z udziałem Kota, Wojciecha Karpińskiego i Tomasza Łubieńskiego odbyła się w listopadzie lub grudniu ubiegłego roku. W lutym, podczas kolejnego wieczoru, który miał się okazać ostatnim, nastrój był już inny. Kot sprawiał wrażenie zmęczonego i przygnębionego. Rozmawialiśmy o tym, co będzie mógł robić teraz, gdy emerytura, na którą był właśnie przeszedł, pozostawi mu nareszcie dużo wolnego czasu, ale temat wyraźnie go nie interesował. Wtedy przypuszczaliśmy z żoną, że sprawia mu trudność dostosowanie się do no-

wego trybu życia. Dziś wydaje nam się, że odczuwać już musiał pierwsze ciosy choroby.

Przyjaźń z Kotem — to nie tylko rozmowy, w których jego partia była niekiedy istnym dziełem sztuki. To również listy, które pisał z wielką łatwością, przy najróżniejszych okazjach: by skomentować jakieś wydarzenie, przekazać wrażenia z lektury czy z obejrzenia czegoś, przesłać ciekawy wycinek z gazety czy po prostu zastąpić spotkanie, do którego akurat nie mogło dojść z braku czasu. Listy szybkie, o dużych, wyraźnych literach stawianych czarnym długopisem, niekiedy pokreślone, wolne od troski o styl i dzięki temu zachowujące chyba lepiej niż rzeczy drukowane sposób mówienia, melodię i barwę głosu.

W polszczyźnie, jak w innych językach europejskich, słowa „amator” i „dyletant” nabrały w ciągu ostatnich dwustu lat zabarwienia uwłaczającego. Jak więc określić dziś kogoś, kto zgodnie z ich pierwotnymi znaczeniami zajmuje się tym, co lubi i co mu sprawia przyjemność? „Miłośnik” brzmi nieco staroświecko. Może właśnie dlatego ten termin zdaje się dobrze przylegać do Jeleńskiego-pisarza: niczym miłośnik sztuk i piśmiennictwa w dawnym stylu nie poczytywał swego pisania za zawód, lecz uprawiał je jako czynność bezinteresowną. Było w tym coś z postawy wielkiego pana, który bawi się piórem, nie przywiązując wszakże nadmiernej wagi do efektów tej zabawy. Nie znaczy to, że Jeleński skłonny był pozwalać, by jego bezinteresowności nadużywano. Gdy zasłużony właściciel i dyrektor szwajcarskiej oficyny L'Age d'Homme uznał po ogłoszeniu drugiego wydania *Anthologie de la poésie polonaise*, że może nie wypłacać za nie honorarium, Kot, który dostrzegł w tym — i słusznie — wyraz lekceważenia dla swej pracy, wystosował doń długi, sarkastyczny list godny każdego zbioru korespondencji ilustrującej stosunki autorów z wydawcami. Skądinąd jednak w ciągu trzydziestu z górą lat rozsiewał swe utwory i nie podejmował nawet

próby zgromadzenia ich w kolejnych tomach, choć przecież żył wśród ludzi cierpiących na ogół istne męki, póki kilku szkiców, które wydrukowali już w czasopiśmie, nie objęła jedna okładka. *Zbiegi okoliczności* powstały, jak wiadomo, z inicjatywy przyjaciół: Wojciecha Karpińskiego i Piotra Kłoczowskiego. Ale znaczna część spuścizny pisarskiej Jeleńskiego pozostaje jeszcze rozproszona, toteż nie ogarniamy dziś w pełni jej rozmiarów. Najważniejszym obowiązkiem jego przyjaciół będzie teraz zebranie wszystkiego, co pozostawił, porównanie różnojęzycznych wersji, przetłumaczenie utworów, których sam nie spolszczył, i udostępnienie całości czytelnikom. Wtedy dopiero zajmie on ostatecznie miejsce należne mu w powojennej historii kultury polskiej.

Jak każdy urodzony eseista Jeleński myślał nie systematycznie, lecz dygresyjnie. Przywiązywał wagę nie do rozumowania, formalnego schematu podporządkowanego ostrym kryteriom poprawności, ale do skojarzeń zdolnych odsłaniać treściowe związki między przedmiotami, przeważnie niespodziewane i niewidoczne, nim zwrócił na nie uwagę swego czytelnika lub rozmówcy. Odpowiadało to jego fascynacji „zbiegami okoliczności”, zaskakującymi spotkaniami ludzi, wydarzeń, rzeczy, grą przypadku, która sprawia, że dwa równoległe na pozór tory przecinają się w tym, a nie innym punkcie, choć nie widać po temu żadnych racji, lub powoduje jakieś zgoła nieprzewidywalne następstwa. W tej „metafizyce ateisty”, którą głosił pół żartem, pół serio, wyrażała się jego oświeceniowość. Oświeceniowość szczególna: nie wolteriańska z właściwym jej poczuciem wyłącznego posiadania prawdy i przekonaniem o własnej wyższości oraz towarzyszącą temu nieodłączną nietolerancją. Bliższa raczej, na co zwrócono już uwagę, Jana Potockiego. Jeleński był człowiekiem Oświecenia, który przeczytał i przyswoił sobie Blake’a i Lichtenberga. Reprezentował Oświecenie późne, świadome swych ograniczeń i jednostronności, nauczone bowiem przez rewolucję

i terror, że gdyby „światłość” wyrugowała bez reszty wszelki „mrok”, to w świecie nie ostałby się żaden cień, w którym jednostka mogłaby się schronić — a zatem skłonne, wbrew wolterowskiemu *écrasez l'infâme*, przyznać prawo do istnienia przeciwieństwu siebie samego w imię wartości przez samego siebie wyznawanych. Jeleński-racjonalista tropił zatem, nie bez przekornego rozbawienia, przejawy działania w świecie czynników irracjonalnych, a Jeleński-libertyn okazywał szacunek religii, choć nie wyznawał jej ani nie praktykował. Przy czym swego rozdwojenia nie przeżywał tragicznie, lecz rozładowywał wytwarzane przez nie napięcia dzięki ironicznemu dystansowi wobec samego siebie i swych poglądów, dzięki nieustannej otwartości na innych, gotowości uznania racji oponenta, choćby tytułem próby, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Jestem pewien, że lubił Hume’a, acz — rzecz dziwna — nigdy z nim o tym nie rozmawiałem.

Ale wyrozumiałość dla stanowisk sprzecznych z jego własnym miała u Jeleńskiego wyraźnie określone granice. Nie rozciągała się na nacjonalizm, programową wrogość wobec obcych, zwłaszcza wobec Żydów, sympatię dla dyktatur, bałwochwalczy stosunek do narodowej przeszłości i otaczanie kultem tego tylko, co swojskie, rdzenne, wczepione niczym roślina w swe miejsce urodzenia. Do endecji odnosił się z niezmienną i jednoznaczną wrogością i nie był skłonny przyznać jej jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Wypowiedzi na ten temat wyzwały jego natychmiastową reakcję. Gdy ogłosiłem kiedyś w „Kulturze” krótką notę o pewnym emigracyjnym antysemicie, dostałem od Kota liścik z wyrazami uznania nazajutrz po ukazaniu się numeru. Gdy zaś pewien wspólny znajomy w jednym ze swych artykułów okazał, zdaniem Kota, ustępliwość wobec endecji, otrzymał odeń wielostronicowy list z rozbiorem i krytyką wyrażonych w tym artykule poglądów. Paradoksom polskiego nacjonalizmu Jeleński poświęcił zresztą wnikliwy referat wygłoszony na

kolokwium zorganizowanym — z jego inicjatywy i przy jego czynnym udziale — w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Bowiem polemika z endecją była dlań równie aktualna dziś, co w latach pięćdziesiątych, gdy wpisał się w nią kilkoma artykułami, które trafią kiedyś do antologii polskiej myśli demokratycznej. A może nawet jeszcze bardziej, gdyż orientacja ta żywotna jest obecnie nie tylko na emigracji. Nie dziwi, że jej językiem posługuje się władza, ta — jak pisał Jeleński w 1968 roku — „garstka zupaków”, która „nawiązuje do najgorszych tradycji narodowych ciemnogrodów”. Echa jej głosu po-brzmiewają jednak, co bardziej niepokojące, w wypowiedziach niektórych dostojników Kościoła, a jeszcze wyrażnie — u niektórych publicystów świeckich, którzy występują w roli jego rzeczników. Jej wpływ rozciąga się również na pewne odłamy opozycji.

Wspomniałem, że Jeleński w żadnym realnym miejscu nie czuł się chyba bez zastrzeżeń u siebie. Czuł się tak, jak sądzę, wyłącznie w kulturze polskiej, która istnieje zapewne w szczególnym i niepowtarzalnym stężeniu tam, gdzie trzydzieści sześć milionów osób mówi żywą, codzienną polszczyzną i gdzie tysiącletnia tradycja, powielana w zachowaniach jednostek i zbiorowości, utrwaliła się w krajobrazach i zabytkach, ale która nie jest do żadnego realnego miejsca przypisana, odtwarza się bowiem i odnawia w Maisons-Laffitte, Londynie i Monachium, w San Francisco, gdy nad tamtejszą zatoką ma swe widzenia Miłosz, czy w Neapolu przyswojonym naszej duchowej geografii przez Herlinga — jak niegdyś w Buenos Aires, gdy pisał tam Gombrowicz, jak na Syberii czy w Kazachstanie ubiegłego stulecia i stalinowskich wywózek, jak bez przerwy, od dwustu niemal lat, w Paryżu i w Rzymie.

Otóż w sporze między endecją a nami wszystkimi, którzy — jak Jeleński — uważamy jej wpływy za zgubne, choć skądinąd różnimy się między sobą, chodzi nie tylko i nie przede wszystkim o sprawy polityczne. Chodzi o coś nie-

porównanie bardziej doniosłego: o samo rozumienie Polski, polskości, kultury polskiej. Program endecki zakłada odwrócenie się od Zachodu, zamknięcie w narodowym samouwielbieniu i w katolicyzmie pozbawionym wszakże w praktyce swego wymiaru uniwersalnego, który przekreślają zachowania jednostkowe i zbiorowe skażone skrajnym etnocentryzmem. Zakłada też przejście z tradycji tego tylko, co daje się pogodzić z wzorcem „Polaka-katolika”. Dla Jeleńskiego kultura polska stanowi część kultury europejskiej, do której wnosi własne, unikalne wartości i od której nie może się izolować pod groźbą wyjałowienia. Przy czym nie jest tak, by kultura europejska mogła być utożsamiona z katolicyzmem czy nawet chrześcijaństwem; jest ona niezbywalnie pluralistyczna, wewnątrznie skłócona, trawiona konfliktem w obrębie samego *sacrum* oraz między *sacrum* a *profanum*, między partykularyzmami narodowymi a uniwersalnością, między „ludem” a „elitami”. Z podobnych konfliktów i napięć czerpie swe bogactwo również kultura polska, z której nie sposób — bez zubożenia jej i zniekształcenia — usunąć wkładu Żydów, Niemców, Ukraińców i Litwinów, jak nie sposób usunąć z niej ani kalwinów i arian, oświeceniowych farmazonów, romantycznych bluźnierców czy socjalistów, ani katolików jezuitskiego chowu, sarmatów o podgolonych łbach, Towiańczyków i Zmartwychwstańców, czy nawet endeków. Wyłożenie w *The History of Polish Literature* takiej właśnie pluralistycznej wizji kultury polskiej Jeleński uważał za jedno z wielkich osiągnięć Czesława Miłosza, toteż niestrudzenie zabiegał o wydanie jego dzieła po polsku w nadziei, że okaże się to skutecznym lekarstwem na polskie stereotypy i polskie kompleksy.

Każdy z nas wystawiony bywa na pokusę manicheizmu, ale nie każdy potrafi się jej oprzeć. Kot był chyba najmniej manichejską umysłowością, jaką kiedykolwiek spotkałem. Choć „socjalizm realny” bezwarunkowo i jednoznacznie potępiał, choć nie znajdował dlań żadnego usprawiedli-

wienia, nie utożsamiał go wszelako ze złem absolutnym. Był w tym — jak w całym swym nastawieniu — bardziej historykiem, empirykiem i pragmatykiem niż ideologiem. Nie uważał też, że cokolwiek wrogi jest „realnemu socjalizmowi”, zasługuje z tego tytułu na bezwarunkową aprobatę. W szczególności zaś nie znosił przekonania, że diabła można wypędzić tylko Belzebubem i że zatem skuteczna walka z sowieckim totalitaryzmem, w wersji oryginalnej lub uwzględniającej polskie swoistości, wymaga zamknięcia oczu na zbrodnie niektórych jego przeciwników lub na naruszanie praworządności czy demokracji przez innych. Świata, w którym żyjemy, nie dzielił na dwie części: równomiernie czarną i równomiernie białą. Widział w nim raczej wielobarwną mozaikę o dość zawiłym rysunku, która tylko gdzieś zawiera polacie jednolitej czerni, czystej bieli zaś nie ma nigdzie. Uznanie rzeczywistości za złożoną i wstręt do umysłowego prostactwa stanowiły o niepodatności Jeleńskiego na wszelkie doktrynerstwo i fanatyzm; nawet w jego polemikach z endecją nie ma zaciętrzewienia czy chęci słownego zniszczenia przeciwnika. Podobną cechą odznaczają się jego wypowiedzi na temat „realnego socjalizmu” i jego piewców: dźwięczy w nich często szyderstwo, ale bez nienawiści.

Odporność Jeleńskiego na doktrynerstwo i fanatyzm przejawiała się bowiem w konsekwentnym odróżnianiu przezeń ustroju, który potępiał i zwalczał, od jednostek, które usiłował zrozumieć. Zdawał sobie sprawę, że zło w świecie ma za sprawców nie tylko złych ludzi działających z niskich pobudek, ale również — kto wie, czy nie częściej — ludzi skądinąd czcigodnych, ożywionych czystymi i dobrymi intencjami. Mechanizm, który to powoduje, który przeinacza, znieprawia i zmienia w ich własne przeciwieństwo piękne słowa, wzniosłe czyny i szlachetne zamiary, szczególnie interesował Jeleńskiego w zjawisku komunizmu. Świadczy o tym niezwykle artykuł, jakim pożegnał Tuwima w 1954 roku. Oraz, jeszcze dobitniej, otwartość

i życzliwość, jakie okazywał przyjeżdżającym z Polski coraz liczniej po 1956 roku pisarzom i artystom, często ekskomunistom lub byłym *compagnons de route*, czym przyczynił się, jakże istotnie, do przełamania lodów między emigracją polityczną a intelektualistami z kraju. W jednym ze swych szkiców Jeleński zwrócił uwagę na „fakt, jak mało stosunkowo znaczą w literaturze tzw. «opinie» czy «światopogląd», o ile ważniejsze są cechy osobiste: zdolność obserwacji, inteligencja, wrażliwość, samodzielność sądu, przywiązanie do prawdy”. Stosował to nie tylko do literatury, a tym, w których te cechy dostrzegał, świadczył szacunek i przyjaźń, nie zważając na ich wcześniejsze uwikłania polityczne, gdy tylko miał podstawy sądzić, że działali w dobrej wierze i nigdy nie popełnili czynów niegodnych.

Jak Gombrowicz i Mieroszewski, jak Herling i Miłosz, Jeleński, gdyby nie „Kultura”, nie urzeczywistniłby zapewne wielu swych możliwości. To w „Kulturze” ukazały się przecież niemal wszystkie jego artykuły pisane po polsku lub przez niego na polski przełożone; nie trzeba być wielkim znawcą dziejów czasopiśmiennictwa emigracyjnego, by wiedzieć, że — z nielicznymi bardzo wyjątkami — mogły one być ukazać się tylko tam. Ale „Kultura” była dla Jeleńskiego nie tylko miejscem, gdzie drukował swe utwory. Była czymś o wiele ważniejszym: „formą zbiorowej komunikacji z kilkoma ludźmi rozrzuconymi po świecie, z którymi przeważnie nie sposób było spotkać się raz na tydzień w kawiarni”. Inaczej mówiąc: formą uczestnictwa w tej idealnej kulturze polskiej, która istnieje wszędzie, gdzie żyją jej twórcy. I na tym jednak nie koniec. Z Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Zofią i Zygmuntem Hertzami łączyła go głęboka przyjaźń, a z samym pismem i jego redaktorem naczelnym — wspólnota pewnych podstawowych wartości, „wrogość wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm”, krytyczna ocena Dwudziestolecia, przywiązanie

do przeszłości, ale bez nostalgii, otwarcie na sprawy kraju.

Piszę o tych sprawach, dziś chyba oczywistych, by jakoś streścić niezliczone rozmowy z Kotem na temat „Kultury” właśnie, jej współpracowników i jej redaktora naczelnego. Przyjechałem z Warszawy pełen uprzedzeń właściwych środowisku, z jakiego się wywodzę, i czternaście lat temu o wiele silniejszych niż teraz, choć nadal nie do końca chyba przewyżczonych przez wszystkich mych warszawskich przyjaciół. Moja droga do Lafitu prowadziła — mówiąc skrótowo — przez dwa miejsca, gdzie te uprzedzenia uległy stopniowo wykarczowaniu: przez mieszkanie Kota na rue La Vrillère i przez piętérko w kawiarni Cluny, w której spotykamy się zazwyczaj z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. To oni — a zwłaszcza Kot, choćby dlatego, że widywałem go częściej niż Gustawa — pozwolili mi zrozumieć „Kulturę” i przyjść tam pewnego dnia trochę tak, jak przychodzi się po długim błędzeniu do znalezionej wreszcie domu. To pod ich wpływem w latach 1978–1979, gdy wraz z Pierre’em Nora i Marcelem Gauthet przygotowaliśmy „Le Débat”, było już dla mnie oczywiste, że musi się w nim ukazać artykuł o „Kulturze” i że powinien być napisany przez Jeleńskiego; pomysł ten doczekał się realizacji słonecznym latem 1980 roku. „Kultura” wracała zresztą w naszych rozmowach również później. Gdyby nie pomoc Kota i jego rady, nie wiem, czy udało by się doprowadzić do wystawy Czterdziestolecia, której francuski katalog przejrzał uważnie w maszynopiśmie, a w kilku punktach — skorygował i uzupełnił. A z wielu obrazów, na których przechowałem w pamięci jego postać, w tej chwili tkwi mi przed oczami scena z wernisażu tej wystawy: Kot z Leonor Fini przed gablotą poświęconą Stempowskiemu, Czapskiemu i Jeleńskiemu.

Nie idealizujmy jednak. Stosunki Kota z „Kulturą” nie zawsze były harmonijne. Łatwo to zrozumieć. Wspólnota wartości wyznacza zasadnicze wybory, ale w życiu codziennym większą od niej rolę odgrywają często charakte-

ry ludzi i wymagania instytucji. Jerzy Giedroyc powiedział kiedyś o „Kulturze”, że jest zakonem. Aby być członkiem tego zakonu, nie trzeba było koniecznie mieszkać w Laficie. Mieroszewski nigdy tam nawet nie był, gdyż nigdy po wojnie nie wyjechał z Anglii, ale w zakonie „Kultury” piastował wysoką godność, gdyż złożył jej śluby wierności i podporządkował cały swój sposób życia. Jeleński nie miał temperamentu zakonnika. Był człowiekiem światowym. Poza pisaniami do „Kultury” zajmował się wieloma innymi sprawami, a w latach gdy działał w Kongresie, reprezentował instytucję, z którą stosunki „Kultury” były — najogólniej mówiąc — złożone, choć Józef Czapski i Jerzy Giedroyc stali u jej kolebki. W ciągu lat współpracy zdarzały się też rozbieżności bardziej zasadnicze, które dotyczyły zwłaszcza spraw krajowych i stosunku do lewicy zachodniej. Jednym z takich tematów spornych było nieustępliwe dążenie Jerzego Giedroycia do nawiązania i utrzymania ścisłych związków ze środowiskiem dysydenckim, a później — opozycyjnym w Polsce, w czym Kot upatrywał niepotrzebne narażanie ludzi na niebezpieczeństwo. Tak właśnie ocenił kiedyś u nas w domu wydawanie „Kultury” i książek Instytutu Literackiego w formacie kieszonkowym, nie wiedząc, jak i my wtedy, że apelowali o to od dawna sami czytelnicy krajowi. Innym zarzutem Kota wobec „Kultury” było jej rosnące — zwłaszcza od drugiej połowy lat siedemdziesiątych — upolitycznienie, które istotnie zepchnęło tematykę literacką jak gdyby na dalszy plan. Skądinąd zaś Kot był osobowością tak różną od Jerzego Giedroycia, że przy najlepszej woli musiały powstać między nimi tarcia i zadrażnienia. Tym bardziej zdumiewa fakt, że ich współpraca przetrwała trzydzieści sześć lat i że Kot żywił dla Redaktora autentyczny podziw, temperowany wprawdzie domieszką krytycyzmu, który jednak w niczym nie zmniejszał jego głębokiej uczuciowej więzi z „Kulturą” ani jego umiejętności zaszczepiania jej innym.

Jako postać publiczna, zwłaszcza podczas ostatnich piętnastu lat, Jeleński, widziany z oddalenia, mógł wydawać się kimś niemal apolitycznym. Nie podpisywał petycji i protestów, nie ogłaszał w gazetach artykułów na aktualne tematy, nie występował na zgromadzeniach; jego wypowiedzi dotyczyły książek, obrazów, problemów kultury. Były to tylko pozory. Zawsze czynny, pozostał taki do ostatnich dni. Widziałem przecież, ile czasu poświęcał całymi latami sprawom Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne i jak bardzo przejmował się jej losami, przekonany jak najślusniej, że ta skromna instytucja w istotnej mierze umożliwia intelektualistom z krajów bloku sowieckiego utrzymanie kontaktu z kulturą Europy Zachodniej. Od chwili pojawienia się w Polsce opozycji demokratycznej Kot był całym sercem po jej stronie; zaświadczył o tym m.in. pracą, jaką włożył w przygotowanie francuskiej edycji książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, która tylko dzięki niemu doszła do skutku. A jest to zaledwie jeden przykład codziennych zabiegów, których pełny wymiar odsłaniał się tylko z bliska: recenzji wewnętrznych, tłumaczeń, telefonów, zebrań, listów, mających na celu dopomożenie ludziom i dziełom.

Jego reakcją na 13 grudnia 1981 roku było bezzwłoczne podjęcie starań o subwencje dla wydawnictw emigracyjnych, by mogły publikować teksty napływające z Kraju, co do których przypuszczał, że będzie ich więcej niż przedtem w następstwie represji wobec „drugiego obiegu”. Już w styczniu lub lutym 1982 roku spotkaliśmy się, Kot i ja, z Francisem Suttonem, ówczesnym wiceprzewodniczącym Fundacji Forda, którego Kot namówił bodaj na przyjazd do Paryża, aby przedstawić mu szacunek potrzeb i wstępne projekty. Po dalszych dwóch lub trzech miesiącach, w ciągu których Kot napisał, jak przypuszczam, kilkadziesiąt listów i przeprowadził kilkaset rozmów telefonicznych — a robił to przecież w czasie wolnym od pracy w Institut National d’Audiovisuel — odbyło się zorganizowane prze-

zeń w domu „Kultury” pierwsze zebranie poświęcone utworzeniu Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej. O tym, czym Fundusz zajmował się przez pięć lat swojego istnienia, każdy może dowiedzieć się ze sprawozdania, ogłoszonego przez Komitet Wykonawczy. Z natury rzeczy nie ma w nim jednak mowy o roli Kota: o tym, że podczas pierwszych miesięcy istnienia Funduszu pełnił funkcję koordynatora, zwoływał zebrania, często u siebie, redagował niezbędne dokumenty; że w ciągu całych pięciu lat poświęcał sprawom Funduszu wiele uwagi, że w każdej sytuacji można było na niego liczyć i że było tak aż do ostatniego posiedzenia Komitetu Wykonawczego 27 marca bież. roku. Obok tego znajdował czas na pilnowanie interesów Polskiego Pen Clubu, które były przedmiotem jego spotkań z Alexandrem Blochem i René Taviernierem, i obfitej korespondencji. I nadal zajmował się wszystkim, co absorbowało go również w poprzednich latach. Nie zaniedbał chyba żadnej sprawy, którą uważał za godną poparcia — dyskretny i sprawny zarazem duch opiekuńczy kultury polskiej na świecie.

Wiersze, powieści i obrazy były dla Kota czymś znacznie ważniejszym niż tylko tematami esejów — częścią osobowości. Wracali w rozmowach i w listach, określały jego tożsamość. Żył nimi. W malarstwie współczesnym najwyżej cenił nadrealistów, a z Polaków — Czapskiego i Lebensteina. W literaturze polskiej — Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego i Herberta. Łatwo zauważyć, że wszyscy ci malarze i pisarze byli również jego przyjaciółmi i że uznanie krytyka spletało się tu nierozłącznie z poczuciem osobistej bliskości. Nie znaczy to, jakoby oceny dzieł zależały u Jeleńskiego od stopnia jego zażyłości z ich autorami. Ale znaczy, że w doborze przyjaciół kierował się, po części chyba bezwiednie, stosunkiem do ich utworów, przynajmniej gdy szło o osoby uprawiające literaturę i sztukę. Nim poznał Gombrowicza, przeżył olśnienie *Ferdydurke*, a *Ocalenie* zachwyciło go wiele lat przed spotka-

niem Miłosza; podobnie obrazy Lebensteina odkrył dla siebie, nim ich autor zjawił się w Paryżu. Takich przykładów da się przytoczyć więcej. Zresztą Jeleński nie cofał się ani przed odsłanianiem słabości utworów, które omawiał, ani przed zgłaszaniem wątpliwości czy zaznaczaniem niezgody z poglądami przyjaciół, choć zapewne większą przyjemność sprawiało mu wyrażanie aprobaty. Był przykładem krytyka, dla którego dzieła istnieją nie jako zamknięte w sobie, autonomiczne struktury, ale jako emanacje żywych ludzi — uważał zatem, że z tymi ludźmi trzeba się niejako utożsamić, jeśli chce się właściwie odczytać dzieła same. Toteż przyjaźń z autorami, którą kultywował jako wartość samoistną, była dlań również kluczem do zrozumienia ich dzieł.

Wybór utworów, który przesądzał poniekąd o wyborze przyjaciół, nie był u Jeleńskiego następstwem kaprysu czy przypadku. Zapewne jakąś rolę odgrywały w tym jego ulubione „zbiegi okoliczności”. Zasadniczo jednak jego upodobania artystyczne i literackie były pochodnymi postawy, jaką sam zajmował wobec tradycji. Jeleński nie był w żadnej mierze tradycjonalistą; paseistyczne odwracanie się od terażniejszości było mu z gruntu obce. Ale nie był też w żadnej mierze wyznawcą, choćby platonicznym, futurystycznego odcinania się i od tradycji, i od terażniejszości. Uważał, że tradycji nie trzeba sztucznie konserwować i że nie trzeba też z nią zrywać. Wystarczy wyrastać z niej spontanicznie i naturalnie, jak wyrasta się z dzieciństwa i młodości, których wiek dojrzały jest przedłużeniem, choć się do nich przecież nie sprowadza, i o których pamięta, choć nauczył się wiele nowego. Ta postawa wobec tradycji, znamienna dla doświadczonych przez historię ludzi późnego Oświecenia, wyznaczała zarówno poglądy polityczne Jeleńskiego, jak jego kryteria estetyczne. W polityce odrzucał pospół rewolucję i reakcję; w literaturze i sztuce — awangardę i akademizm. Uznawał natomiast w polityce rozsądny reformizm, a w literaturze i sztuce —

krytyczne nawiązywanie do tradycji: niekiedy polemiczne, prześmiewcze lub zgoła kontestatorskie, niekiedy tylko wybiórcze, ale zawsze świadome odrębności czasu terażniejszego i przyszłego od tego, który już minął, i powodowanej tym absurdalności powielania dawnych wzorów. Nie sposób tu dowieść i dowodzić chyba nie trzeba, że dzieła malarskie i pisarskie przyjaciół Jeleńskiego odznaczają się różnorodnym wprawdzie, ale zawsze krytycznym nawiązywaniem do tradycji. Odsłania się tu wspólnota zasadniczych przekonań, która stanowiła, niezależnie od ewentualnych powierzchownych rozbieżności, ostateczną i trwałą podstawę uznania, jakim ich darzył, i bliskości z nimi, do jakiej się poczuwał.

Wspomnienia nie mają końca, a skończyć trzeba. Jeleński należy już do historii, Kot — do pamięci przechowującej to, co odtąd na zawsze niewidzialne. „A czas niezwrotny jak bieży, tak bieży”.

Herling-Grudziński — emigracja heroiczna

Nie wozi się piasku na Saharę. Ani przedstawia pisarza czytelnikom, którzy towarzyszą mu od wielu lat. A takich, skoro mowa o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, jest tu większość. Kiedy zgłaszałem moją kandydaturę do krótkiego zagajenia tego wieczoru poświęconego jego twórczości, chciałem więc tylko spłacić dług, jaki wszyscy zaciągnęliśmy wobec autora *Innego Świata, Drugiego Przyjścia i Dziennika pisanego nocą*, by wymienić tytuły, które zdają mi się najważniejsze. Chciałem wypowiedzieć publicznie o jego pisarstwie kilka myśli, które — choć powinny były być już dawno wypowiedziane — wypowiedziane chyba nie zostały, a jeśli nawet zostały — to nie dość głośno. Ale historia potrafi w naszych czasach wyprzedzać wszelkie zamiary, a nawet, choć rzadko, robić radosne niespodzianki. Nim doszło do dzisiejszego wielekroć przekładanego spotkania, w „Tygodniku Powszechnym” (z 19 lipca br.) ukazał się piękny esej Wojciecha Karpińskiego, który otwiera, miejmy nadzieję, perspektywę uprzystępnienia książek Herlinga czytelnikom w kraju i uczynienia z jego prozy przedmiotu studiów wyznaczających jej miejsce w literaturze polskiej drugiej połowy naszego wieku.

Kluczem do tej prozy jest dla mnie *Książę niezłomny* z tomu *Drugie Przyjście*. Wybór to osobisty, jak każdy wybór tego rodzaju, ale chyba nie całkiem bezzasadny. Umieszczone — z wyjątkiem zakończenia — w 1947 roku

na Capri, opowiadanie ukazuje różne postawy zajmowane przez Włochów w czasach faszyzmu wobec faszyzmu. Na pierwszym planie — dwie postaci: książę Santoni, przez dwadzieścia lat dobrowolny więzień swego pałacu na Capri właśnie, nieprzejednany w sprzeczności, ale dający mu wyraz tylko myślą i słowem wypowiedzanym prywatnie, oraz pisarz i polityk Battaglia, świeżo po powrocie z emigracji, którą spędził w Anglii, zwalczając rządy Mussoliniego. Herling udziela swego pióra ich skłóconym racjom i przybliża je czytelnikom, co tym bardziej przejmującą czyni polityczną i życiową klęskę, która staje się udziałem obu emigrantów: wewnętrznego i zewnętrznego. Książę Santoni, po bezowocnej próbie oddziaływania na odradzające się włoskie życie publiczne, zamyka się ponownie w swej samotni, by wkrótce potem umrzeć. Przemówienie nad jego grobem wygłasza pojednany z nim ostatecznie Battaglia, również nie umiejący przystosować się do odnalezionego kraju, i o którym literaci włoscy mówią, że „nie rozumie życia dzisiejszych Włoch i po dwudziestu latach emigracji pisze językiem dziwnie sztucznym i drewnianym”. Kwitnie natomiast inna postać wspomniana kilkakrotnie w opowiadaniu: Ezio Malatesta, w czasach Duce pisarz dworski, acz z okresami głębokiej niełaski, po upadku faszyzmu wpraszający się bez godności do obozu zwycięzców. Opuściliśmy go bawiącego w gronie gwiazd filmowych z Cinecittà, podczas gdy w kawiarni po przeciwnej stronie ulicy siedzi przy swym stoliku samotny Battaglia.

Jest to więc z pozoru swoście włoska historia, osadzona we włoskim pejzażu i z czysto włoskimi realiami. Jej bohaterowie są zresztą wzorowani na postaciach rzeczywistych: Malatesta — to, oczywiście, Malaparte; Battaglia — to po trosze znany historyk Gaetano Salvemini, po trosze zaś — pisarz i działacz socjalistyczny Ignazio Silone; książę Santoni — to Benedetto Croce. W całym opowiadaniu nie ma żadnej aluzji do Polski. A raczej jest tylko jedna, łatwa do przeoczenia: data umieszczona pod tekstem,

1956. Polska przypominała wtedy Włochy po upadku faszyzmu, a problemy Battaglii po powrocie z emigracji miały ostrość, jaką odzyskały ponownie w ciągu ostatniego roku. Herling pisał o Silonem-Salvemini, a myślał zapewne o sobie, pokazując z samowiednym okrucieństwem klęskę emigrantów, którzy bronili dawnych zasad i wartości moralnych, podczas gdy ludzie przez sam fakt życia w nowym ustroju stawali się po prostu inni, niż byli poprzednio: zmieniali słownictwo, przyzwyczajenia, lojalności.

Odczytany z tej perspektywy, *Książe niezłomny* nie jest już historią swojskiej włoskiej. Należy raczej do polskiej literatury rozrachunkowej z okresu października 1956, z tą osobliwością wszelako, która stanowi o jego wyjątkowej pozycji, że rachunek jest tu wystawiany nie władzy, lecz społeczeństwu. Że pytanie dotyczy tego, za jaką cenę żyło się, robiło kariery, wydawało książki i spędzało przyjemnie czas w faszystowskich Włoszech — i w Polsce realnego socjalizmu w jego młodzieńczym i ludożerczym wydaniu. I tego, co zostało na trwałe w postępowaniu i myśleniu z nawyków urobionych w tym okresie. Są to pytania wybitnie przykre i których nie zadał, jak mi się zdaje, żaden pisarz polski poza Herlingiem; „literatura rozrachunkowa” była przesycona współczuciem autorów dla samych siebie i pełna okoliczności łagodzących. Ale w świecie Herlinga nie ma okoliczności łagodzących. A ucieleśniony w postaci Malatesty życiowy punkt widzenia z właściwym mu premiowaniem umiejętności przystosowania się do warunków jest konsekwentnie odrzucany przez całą jego twórczość w imię wierności zasadom i wartościom moralnym, której dochowanie jest jedynym zwycięstwem prawdziwie godnym tego miana. W tym sensie zwycięzcami moralnymi pozostają Santoni i Battaglia, jak pozostają nimi pokonani życiowo bohaterowie Conrada, dla których zwycięstwem jest samo spełnienie obowiązku.

Włochy i Polska. W prozie Herlinga obecne są dwa krajoobrazy, które nakładają się na siebie i przechodzą jeden w

drugi. „Ginie się albo przynajmniej nijakieje bez miłości do miejsc zakreślonych wąskim rzekomo horyzontem” — pisze. Uczucie to odnajduje się zarówno w opisach Dragonei, wioski na południu Włoch, z którego uczynił część obszaru należącego odtąd do literatury polskiej, jak we wspomnieniach Kielecczyny, wracających niekiedy we śnie, niekiedy zaś przeświecających jak gdyby przez inne widoki. I odnajduje się je, przemieszane z odrazą, chwila mi może nawet — nienawiścią, ale przytłumioną przez fascynację, w opisach Neapolu: ulic, mostów, cmentarzy, a zwłaszcza mieszkańców. Ale Włochy i Polska w pisarstwie Herlinga — to również dwie historie, z których, choć tak różne, wydobywa głębokie podobieństwa, jak właśnie w *Księżu niezłomnym*. To przede wszystkim — faszyzm i socjalizm realny, dwie odmiany totalitaryzmu, który jest naczelnym tematem całej twórczości Herlinga.

Czytamy w *Dzienniku pisany nocą*: „W przysłanym z kraju memoriale wciąż draży mnie jeden fragment. Mowa o repatriacji Polaków z ZSRR w latach 1957–1958, na mocy umowy Gomułka–Chruszczow. Repatriacja ta, w przeciwieństwie do poprzedniej z lat 1945–1955, obejmowała także więźniów i zesłanych. Terenowe władze sowieckie sabotowały ją wyraźnie, toteż (piszą autorzy memoriału) «do Polski wróciło wtedy tylko parę procent Polaków, około 50 000 ludzi, licząc razem wolnych, więźniów i zesłanych; reszta została na zawsze, gdyż teraz tylko jednostki jakimś cudem mogą wrócić; przed pięciu laty wrócił z obozu..., aresztowany w roku 1939 jako dwudziestoletni młodzieniec: cień człowieka, kręgosłup ma zgięty w pół, usta zamknięte, milczące, jest schorowany, zdziwaczały, nie chce nikomu dać swego adresu; pozostały mu tylko piękne rysy twarzy»”.

Polski Solżenicyn — komentuje Herling — gdybyśmy takiego mieli, napisałby powieść o tym, co „nie chce nikomu dać swego adresu”.

W tym *Dzienniku*, jakże powściągliwym, gdy chodzi

o sprawy osobiste, chwilami może aż nazbyt zdyscyplinowanym, na antypodach Gombrowicza, jest to dla mnie jeden z najbardziej wstrząsających zapisów. Rozumiem, że Herlinga drażyła i musiała drażyć wizja tego więźnia, który wychynął z jakiejś wyspy archipelagu Gułag: to przecież mógłby być on sam, gdyby nie wyrwał się z łagru, stawiając wszystko na jedną kartę i podejmując głódówkę. Taki mógłby być jego życiorys, gdyby nie zdołał opuścić na czas *Innego Świata*, by następnie wystawić jego ofiarom pomnik godzien stać obok najwybitniejszych arcydzieł prozy rosyjskiej podejmujących ten sam temat, w literaturze polskiej zaś nie mający chyba żadnego odpowiednika. Po dziś dzień pamiętam moje pierwsze spotkanie z tą książką ćwierć wieku temu w pewnym warszawskim mieszkaniu.

Moralizm Herlinga, jego aprobatą dla postawy księcia niezłomnego, jego odmowa uznawania okoliczności łagodzących, słowem jego bezwzględność, którą należy brać również w znaczeniu filozoficznym jako przeświadczenie, iż są nakazy obowiązujące każdego, zawsze i wszędzie — wszystko to jest zakorzenione w doświadczeniu *Innego Świata* i w nieustannym pamiętaniu o jego istnieniu obok nas. To jego obecność określa naszą epokę i kształtuje jej znamienne rysy. To ona sprawia, że *Dziennik* Herlinga jest *pisany nocą*. Jak postępować w świecie totalitarnym? Jak żyć w jego nieustannym sąsiedztwie? Cała twórczość Herlinga jest odpowiedzią na te pytania. W tym sensie, a dotyczy to zwłaszcza *Innego Świata*, jest ona wielką polemiką z Borowskim, którego pisma i losy stanowią jak gdyby negatyw pism i losów Herlinga: powrót do kraju zamiast wyboru emigracji heroicznej i postawienie się na usługi stalinizmu zakończone samobójstwem. Można różnie czytać pisma Borowskiego; dla Herlinga są one, jak życie ich autora, przejawem moralnego nihilizmu. „Myślę — pisze — że 1 lipca 1951 roku otworzył kurek od gazu, zrozumiał jasno, że jest przepalony do cna nicością

absolutną, niezdolny już do szukania ratunku w niczym; ani w «jądrze» ukrytym niegdyś głęboko w sobie samym, ani w wierze w Boga. Może tylko przemknęło mu przez głowę: okazuje się, że z dwojga złego znośniejsze jest «nic» ofiar niż «nic» prześladowców. Jego samobójstwo nie było męczeństwem, lecz wyzwoleniem. I dowodem, który byłoby mu najtrudniej uznać, że istnieją jednak jakieś «ludzkie wartości» i że nie takie to proste wyrzucić je na złom”.

Zapis ten pochodzi z 3 lutego 1976 roku i odsyła do noty napisanej na marginesie *Pożegnania z Marią* przed dwudziestu ośmiu laty. Nic nie ilustruje lepiej ciągłości myślowej i artystycznej pisarstwa Herlinga, tożsamości podejmowanej przezeń problematyki moralnej streszczanej w zdaniu z *Innego Świata* przywołanym w *Dzienniku* i przytoczonym również przez Karpińskiego. Oto ono w pełnym brzmieniu: „Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądzenia go według czynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich — to jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem”. Nie jest to pochwała relatywizmu moralnego, lecz potępienie tych, którzy ujrawszy, do czego ludzie są zdolni w warunkach nieludzkich, wnoszą, iż wyczerpuje się w tym prawda o człowieku jako istocie zasadniczo niemoralnej, zespole czysto zwierzęcych odruchów. Herling przeciwstawia temu swe widzenie w człowieku wartości, kruchej zapewne, zagrożonej przez historię — i przez przyrodę: temat niezwykle opowiadania *Gruzy* w „Kulturze” 7/8, 1981 — ale niemniej jednak realnej. I sprawiającej, że z dwojga złego lepiej być ofiarą niż prześladowcą.

Nie zdziwią się Państwo, jeśli stawiając kropkę nad „i” powiem na zakończenie, że uważam Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich drugiej połowy XX wieku.

Wrzesień 1981

Manicheizm na użytek naszych czasów

Opowieści o rzeczach widzianych, myśli o zdarzeniach i wypadkach, uwagi o lekturach i rozmowach, reakcje na nowiny, wycieczki w wyobraźnię — ten ciąg datowanych zapisów podaje się za dziennik. Ale jego autor prawie nie mówi o sobie. Czytelnik zaś nie zawsze wie, z czym ma do czynienia. Oto relacja z podróży do Pragi na obchody ku czci Kafki; dopiero dopisek powiadamia, że autor ją zmyślił. Jak zatem wierzyć w inne wydarzenia, które rzekomo przeżył? Skąd wiadomo, że nie są równie zmyślane, jak owa podróż, i że nie narzucają się jako prawdziwe tylko przez kontrast z jawnymi tworem fabulacji?

Cóż więc czytamy? Fikcyjny żywot przypisany przez Herlinga narratorowi? Powieść w masce dziennika? Byłoby to wtedy powieściowe wprowadzenie w nasz wiek, wiek nocy — cieni trwałych na pozór jak bryły, i brył ukazywanych w fałszywych barwach i zniekształconych nie do poznania. I w którym uczyć się trzeba co dzień na nowo widzenia rzeczy, jakimi są, odróżniania dobra od zła, które udaje swe przeciwieństwo, prawdy od fałszu, który próbuje za nią uchodzić. A więc powieść? Czy dziennik? Nie ważne, powie ktoś, byle rzecz była ciekawa. Zaiste, na tym zależy nam przede wszystkim. Odpowiedź nie jest jednak obojętna. W każdym przypadku inne są bowiem nasze oczekiwania i wymogi.

Dokumenty, których nie będziemy przytaczać, pozwa-

lają rozstrzygnąć. Mamy istotnie do czynienia z dziennikiem, nie z powieścią. Ale z dziennikiem, w który niekiedy wkracza zmyślenie i którego autor nie utożsamia się po prostu z narratorem. Przy scenach mogących wprowadzić w błąd wyjaśnia się, że są fikcyjne; kiedy indziej jest to oczywiste. Życiorys zaś przypisany narratorowi pokrywa się w zasadzie z życiorysem samego Herlinga, który w zarysie przypomnimy, a zarazem osadzimy w historii. Albowiem nie ma chyba polskich życiorysów rozpoczętych w pierwszej połowie wieku, których by historia nie przeobraziła i którym by nie nadała kierunku. Czy bez niej Gombrowicz zamieszkałby w Argentynie? Miłosz w Kalifornii? Jeleński w Paryżu? Czy, gdyby nie historia, Herling, po ośmiu latach spędzonych w Londynie i w Monachium, osiadłby w Neapolu?

Gdy wybuchła wojna, Gustaw Herling-Grudziński, urodzony w 1919 r., studiował na Uniwersytecie Warszawskim. Był to czas jego pierwszych publikacji i pierwszych kontaktów literackich. Po zwycięstwie niemieckim we wrześniu 1939 r. opuścił okupowany kraj, by wstąpić do armii polskiej we Francji. Zmusiło go to do przebycia strefy zajętej przez Związek Sowiecki w wyniku pogwałcenia traktatu o nieagresji z Polską na mocy tajnej klauzuli paktu Ribbentrop-Mołotow. Ujęty przez NKWD, został wysłany do obozu na dalekiej północy, w pobliżu Archangielska. Zwolnienie stamtąd — umożliwione przywróceniem stosunków dyplomatycznych między Polską a Związkiem Sowieckim — zawdzięcza w znacznej mierze swej determinacji, gdyż dygnitarze łagrowi, nie mając imiennego rozkazu, mogli zatrzymać lub ponownie skazać każdego, kogo nie uważali za stosowne wypuścić. Herling postawił wszystko na jedną kartę. Rozpoczął głodówkę. I wygrał.

„Byliśmy armią więźniów dowodzoną przez więźnia i odbudowaną za oporną zgodą nadzorców więziennych”. Tym zdaniem, które streszcza to, co najważniejsze, Herling opisał po wielu latach armię polską stworzoną w Związ-

ku Sowieckim przez generała Andersa. Dotarł do niej, przemierzywszy w łachmanach kraj pustoszony wojną, strachem, zimnem, głodem, zdziczeniem. I uczestniczył w jej historii od wyjścia ze Związku Sowieckiego po demobilizację w Anglii. Za udział w bitwie pod Monte Cassino otrzymał najwyższe odznaczenie bojowe, krzyż *Viruti Militari*. Ale zwycięstwo witał z poczuciem klęski: wywłaszczenia z ojczyzny. W Rzymie w 1945 r. pito na umór, bo nie było kraju, do którego by można było wrócić. Ani przyszłości.

Herling zbudował ją sobie dzięki literaturze. Był w zespole skupionym wokół Jerzego Giedroycia, który założył w 1946 r. Instytut Literacki, a w rok później wydał pierwszy numer miesięcznika „Kultura”. Pisał. Publikował. Jego pierwsza wielka książka — *Inny Świat*, pomnik wzniesiony współtowarzyszom niewoli — ukazała się po polsku w Londynie w 1953 r., w dwa lata po przekładzie angielskim, za którym poszło około dziesięciu innych. Z tych butelek rzuconych w morze kilka dotarło do właściwych odbiorców. Nie dość wszakże, by przełamać samotność i izolację — nieodłączne od losu pisarza, który na obczyźnie pozostaje wierny językowi ojczystemu — pogłębiane, dziś już niemal niewyobrażalnym, klimatem podejrzliwości i nienawiści, jaki w ciągu pierwszych trzech powojennych dziesięcioleci komuniści i ich sprzymierzeńcy wytworzyli wokół uchodźców z porzuconej na pastwę Stalina Europy, zwłaszcza zaś — wokół byłych więźniów obozów sowieckich. Wygnani z własnych krajów przez polityczny kataklizm, byli oni nosicielami wiedzy wyklętej. Toteż obłożono ich, niczym trędowatych, zakazem kontaktów. I zakazem publikacji: *Inny Świat* nie znalazł wtedy francuskiego wydawcy. A skoro nie można było odesłać ich z powrotem do obozów, spychano ich na marginesy.

We Włoszech, gdzie czerni koszul ustąpiła jako barwa czasu czerwieni sztandarów z sierpem i młotem, Herling dusił się w poczuciu, że jego głos nie zdoła przebić się przez

triumfujące kłamstwo. Kilka wypróbowanych przyjaciół, włoskie wydanie *Innego Świata* i książki o pisarzach sowieckich (*Od Gorkiego do Pasternaka*) niewiele mogły tu pomóc. Zmiany zapoczątkowane opublikowaniem w 1956 r. tajnego raportu Chruszczowa przebiegały rozpaczliwie wolno. Zaś zgubne wytwory rozkładu kultury komunistycznej zatruwały atmosferę i siały śmierć. Nawet gdyby Herling nie był od dawna wielbicielem Dostojewskiego, wyczyny Czerwonych Brygad skłoniłyby go niechybnie do ponownej lektury *Biesów*.

Ale Włochy dostarczają mu również innych widoków: chłopów z Południa, intelektualistów masowo nawróconych z faszyzmu na komunizm, niezłomnych antyfaszystów niezdolnych po powrocie z emigracji wewnętrznej lub z zagranicy przystosować się do nowej rzeczywistości, katolicyzmu jako wiary wiejskich proboszczów i ich owieczek oraz jako alibi ambitnych i wykrętnych polityków. Wszystko to fascynuje Herlinga i w pewnej mierze przypomina mu kraj rodzinny, który prześwituje między wierszami jego kronik włoskich, zwłaszcza tam, gdzie mowa o Neapolu położonym, jak Polska, „między Cudem a Wulkanem”. Do zamieszkania we Włoszech skłoniły Herlinga względy czysto osobiste. Ale był on od razu bardzo wrażliwy na te zbieżności.

Wracając do Neapolu, Herling oddalił się od swego naturalnego środowiska: od polskiej emigracji politycznej skupionej w Londynie, Paryżu i Monachium. Paryż zwłaszcza stanowi środek jego osobistej mapy Europy, ze względu na prawie dwusetletnią polską tradycję kulturalną i na obecność znacznej liczby Polaków. Ale nade wszystko z powodu bliskości Maisons-Laffitte, gdzie znajduje się jego wydawca, Instytut Literacki Jerzego Giedroycia, w którym działają przyjaciele z wojska — pierwsi czytelnicy i pierwsi krytycy. Instytut — to także „Kultura”. Więzy Herlinga z tym pismem, którego pierwszy numer współsygnował, zacieśniają się po 1957 r.; od 1966 jest jego wło-

skim korespondentem, a tym samym — członkiem niewielkiego zespołu redakcyjnego. Jednak sam spędza w Majsons-Laffitte tylko jeden miesiąc w kwartale. Resztę czasu — w Neapolu. To tak, jakby krążył regularnie między Polską a Włochami.

Dzięki swym pisarzom — w tym kilku największym w literaturze polskiej naszych czasów — dzięki swym malarzom, publicystom i uczonym, „Kultura” jest bowiem czymś znacznie więcej niż miesięcznikiem. Jest, by użyć słów Konstantego Jeleńskiego, który sam był jej wybitnym współtwórcą, „Polską na wygnaniu”¹. I Polską z Polski. Wszystkie przeszkody i wszystkie trudności, nienawistna propaganda reżymu i wysiłki służby bezpieczeństwa, by utrzymać każdego w przeświadczeniu, że wie o nim wszystko, nie zdołały nigdy oderwać tej Polski od tamtej. W ciągu dziesięcioleci „Kultura” była miejscem spotkań. Spotkań dzieł i spotkań ludzi. Bowiem goście przyjeżdżali zawsze, raz częściej, kiedy indziej bardzo rzadko, zależnie od kaprysów paszportowych władzy i wahań natężenia strachu. Od połowy lat siedemdziesiątych stali się nawet bardzo liczni. Znajdowali, niekiedy z odcieniem zawodu, miast oszałamiającego gmachu skromny, podmiejski dom. W nim zaś atmosferę wytężonej pracy i staropolską gościnność, poważne dyskusje nad aktualnymi problemami i wymianę nowin, poglądów, dowcipów. Zakazane są tam tylko trzy rzeczy: nuda, bogoojczyźniane i martyrologiczne rozdzieranie szat oraz przywiązanie do przeszłości, które przeszkadza myśleć o jutrze.

Dzieła Herlinga nie da się oddzielić ani od „Kultury”, ani od Neapolu. Od Neapolu, bo dostarcza tematów i przesłania. Od „Kultury”, bo dzięki niej Herling może być pi-

¹ Por. Constantin Jeleński, „Kultura”, *la Pologne en exil*, „Le Débat” 1981, nr 9, s. 59–71; wersja polska: Konstanty Jeleński, *O „Kulturze” dla Francuzów*, w: tegoż, *Zbiegi okoliczności*, Paryż 1982, s. 153–170.

sarzem polskim, mówiącym do polskiej publiczności o sprawach, które jej dotyczą. Dwie tematyki, włoska i polska, były początkowo traktowane odrębnie, jak opowieści fabularne były odrębne od dokumentalnych, fikcje — od faktów. *Skrzydła ołtarza* (1960), pierwszy polski tom Herlinga po *Innym Świecie*, zawiera dwie nowele włoskie. Ale następna książka, *Drugie Przyjście* (1963), przynosi już w zarysie rozwiązanie problemu. Znalazły się w niej pospół wspomnienia z młodości, opowiadania, eseje o pisarzach tak odmiennych, jak Samuel Pepys, Conrad, Kafka, Babel, uwagi o totalitaryzmie Eichmanna i o totalitaryzmie Berii. Inny zbiór, *Upiory rewolucji* (1969), zgromadził studia nad literaturą sowiecką, także dysydencką.

Dopiero na początku lat siedemdziesiątych Herling ostatecznie wypracował formułę, która pozwala połączyć w jednym dziele fikcję i rzeczywistość, sztukę, literaturę i politykę, przeszłość i wydarzenia bieżące. Formułę dziennika, ale nader szczególnego rodzaju: bez wglądu w życie intymne autora, który zataja swe sprawy osobiste i swe solilokwia. Dziennika bez narcyzmu. Herling sprowadza w nim siebie nieledwie do spojrzenia, które, niczym wiązka świetlna, wychodzi z oka. I uwidacznia rzeczy. Jak pochodnia Caravaggia w *Siedmiu dziełach Miłosierdzia*. Albo świeca La Toura w jednej z jego Magdalen. Jak latarnia Goi w *3 maja 1808*. Nie iżby Herling był w swym dzienniku nieobecny. Nie zdołałby, nawet gdyby chciał. Cokolwiek czynimy, by pozostać w ukryciu — oświeclając, oświeciliśmy samych siebie.

Są przeżycia, które zamykają w milczeniu. Nie dlatego, że odbierają głos. Lecz dlatego, że dojmująco, jak ból, każą odczuć nieuleczalną nędzę mowy. Jej przymierze z banalnością rzeczy. Jej niemoc, gdy ma wiernie oddać nieszczęścia wojny, Oświęcim czy Kołymę, trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu. Wszystko, co przydarza się ludziom, choćby za sprawą ludzi, ale co przekracza ludzką miarę. I pozostawia wybór tylko między krzykiem a milczeniem. Gdy

przeżycie takie poraża przyszłego pisarza, objawia mu na zawsze marność literatury dobrze ułożonej. Warte napisania będą odtąd w jego oczach jedynie dzieła skrajne: z pobliza słowotoku bądź z pobliza ciszy, zależnie od usposobienia. I które nie są tylko zabawą. Jak dzieła Dostojewskiego. Albo Kafki.

Herling skąpi słów i ściska je do granic możliwości, by wydobyć z nich pełnię sensu. Nigdy nie podnosi głosu. Unika retorycznych uniesień. Od oburzenia woli sarkazm, od krzyku — niemy gest wskazujący. Jego ulubiony gest i, jak uważa, nieodparty dowód, silniejszy niż wszelkie rozumowanie. Herling publicysta i polemista stosuje te same środki co Herling pisarz: uzasadnia wskazaniem. Gdy mówi mu, że księdza Popieluszkę zamordowano bez wiedzy generała Jaruzelskiego, odpowiada relacją o zamordowaniu Giacomo Matteottiego na rozkaz Duce.

Niektórzy skłonni są zarzucać mu pewną oschłość. Rzeczywiście, unika wylewnej uczuciowości, rozluźniania dyscypliny wewnętrznej. Nie obnaża stanów swej duszy; nie zgłębia jaźni swych postaci. Ich życie intymne, milczący stosunek, jaki każda z nich nawiązuje z sobą samą, opisuje o tyle tylko, o ile wyraża się ono w gestach i w słowach. O ile daje się uchwycić z zewnątrz. Jako miłośnik i znawca malarstwa, które przedkłada nad literaturę, Herling pragnie ją do niego przybliżyć stylem. Pragnie uobecnić spojrzeniu to, co dlań w rzeczywistości nieosiągalne. Pragnie uzyskać, oszczędzając słów, jak najwięcej mocy plastycznej.

Ze Stendhalem łączy Herlinga nie tylko upodobania stylistyczne. Także rodzaj wyobraźni. By ją uruchomić, potrzebuje nieodzownie starych kronik, gazet, podróży i spotkań. Jego nowele i eseje krystalizują wokół kilku zasłyszanych zdań, przypomnienia czyjegoś losu lub jakiegoś zdarzenia, ujrzanego obrazu. Herling nie jest jednak człowiekiem Oświecenia, choćby późnego. Nie zadowala go ukazywanie gry pragnień i ambicji. W napotkanej postaci pociąga go i ciekawi ciemność, jaką ona w sobie nie-

sie, otoczka cienia, która ją spowija, i której ani psychologia, ani socjologia, ani żadna inna nauka, ani nawet literatura nie potrafią rozproszyć. W obrazach, jakie ukazują oczom czytelnika, obszary światła i ostrych zarysów zanurzają się zazwyczaj w czerń, w coś, czego nikt nie zdoła wypowiedzieć, bo nikt nie zdoła tego zobaczyć. Świat widzialny odcina się tam od niewidzialnego, choć nie sposób go odeń oderwać. Przy czym pierwszy zależy od drugiego, gdyż tam właśnie, poza naszym zasięgiem, tkwi ostateczne wyjaśnienie wszystkiego, co się dokonuje. Herling jest w istocie rzeczy pisarzem metafizycznym.

Skrzydeł ołtarza jest dwoje: opowieść o śmierci, opowieść o zmartwychwstaniu. Pierwsza wprowadza na scenę śmierć ofiarną i śmierć samolubną, śmierć przyjętą i śmierć odrzuconą, dobrą śmierć, która wyzwala cierpiącego, i śmierć złą, źródło nowych cierpień dla innych. Druga ukazuje wznoszenie się ofiary zbrodni ku mowie i miłości, i równoczesne osuwanie się zbrodniarza w osamotnienie, samobójczy skok w otchłań. Ale zbrodniarz sam jest ofiarą: kapłanem załamany pod ciężarem swego stanu, którego nie ma siły udźwignąć. Ofiarą jest również odludek, który nie chce umrzeć, by uratować bliźniego — też kapłana — i powoduje jego śmierć za parafię: gdy był nauczycielem w Messynie, stracił wszystkich bliskich w trzęsieniu ziemi w 1908 roku. Zazębiające się o siebie podwojenia, odniesienia i symetrie, podobieństwa i odwrócenia, budują między dwoma opowiadaniem zależności, które czynią z nich rzeczywiście dwa skrzydła tego samego ołtarza, przecięte w różnych miejscach granicą między dobrem a złem.

Niestrudzony czytelnik, Herling odczuwa powinowactwo z pisarzami, którzy, jak Dostojewski, Kafka czy Camus, przemierzali przed nim te same rejony; ich dzieła i biografie dostarczały mu wielokrotnie podniety. Herling, miłośnik malarstwa, zdaje się szczególnie wrażliwy na obrazy Caravaggia i malarzy mu podobnych: prześwity

w mrokach, przedstawienia okrucieństwa i litości, cierpienia i ekstazy. Zaś temat malarski, który go fascynuje: Są Ostateczny — łączy w sobie śmierć i zmartwychwstanie, ciemność i światło, rozdzielenie dobrych od złych, upadek i wniebowzięcie. Herling, emigrant polityczny, przygląda się bacznie granicy między dwoma blokami, a jeszcze uważniej — ruchomej granicy, która wewnątrz każdego z nich przebiega między wrogimi sobie siłami demokracji i komunizmu. Zaangażowany po stronie pierwszych, uważa za niemożliwe ich trwałe porozumienie z drugimi, chyba by komunizm zmienił swą naturę, czego nie wyklucza, choć niezbyt w to wierzy. Jego wzrok tylko z rzadka odrywa się od linii, która odcina dobro od zła. Ale nawet wtedy jest ona obecna na horyzoncie.

Tradycja teologiczna określa zło, wytwór człowieka, jako przygodne, częściowe i przemijające. Toteż może zwolnić Boga z odpowiedzialności za nie, podziwiać bez zastrzeżeń całość stworzenia i czekać drugiego przyjścia, a po nim — powrotu raju utraconego. Nie inaczej traktowały zło nowocześnie ideologie, które widziały w nim pozostałość czasów minionych i obiecywały wykarczowanie go po osiągnięciu, w przyszłości, zbiorowej potęgi i jednostkowego dobrobytu. Herling należy do tych pisarzy, dla których zło to nie problem, lecz skandal. Wtwór człowieka, niechybnie, lecz również przyrody — trzęsącej się ziemi, wybuchających wulkanów, napastujących chorób — zło doświadcza wszystkie istoty żywe zdolne cierpieć. Jest czymś więcej niż częściowym upośledzeniem istnienia — zniszczeniem, rozbiciem, okaleczeniem go jako całości. Stałą obecnością w czasie, przystrojona w rozmaite maski i przebrania, ale której napięcie nie słabnie. Siłą, która powoduje trwałe skutki. Dla Herlinga zło nie jest ani brakiem, ani reliktem. Jest czymś rzeczywistym.

Zgoda, powie ktoś, ale ta rzeczywistość ma z pewnością jakiś sens. Wystarczy nie ujmować zła samego w sobie, wystarczy odnieść je do najwyższego dobra, a okaże się ono

tylko jego narzędziem. Tak postępują teologowie. Ideologowie zaś relatywizują zło, sprowadzając je do roli środka w służbie przyszłego szczęścia. Herling przeciwstawia się i jednemu, i drugiemu. Próby usprawiedliwienia zła, nadania mu sensu, znalezienia dlań racji są z jego strony przedmiotem polemiki zarazem artystycznej i filozoficznej. Czytelna na kartach *Dziennika*, uderza ona zwłaszcza w tych intelektualistów, którzy podporządkowali ideologii postępu swe sumienia i osąd krytyczny i zaprzeczali istnieniu zła w Związku Sowieckim — owszem, usiłowali, od Gorkiego po Sartre'a, przedstawić je jako zbawienne dla przyszłej ludzkości, stając się przeto współnikami zbrodni.

Polemika ta jest też obecna w tle wielu opowiadań. Przykładem *Ugolone z Todi*, bezlitosne wspomnienie pośmiertne o filozofie, dziecięciu wieku, który bezwiednie, jak się zdaje, poświęcił całe swe dzieło usprawiedliwianiu zła, opierając się kolejno na faszystowskim heglizmie Gentilego, na marksizmie w wydaniu stalinowskim i rewizjonistycznym, na buddyzmie i na katolicyzmie, początkowo racjonalnym, później mistycznym — i którego zabija tajemnicza choroba. Podobnie w *Gruzach*, opowieści o Tora Alta, wiosce, którą trzęsienie ziemi unicestwiło nie tylko jako byt materialny, lecz również jako wspólnotę ludzką, i o ucieczce w śmierć jednego z ocalonych, niezdolnego pogodzić się ze stratą prawie wszystkich bliskich i żyć z obecnym już zawsze wspomnieniem końca świata. Odmienne w tonacji — ironicznej w pierwszym, tragicznej w drugim — opowiadania te łączy obraz zła jako bezzasadnego i urągającego wszelkim usprawiedliwieniom. Zła jako faktu, który trzeba przyjąć jako fakt właśnie, w całym jego okrucieństwie, z całym jego ładunkiem cierpienia.

Ale zło nie zaślepia Herlinga. Opowieść o Tora Alta kończy się opisem żłobka skleconego na Boże Narodzenie z gruzów, tekturowego pudełka i lalki naguska. Żłobka przyrównanego przez Herlinga do promienia słońca, który przez zakryte okno wpada do celi więziennej. Podziemne

siły, ciemne i niszczycielskie, i światło słoneczne, które przywraca życie, upadek i podniesienie — jak zawsze u Herlinga, jesteśmy na pograniczu. Choć uznaje on realność zła i odczuwa je jako skandal, nie przekreśla bynajmniej solidarności ludzkiej, litości, współczucia, miłości, nadziei i wiary w obecność dobra w świecie. Przeciwnie, utwierdza je. Gdyż ze swego pobytu w Innym Świecie wyniósł przekonanie, które głosi wedle niego Księga Hioba: jedynym sposobem uratowania godności ludzkiej w nie-ludzkich warunkach jest wierzyć, choćby z otchłani zła, w istnienie dobra.

Toteż Herling uwydatnia potworne skutki nihilizmu z jego relatywizacją dobra utożsamionego wyłącznie z tym, co przybliży zwycięstwo Sprawy. Nieczajew i terroryści, leninizm i inne apologie celu, który uświęca środki, są wielokrotnie atakowani w *Dzienniku*. Jak również ci, którzy utrzymują, jakoby stali poza dobrem i złem, i świadczą przeto, że uważają granicę między nimi za złudną i możliwą do zatarcia. W pierwszym rzędzie Nietzsche, którego szaleństwo wybuchło, wedle Herlinga, gdy uwierzył, że zadał śmiertelny cios chrześcijaństwu i wraz z nim — radykalnemu podziałowi na to, co dozwolone, lub wręcz przykazane, i na to, co objęte zakazem. Gdy w swym ostatnim przesłaniu uroił się sobie jako Antychryst, niszczyciel samych pojęć grzechu i Sądu Ostatecznego. Sądu Ostatecznego, którego najpełniejszą wizję malarską zniszczy w 1998 r. inny mieszkaniec Bazylei, narrator *Pożaru w Kaplicy Sykstyńskiej*; miast symbolicznego młota, narzędzia przewartościowania wszystkich wartości, użyje on wszelako najnowszego gadżetu: kieszonkowego miotacza płomieni — by następnie popaść w otępienie wzorem swego poprzednika z 1889 roku. Jak gdyby, według Herlinga, nie można było obalić granicy między dobrem a złem, a zarazem zachować w całości tego, co mamy w sobie swoiście ludzkiego. Jak gdyby nie można było naprawdę uznać, że wszystko jest dozwolone, i nie oszaleć.

Wrażliwość Herlinga jest manichejska i taka jest też ukryta metafizyka jego dzieła. Manicheizm nie jest jednak kultem zła. Zakłada istnienie dwóch ostro oddzielonych zasad, których zderzenie wypełnia historię świata: dobra i zła, światła i ciemności. Wartości i antywartości, by użyć bardziej nowoczesnego języka, jednakowo rzeczywistych i absolutnych, niezależnych od poglądu, jaki ludzie o nich powezmą, i od warunków, w jakich się znajdują. Tymi dwoma skrzydłami ołtarza są miłość i cierpienie. Obydwa należą do *sacrum*, ale każde w innym z dwóch przeciwstawnych znaczeń tego słowa, które odsyła zarazem do zgrozy i do szacunku, do zakazu i do przykazania. Zniesienie granicy między nimi — to zepchnięcie świata w chaos, a przedtem jeszcze — wtrącenie weń samego siebie. To zwycięstwo cierpienia, które rzekomo pragnęło się usunąć. Albowiem pozwala je powstrzymać tylko bezwzględny zakaz zadawania go komukolwiek, kto nie przystał na to z pełną świadomością tego, co czyni. Ostatecznie, na swój sposób dyskretny i powściągliwy, bez kaznodziejstwa i wielkich słów Herling broni tej myśli prostej, acz wcale nie oczywistej: nawet jeśli Boga nie ma, nie wszystko jest dozwolone.

Przełożyła Ewa Wende
Przekład przejrany i poprawiony przez autora

„Jest w nim pewien żar...”

Gustaw Herling-Grudziński nie potrzebuje dziś ani laudacji, ani recenzji. Napisano o nim wiele, poświęcono mu sesje naukowe, książki i artykuły. Co najważniejsze, jego dzieło weszło do polskiego kanonu czytelniczego i zajęło w nim należne sobie miejsce, zyskując zarazem coraz szersze uznanie na świecie, o czym świadczy mnożenie się przekładów i rosnąca liczba wielojęzycznych komentarzy.

Obyczaj uniwersytecki wymaga jednak — i słusznie — uzasadnienia wniosku o nadanie doktoratu honoris causa. Krytycznego osądzenia obiegowych opinii, choćby najbardziej pochlebnych. Przedstawienia argumentów na rzecz tezy o wyjątkowej randze osobistości, którą zamierza się symbolicznie włączyć do wspólnoty uczonych. W przypadku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego wymaga tego tym bardziej, że jeszcze niedawno był on pisarzem nie dość znanym i umieszczanym tylko przez nielicznych wśród postaci godnych uosabiać współczesną kulturę polską.

20 marca 1964 roku Juliusz Mieroszewski pisał do Jerzego Giedroycia: „W mojej opinii Gustaw jest najwybitniejszym polskim humanistą na emigracji. Jest w nim pewien żar, którego brak Hostowcowi. Hostowiec jest chłodny i absolutnie w nic nie zaangażowany. Gustaw jest pisarzem, który zostanie w pełni oceniony za 50 lat. *Siedem śmierci M[aksyma] Gorkiego* — zostanie uznane za arcy-

dzieło literatury polskiej. W kilku rozmowach pokazałem Kaziowi Wierzyńskiemu, który mi ufa, Gustawa w jego prawdziwym wymiarze”.

Było to wczoraj, a zarazem w odległej epoce. W czasie, z którym wielu żyjących łączy ciągłość pamięci, ale który stał się i n n y m c z a s e m, głęboko i radykalnie odciętym od teraźniejszości. Mieroszewski był wtedy jednym z bardzo rzadkich czytelników skłonnych umieszczać Herlinga obok Hostowca, czyli Jerzego Stempowskiego, uważanego przez wielu już przed wojną za arcymistrza polskiej eseistyki. Nawet Wierzyńskiemu trzeba było dopiero pokazywać Herlinga „w jego prawdziwym wymiarze”. I nawet Mieroszewski przewidywał, że Herling zostanie właściwie oceniony nie wcześniej niż za pół wieku. Pomylił się na szczęście o ponad trzydzieści lat. Uznanie przyszło do Herlinga na początku lat osiemdziesiątych. I odtąd stawalo się coraz rozleglejsze i pełniejsze, w miarę jak jego twórczość zdobywała sobie czytelników w kraju, ale również na emigracji i wśród obcych.

Właśnie: zdobywała — co znaczy, że wymagało to pokonywania wrogości i oporów, walki politycznej. Nie dopuszczana przez władze PRL do kraju i zmuszona przenikać doń jako bibuła, przemilczana przez cenzurowaną prasę, skazana na wykreślenie z historii twórczość Herlinga była bowiem odcięta przez cztery dziesięciolecia od przytłaczającej większości czytelników polskich. Od czytelników zachodnich zaś oddzielały ją całkiem skutecznie ideologiczne uprzedzenia wydawców i krytyków wsparte w niektórych krajach presją partii komunistycznych. *Inny Świat*, choć ukazał się w przekładzie angielskim i w jeszcze kilku językach, nie zdołał w latach pięćdziesiątych i później przebić tej niewidzialnej żelaznej kurtyny.

Na Zachodzie zaczęło się to zmieniać od roku 1985, wraz z francuskim przekładem *Innego Świata*, za którym poszły wznowienia przekładu angielskiego i innych oraz tłumaczenia opowiadań i *Dziennika pisanego nocą*. W kraju

pierwszy tom opowiadań Herlinga ukazał się oficjalnie dopiero w roku 1988. Ale trzeba było zmian epokowych — upadku PRL i rozpadu bloku, a potem samego Związku Sowieckiego — by cała twórczość Herlinga mogła zacząć uczestniczyć w normalnym życiu literatury polskiej i by przekład rosyjski *Innego Świata* mógł być wydany w Moskwie.

Herling jest jednym z tych, którzy od dziesiątków lat przygotowywali te zmiany, choć zapewne nie wierzył, że dokonają się na jego oczach. W roku 1947 był współzałożycielem „Kultury”, wtedy jeszcze rzymskiej; związek z nią odnowił po kilkuletniej przerwie, podczas której pisał w londyńskich „Wiadomościach” i pracował w Rozgłośni Polskiej RWE w Monachium. Obecny odtąd, przez z górą trzydzieści lat, w każdym niemal numerze „Kultury”, był do niedawna jednym z najbliższych współpracowników Jerzego Giedroycia: wszystkie jego książki w tym okresie ukazały się nakładem Instytutu Literackiego. Wypowiadał się również w świetnym włoskim miesięczniku „Tempo Presente” i w prasie. Walka z ideologią komunistyczną i z systemem sowieckim stanowiła istotny składnik jego działalności publicznej.

W każdych okolicznościach jednak pozostaje w pierwszym rzędzie pisarzem. Postrzega świat przez pryzmat literatury i malarstwa. I reaguje nań prozą artystyczną: zapisem w dzienniku, szkicem, opowiadaniem. Uprawianie literatury jest właściwym mu sposobem bycia, otwarciem na ludzi i zdarzenia, oglądem, wczuciem się, osądem. Scała wymiar egzystencjalny z moralnym i poznawczym, będąc zarazem odpowiedzią na interpelacje z zewnątrz i próbą oddziaływania na to, co się dzieje. Młodzieńcze artykuły krytyczne, *Inny Świat*, opowiadania, *Dziennik pisany nocą* ilustrują kolejne fazy doskonalenia się kunsztu pisarskiego Herlinga oraz asymilację wciąż bogatszego materia-

łu historycznego i artystycznego i rosnącą samowiedzę filozoficzną.

Jako pisarz Herling należał do kręgu „Kultury”, który skupiał osobowości skrajnie odmienne, często nie znoszące się nawzajem, uprawiające różne rodzaje literackie i różne poetyki, niekiedy zajmujące nawet rozbieżne stanowisko ideowe — ale który zasadał się na czymś, co było im wspólne i co przeważało wszystkie te podziały. Jakoż z Czapskim, Gombrowiczem, Jeleńskim, Mieroszewskim, Miłoszem i Stempowskim między innymi łączyło Herlinga nie tylko to, że wszyscy pisali w „Kulturze” i że mogli dzięki niej istnieć jako pisarze polscy w obcym otoczeniu językowym. I nie tylko to, że wszyscy mieli z tego tytułu do czynienia z sugestiami, propozycjami i ocenami Jerzego Giedroycia. Łączyło go z nimi to przede wszystkim, co było warunkiem akcesu do „Kultury”, że pospołu odrzucali komunizm jako ideologię i jako rzeczywistość społeczną, a zarazem odrzucali literacki — i nie tylko literacki — *ancien régime* i usiłowali, każdy na swój sposób, odnowić literaturę polską, a nawet szerzej: polską kulturę czy zgoła samo rozumienie polskości. Herlinga łączyło z nimi również przeżycie emigracji w pierwszym rządzie jako samotności, które najbardziej dramatyczny bodaj i przejmujący wyraz znalazło właśnie w jego opowiadaniach, zwłaszcza w opowiadaniach z lat pięćdziesiątych: *Wieża*, *Pietà dell'Isola*, *Książę niezłomny*.

Z perspektywy lat okaże się zapewne, że w literaturze polskiej XX wieku dziennik był rodzajem najbardziej nośnym, że pozwolił najlepiej utrwalić swoistość przeżywanego czasu: codzienną krzątaninę i wydarzenia historyczne, małe sprawy i wielkie dylematy, kłopoty osobiste i przemiany społeczne, spory ideowe i awersje pisarskie, rzeczy widziane, plotki i lektury. Wystarczy przypomnieć trzy nazwiska: Dąbrowskiej, Gombrowicza i Nałkowskiej. *Dziennik pisany nocą* Herlinga wzbogacił bibliotekę pol-

skich dzienników dwudziestowiecznych o dzieło, które w swym zasadniczym zrębie, obejmującym lata 1969–1989, pozostanie jednym z najpełniejszych literackich i intelektualnych świadectw epoki zapoczątkowanej dla Polaków drugą wojną światową. Zwłaszcza zaś — lat zimnej wojny. Lat podziału świata, który był zarazem podziałem Zachodu, gdzie obóz rewolucyjny spod znaku Stalina, a później towarzysza Mao, zwalczał demokrację wszelkimi środkami — od słowa i obrazu przez manifestacje do terroryzmu. Bezsukcesywnie, jak się miało okazać. Ale wtedy trudno to było przewidzieć.

Życiorys Herlinga może służyć jako symbol owej epoki. W 1940 roku, gdy usiłuje on dotrzeć do Francji, by wstąpić do wojska i walczyć z hitleryzmem, aresztuje go NKWD i wysyła do łagru w okolicy Archangielska. Odtąd totalitaryzm nie będzie dlań słowem jedynie, pozostanie wyrytym w pamięci doświadczeniem stężonego zła, które w istotnej mierze ukształtuje jego światopogląd i jego wrażliwość. Herling wyrwa się na wolność po dwóch latach dzięki krótkotrwałej poprawie stosunków między Polską a Związkiem Sowieckim i własnej wyjątkowej determinacji, wstępuje do armii tworzonej przez gen. Andersa, bierze udział w kampanii włoskiej. I wraz z końcem wojny okazuje się wyzuty z ojczyzny, skazany na banicję, zepchnięty między trędowatych. Toteż lata powojenne są dla niego przedłużeniem wojny. Tyle że prowadzonej innymi środkami.

Inny Świat, przetworzenie w arcydzieło literatury opisu życia w łagrze sowieckim, jest pierwszą eksploatacją obszaru, który Herling do dziś przemierza w swych opowiadaniach, a który rozciąga się wzdłuż granicy, będącej zarazem linią frontu, między jasnością a mrokiem, wolnością a niewolą, spokojem a cierpieniem. Między dobrem a złem. Obszaru, który w przypadku *Innego Świata* przylega do tej granicy od strony zła. Ten świat jest i n n y nie tylko dlatego, że różni się od naszego jakimiś przygodnymi cechami. Jest i n n y substancjalnie, ponieważ w całości i w

szczegółach jest skażony złem, którego można uniknąć wyłącznie w trybie przeciwstawienia się mu i potwierdzenia swej wierności dobru, składając w ofierze, jeśli trzeba, samego siebie. W *Innym Świecie*, po przeciwnej stronie granicy między dobrem a złem, jedyną możliwą etyką jest, wedle Herlinga, etyka heroiczna.

Zdarzenia, o którym mowa w opowiadaniach, poczynając od lat pięćdziesiątych, dzieją się po naszej stronie tej granicy — po stronie dobra. Wszystkie one są wszelako przejawami i skutkami wtargnięcia zła — niszczycielskiej siły, ślepego żywiołu, choroby, kalectwa, okrucieństwa, pasji, nad którą nie umie się czy nie chce zapanować.

Albowiem zło jest nieustannie obecne obok dobra, choć na ogół występuje w przebraniu. Niczym granica między naszym światem a i n n y m światem, która przez czterdzieści pięć lat przecinała nie tylko Europę z północy na południe, ale również każdy kraj, zmuszając przeto każdego do opowiedzenia się albo za jednym, albo za drugim — granica między dobrem a złem znajduje się wszędzie.

Manichejska ontologia Herlinga uważa dobro i zło za dwa pierwiastki jednakowo rzeczywiste i bezwzględnie antagonistyczne, a granicę między nimi — za równie ostrą jak ta, która odcina biel od czerni. Nie ma tu miejsca na półcienie, na kompromisy i wieloznaczności, na taktykę i dyplomację, na politykę. Jest się po jednej stronie albo po drugiej. Próby ustawienia się poza dobrem i złem kończą się zbrodnią lub obłędem. Próby paktowania ze złem — ustępstwami na całej linii. Jak nikt inny w literaturze polskiej Herling jest pisarzem podzielonego świata, w którym tylko realizowanie imperatywu moralnego bez względu na okoliczności pozwala uratować siebie i innych od zniewolenia przez zło.

Czas Lebensteina

Trzydzieści lat dzieli nas od wystawy w Arsenale. I od pierwszego numeru odnowionego, odnowicielskiego „Po prostu”. I od pierwszej premiery Teatru na Tarczyńskiej. I od pierwszej dyskusji w Klubie Krzywego Koła. Trzydzieści lat — jedna trzecia wieku.

Lebenstein był obecny w Arsenale i uczestniczył w życiu Teatru na Tarczyńskiej, gdzie w 1956 roku miał swą pierwszą indywidualną wystawę. Z trzech dziesięcioleci jego malarstwa uwzględnię tu jednak tylko ostatnie. Po części dlatego, że znam je lepiej niż inne, o których zresztą sporo już napisano. I ponieważ, co najważniejsze, są po temu powody rzeczowe. Gdzieś w początku lat siedemdziesiątych Lebenstein zmienił technikę: płótno zastąpił papierem, a olej — gwaszem cieniowanym lekkimi kreskami czarnego tuszu i rozświetlanym plamami bieli. Stąd zmiana faktury: rezygnacja z rzeźbiarskiego niemal traktowania powierzchni obrazu i pewne zmniejszenie formatów. Równocześnie rozjaśnił się koloryt: miast przebiegać, jak dotąd, gamę brązów, bordo, butelkowej zieleni, czerni nawet — Lebenstein sięga teraz przeważnie po ugry i sepie w różnych stężeniach. Płowe, piaskowe, rdzawe — jego obrazy z minionych dziesięciu lat utrzymane są na ogół w żelazistych odcieniach ziemi, niekiedy dopełnianych seledynami i z rzadka tylko przerywanych wtargnięciami zieleni, fioleto czy błękitu. Wraz z tym wszystkim uległ

przeistoczeniu sam zasób przedmiotów przedstawianych. Są w nim teraz ludzie, zwierzęta, wnętrza, budynki, krajobrazy. Czyżby Lebenstein zaczął malować rzeczywistość widzialną?

Dziewczyny obnoszą swą nagość po nieco przetworzonym, ale łatwo rozpoznawalnym Paryżu: po nadbrzeżach Sekwany, ulicach, mostach. Wystawiają się w bramach domów, obsiadają wysokie stolki barowe, siedzą za stołami, rozkładają na kanapach i szeszlonych. Ich zawód nie budzi wątpliwości: w dystygowanym języku ubiegłego stulecia powiedziałoby się, że uprawiają miłość za pieniądze. Nie ma w nich jednak nic wulgarnego. Nagie ciała wcale nie są wyzywające. Nawet gdy pokazują się klientom, nie przymilają się do nich, nie wdzięczą. Pozostają odległe i jakby nietykalne. Piękne twarze nie uśmiechają się, a duże, szeroko otwarte, smutne oczy nadają im, przy ujęciach czołowych, jakieś pokrewieństwo z portretami trumiennymi. Wreszcie, rzecz najciekawsza: wśród postaci odwiedzających Bar Club Sweety i inne zakątki Paryża są jedynymi, które mają normalne ludzkie kształty.

Przykład pierwszy. Dwie osoby zwrócone w stronę widza siedzą na ławie, równo odległe od pionowej osi symetrii obrazu, w tej samej pozie, jak gdyby jedna była zwierciadlanym odbiciem drugiej: nogi lekko rozsunęte, jedna dłoń spoczywa na prawym kolanie, druga zwisa po wewnętrznej stronie uda. Ale z lewej widzimy pięknie zbudowaną dziewczynę z rozpuszczonymi włosami okalającymi nieruchomą twarz i z kształtnymi piersiami o sterczących sutkach; za cały strój ma pantofle na wysokich obcasach i podkolanówki. Postać z prawej, również naga i o wyraźnych kształtach kobiecych, ma łysą głowę, która odsłania zarysy czaszki z pustymi oczodołami; jej ręce, od łokci w dół, są obnażonymi kośćmi. Kolor pierwszej jest bardziej soczysty, a i rysunek obu różni się nieco: sposób kładzenia kreski sugeruje tam ciało żywe, tu — zaszuszone powłok mumii.

Na tym obrazie, jak na wielu innych, dziewczynie towarzyszy śmierć. Naśladuje jej postawy, gesty i ruchy, które w jej wykonaniu z organicznych stają się mechaniczne, a tym samym — absurdalne i śmieszne. Znanie z baśni zwierciadło odsłaniało każdemu, kto się w nim przegłądał, niewidzialną inaczej prawdę o nim samym. Parodiując dziewczynę, śmierć prześwieśla ją niejako i — niczym owo zwierciadło — udostępnia niewidzialną prawdę o niej, nie jej samej wszakże, ale wzrokowi widza, który obejmuje jednym spojrzeniem postaci żywe i martwe, i dzięki zachodzącemu między nimi podobieństwu nakłada je niejako na siebie, przedstawiając sobie przeto coś w rodzaju kliszy rentgenowskiej, gdzie przez blade zarysy ciała przezierają ciemne linie kości. Sens nasuwa się sam: nie pozbawione makabrycznego humoru uwidocznienie znikomości i przemijania, ilustracja tysiąckroć cytowanego: „...robak się łęgnie i w bujnym kwiecie”. Ale czy można na tym poprzestać?

Twarze. Twarze kocie: trójkątne, jak u syjamów, spłaszczone i okrągłe, jak u persów, pokryte sierścią, z długimi wąsami i sterczącymi uszami. Twarze ptasie wyciągnięte i zwężające się tak, że usta maleją, wargi stykają się prawie z zagiętym nosem, a oczy, wgłębione, umieszczają się na bokach głowy. Twarze psie, baranie, capie, jelenie, małpie. Twarze zwierząt nie znanych zoologii. Twarze-pyski, twarze-ryje, twarze-mordy, twarze-chrapy, twarze-dzioby. A przecież wszystkie, jak twarze-twarze, należą do dwunogów beziopiórych, istot w dwójnasób rozumnych, przedstawicieli gatunku *Homo sapiens sapiens*, którzy przechadzają się po Paryżu i odwiedzają pensjonariuszki klubu Sweety. Jak wyglądają, gdy są sami — nie wiadomo. Lebenstein pokazuje ich zawsze w towarzystwie panienek.

Przykład drugi. Jesteśmy w barze Sweety, choć brak napisu, który niekiedy identyfikuje ten lokal. Ewentualne wątpliwości usuwa jednak szyba z ramą w stylu *art nou-*

veau złożoną z krzywizn rozmieszczonych po obu stronach pionowej listwy, która pokrywa się z osią symetrii obrazu; jakoż znajdujemy ją w różnych odmianach, gdy miejsce akcji określone jest jednoznacznie. Z lewej strony stoi dziewczyna widziana *en face*, ma rozpięty sweter, który zasłania tylko ramiona i ręce, pantofle na obcasach, podkolanówki. Lewą ręką opiera się o podłużny stół, ku któremu jest lekko przechylona. Prawą odsuwa nieco od ciała, jak gdyby musiała utrzymać równowagę. Za stołem siedzą ze złożonymi na blacie rękami trzej mężczyźni: pierwszy od lewej ma twarz kota i żebra narysowane tak, jak gdyby znajdowały się nad skórą; drugi ma głowę kozła ozdobioną rogami; trzeciego, który też ma żebra na powierzchni, określiłbym jako psa z ludzką brodą. Przed stołem, w prawym dolnym rogu, stoi zwierzę podobne do lwa.

Tradycja malarska stosowała uzwierzcanie ludzkiej twarzy, aby przedstawić stany emocjonalne albo ukryte cechy charakteru; na przykład w XVII wieku Le Brun w studiach nad fizjonomią człowieka porównaną z fizjonomią zwierząt czy w XIX wieku Grandville. Również Lebenstein używa tego zabiegu, by uwidocznić to, co normalnie niewidzialne. Ale chodzi mu nie o przymioty osobnicze. Interesuje go właściwa ludziom, mężczyznom i kobietom, zwierzęcość, by tak rzec, gatunkowa, która występuje na jaw, ilekroć w grę wchodzi seks. Nie stosuje się to paradoksalnie tylko do osób, które odpłatnie świadczą usługi seksualne i które w świecie obrazów Lebensteina są konsekwentnie pozbawione atrybutów zwierzęcości, ale za to występują z reguły w towarzystwie zwierząt. Czy ma to znaczyć, że seks, który wyzwala pożądania, emocje i popędy i powoduje przeto uzewnętrznienie się czegoś, co, zazwyczaj ukryte, jest u nich automatyzmem, który nie angażuje ich życia wewnętrznego, czymś względem nich zewnętrznym? Czy też, że one same są po prostu zwierzętami obłożonymi w ludzkie ciała? To właśnie zdaje się sugerować obecność na niektórych obrazach kobiet-zwie-

rząt; w przeciwieństwie do kobiet o zwierzęcych twarzach, mają one swe miejsce nie za stołem, wśród ludzi, ale na podłodze obok innych czworonogów.

Przykład trzeci. Bar Sweety z jego charakterystycznymi drzwiami ozdobionymi odpowiednim napisem. Po lewej stronie szkielek w płaszczu narzuconym na ramiona trzyma przy ustach kielich. Przy okrągłym stole siedzą od lewej: mężczyzna z twarzą pawiana i odsłoniętymi żebrami, widziany z profilu; ujęta *en face* stara kobieta z chustką na ramionach — najwyraźniej Madame — sprowadzona do czaszki obciągniętej skórą z rzadkimi włosami na sklepieniu i do kręgosłupa z żebrami; dziewczyna w kapeluszu i długiej spódnicy, której twarz widzimy z profilu, ale która ukazuje jednak spod narzutki gołe piersi i brzuch. W dole, na pierwszym planie, dziwne zwierzę z człekokształtną twarzą i piersiami kobiety. Ale to tylko jedna, lewa strona obrazu. Prawą zajmuje kanapa, na której leży na wznak naga dziewczyna, lewą ręką podtrzymując głowę. U jej nóg siedzi na kanapie czarny, kudłaty stwór podobny do psa, obecny również w wielu innych obrazach.

Mamy tu wszystkie spotkane dotąd postaci: dziewczyny, mężczyznę z twarzą zwierzęcia, śmierć, zwierzęta — oraz starą kobietę, do której jeszcze wrócimy. Obraz można odczytywać jako scenę w burdelu, która zaczyna się przy stole, a kończy — w łóżku. Ale taka lektura, choć uzasadniona, pozostaje jednak powierzchowna i niepełna, choćby dlatego, że nie uwzględnia wszystkiego, co widzimy. Ten sam zarzut można postawić traktowaniu innych obrazów tak, jak gdyby były tylko scenami z życia. Zapewne, Lebenstein maluje rzeczywistość widzialną. Jednakże przedstawienie jej nie jest dlań nigdy celem samoistnym. Jego obrazy wykraczają bowiem poza to, co udostępnia się spojrzeniu, nawet najbardziej przenikliwemu, i wydobywają na jaw niewidzialną architekturę ciała oraz niewidzialną artykulację psychiki. Niewidzialną architekturę ciała w

przypadku dziewczyn konfrontowanych ze śmiercią oraz tych wszystkich postaci, które ukazują jakieś składniki swego uposażenia kostnego. Niewidzialną artykulację psychiki w przypadku osób o twarzach zwierzęcych lub zwierząt, które wskazują przecież na tłumione zazwyczaj popędy, pragnienia, emocje. Szkielety, uzwierżone twarze i zwierzęta grają zatem w teatrze Lebensteina tę samą rolę: czynią widzialnym niewidzialne, odkrywają to, co ukryte, uzewnętrzniają wewnętrzność. Przy czym to, co niewidzialne, ukryte i wewnętrzne nadaje formę jak szkielek ciała lub jak popędowość organizuje i kanalizuje zachowanie. A zarazem jest tym, co głębokie. I tym, co trwałe.

W 1980 roku Lebenstein spędził wakacje w Stanach Zjednoczonych, gdzie odwiedził m.in. Wielki Kanion Colorado. Z podróży przywiózł dziesięć pejzaży z różnymi ujęciami kanionu, wykonanych tuszem i, w kilku przypadkach, lawowanych sepią.

Przykład czwarty. W środku obrazu spotykają się dwa wąwozy. Jeden, suchy, biegnie w głąb. Drugi, którym, jak można się domyślać, płynie rzeka, przecina niemal cały obraz równolegle do przekątnej łączącej lewy górny róg z prawym dolnym, ale nieco niżej. Na pierwszym planie opada w dół równina, lewy brzeg domniemanej rzeki. Przecinające ją uskoki odsłaniają spiętrzone warstwy łupków. Od środka w kierunku lewego dolnego rogu biegnie wąska szczelina. W głębi po lewej stronie urwisko spada niemal pionowo w wąwóz, na którego dnie domyślamy się rzeki, po czym zawraca pod kątem ostrym, by stać się ścianą suchego wąwozu. Również tu odsłaniają się warstwy, ale tym razem grube, odróżniające się zabarwieniem. Przeciwniegiem ścianę suchego wąwozu tworzy stołowe wzgórze odcięte przebieżką od wierzchołka w kształcie piramidy, który przylega do prawego brzegu obrazu. Jeszcze wyżej, po lewej stronie, biegnie, oddalając się i ścieśniając w miarę przesuwania się w prawo, pasmo piaszczystych wydm. Nad

wszystkim zaś wisi wąskie, jak gdyby zmiażdżone ogromem gór, pasmo szaroniebieskiego nieba, które rozjaśnia się nieco na horyzoncie.

Pustki tego pejzażu złożonego z zadziwiających form skalnych, piargów, usypisk, nie usuwa obecne na niektórych obrazach z tego cyklu samotne, bezlistne drzewo. Jego wyciągnięte, suche konary, ręce wzniesione w niemym błaganiu, podkreślają raczej jałowość tej ziemi, jej pierwotność, niepodatność na uczłowieczenie. Wszystko to sprawia, że odsłania się tu coś, co tylko z trudem można zobaczyć gdzie indziej. Przecinając nagromadzone warstwy, kanion czyni bowiem niewidzialne widzialnym, obnaża to, co ukryte, uzewnętrznia, co wewnętrzne: kościec ziemi. Wyprowadza na powierzchnię to, co głębokie, ukazuje skalę pod piaskiem. Osiąga więc ten sam efekt, co wyobrażenia Lebensteina, gdy prześwietla ciało promieniami śmierci lub poddaje wiwisekcji duszę. Toteż tylko w tym uprzywilejowanym przypadku Lebenstein mógł, poprzestając na malowaniu tego, co widział, przedstawić na obrazie architekturę rzeczywistości, której musiał zazwyczaj szukać, wykraczając poza dane wzroku.

Porównanie wczesnej twórczości Lebensteina z obrazami namalowanymi podczas ostatnich dziesięciu lat pozwala określić ciągłość jego dzieła, a zarazem rozpoznać przemiany, jakim uległo. W figurach osiowych z wczesnego okresu pionowa linia, często wyrta jednym ruchem szpachli w gęstej warstwie farby, dzieli obraz na dwie równe strony. Przecinają ją linie poziome, z reguły wypukłe, jak gdyby uplecione ze sznurów, przy czym i pierwsza, i drugie odcinają się od właściwej figury: jaśniejszego od nich zarysu o nieregularnych kształtach. W połowie lat sześćdziesiątych miejsce tych figur zajmują zwierzopodobne istoty, ewokujące, jeśli nie naśladujące — jak wspaniały *Pterodaktyl* z 1965 roku, obraz i rzeźba zarazem — zwierzęta kopalne: trylobity, płazy, ogromne drapieżniki z ery

lodowcowej, tury. W tym przypadku symetrię dwustronną wyznacza budowa organizmu. We wszystkich wariacjach na temat baru Sweety i w spokrewnionych z nimi obrazach, o których zaraz, nośnikami tej symetrii są natomiast okna lub drzwi w stylu *art nouveau*, niekiedy lustro z ramą w tym samym stylu, budynki, schody, portyki, obeliski, bramy, luki — elementy architektoniczne. Bije w oczy, że ich funkcja jest tu taka sama, jak owych pionowych i poziomych linii z wczesnych obrazów lub jak składników szkieletu prehistorycznych stworów: obraz jako całość pozostaje dzięki nim figurą osiową. Ale bije też w oczy, że Lebenstein, zarówno we wczesnych, jak w nowszych dziełach, jest zafascynowany przeciwieństwem między symetrią a nieforemnością, a więc również między trwaniem a przemijaniem. Albowiem wszelka symetria jest trwała, gdyż podlega prawu zachowania, a wszelkie trwanie jest symetryczne, podczas gdy nieforemność, pozbawiona równowagi wewnętrznej, jest skazana za zmianę i przemijanie. Pierwsza ma za realizację szkielet, rusztowanie, architekturę; druga ciało, powłokę zewnętrzną, ulotność. Toteż nawet gdy symetria osiowa znika z obrazów Lebensteina, jak w serii kanionów, przeciwieństwo między głębią a powierzchnią, trwaniem a przemijaniem, pozostaje wpisane w kontrast różnych składników krajobrazu.

Tyle o ciągłości. Przy okazji była mowa również o przemianach, pozostaje tylko opisać je dokładniej. Pierwszą było przejście od przedstawiania form całkowicie wyobrażonych — o ile to w ogóle możliwe — które ukazują w sposób maksymalnie abstrakcyjny i ogólny stosunki między szkieletem a ciałem, do form kreowanych wprawdzie przez wyobraźnię, ale w konfrontacji z widzialnymi kształtami istot żywych, tak by przedstawić coś, co do nich podobne, co z nimi niemal tożsame, a co jednak pozostaje czymś odmiennym. Pewien zoolog, który odwiedził w latach sześćdziesiątych pracownię Lebensteina, zauważył, że choć przedstawione na nich zwierzęta nie istnieją, ale mogłyby

istnieć, są biologicznie przekonywające. Wyobrażenia do-
równała przyrodzie. Stąd kolejny krok doprowadził do
malowania rzeczywistości widzialnej, ale tak, by odsłonić
w niej to, co pozostaje niedostępne dla normalnego spoj-
rzenia. By za ciałem zobaczyć szkielet, za zachowaniem —
jego ukryte pobudki, i skałę pod warstwą piasku. Wejście
do baru Sweety w stylu *art nouveau* i podjęcie bliskiej
Witkacemu problematyki człowieczeństwa i zwierzęcości
świadczą, że istotnym czynnikiem tej ostatniej przemiany
było świadome nawiązanie do sztuki okresu modernizmu,
wyprzedzające o co najmniej dziesięć lat paryską wystawę
symbolizmu europejskiego i inne przejawy powrotu tej
epoki do łask. Jakoż już w 1965 roku Jan Cybis notował
w swym dzienniku: „Tadeusz Brzozowski i Jan Lebenstein
mówią o Böcklinie — nie o Cézannie — jako o gwieździe
pierwszej wielkości”. I dodawał oburzony: „Niemcy uru-
chomili swe remanenty i sprzedają je Ameryce, która nie
ma kultury, ale ma dolary”.

Szkielet i ciało, skała i piasek. Albo raczej: ciało, którego
stopniowy rozpad odsłania szkielet; piasek nawiany przez
wiatr, który niszczy skałę i odziera z liści samotne drzewo.
Na opisanym w przykładzie trzecim obrazie z serii *Bar
Club Sweety* widzimy młodą dziewczynę, starą kobietę
i śmierć, ciało, szczątki ciała i nagi szkielet. Inny obraz
z tego cyklu nazywa się zresztą *Trzy stadia życia* (1977).
Również postaci o twarzach zwierzęcych są niekiedy wy-
posażone w ciało zachowujące swą integralność, niekiedy
mają tylko pozostałości ciała, a zdarza się, że są ludzkimi
szkieletami o zwierzęcych głowach. Tak oto Lebenstein
wprowadza do swych obrazów żywioł, który jest w nich
wszechobecny i najważniejszy, ale którego namalować nie-
podobna, gdyż jest z istoty swej niewidzialny: czas jako si-
łę niszczącą, sprawcę rozpadu i rozkładu, a zatem również
przemijania. Czas obnażający to, co trwałe. Ale ten czas
życia jednostkowego nie jest jedynym czasem działającym
w obrazach Lebensteina.

Czy inspiracją była wystawa Ramzesa Wielkiego? Czy
po prostu wizyta w Luwrze? W każdym razie w 1976 roku
powstaje cykl obrazów pełnych odniesień do starożytnego
Egiptu. Są one blisko spokrewnione ze scenami z życia
baru Sweety. W jednym — *przykład piąty* — odnajdujemy
nawet postaci, które widzieliśmy tam, w tych samych
pozach, z tym tylko, że mężczyzna z kielichem przy ustach
okazuje się satyrem, co zresztą całkiem logiczne. Ale w tle
tym razem widać pustkowia pokryte piaskiem, z którego
wylaniają się, odsłonięte przez wiatr, szkielety przedpoto-
powych potworów. Zamyka je ściana skalna. Przed nią,
idąc od lewej, stoją: obelisk, dziwna budowla wyznaczająca
oś symetrii obrazu i kolumna z ruiną portyku. Jeszcze
wyraźniejsze reminiscencje egipskie zawierają trzy obrazy
pod wspólnym tytułem *Życie codzienne grobowca* (1976).

Jeśli czas baru Sweety jest czasem ku śmierci, to czas
obrazów „egipskich” jest czasem historii, w której trwają
pomniki, a przemijają ludzie. Ale Lebenstein wprowadza
również do swych obrazów czas przemijania gatunków,
którego upływ znaczą szkielety potworów wystające z pias-
ku. Oraz nieruchomy czas mitów, w którym byk ciągle po-
rywa Europę, Roger wyzwala Angelikę, Perseusz — An-
dromedę, a Salome tańczy przed Herodiadą i jej świtą,
podpatrywana zapewne przez Heroda z okien warownego
pałacu.

Ilustrując księgę Hioba, a zwłaszcza dwukrotnie mierząc
się z Apokalipsą — raz w witrażach kaplicy Pallotynów, a
po raz drugi w wystawionych obecnie obrazach — Leben-
stein dobudowuje do architektury czasowej swego dzieła
jeszcze jedno — najwyższe — piętro, gdzie czas spełnia się
i wykracza poza siebie. W wieczność.

Ale to wymagałoby odrębnego komentarza.

Lebenstein: droga pod prąd

Jaś, któregośmy znali i lubili, nie będzie już przemierzał nocami ulic Paryża i Warszawy. Odtąd — jako Jan Lebenstein — należy tylko do historii i pamięci: do historii malarstwa polskiego i europejskiego oraz do pamięci topniejącego grona osób, dla których głównym publicznym miejscem spotkań był od 1974 roku Centre du Dialogue, a które poza tym widywały się w różnych domach i w różnych składach, wspólnie przeżywały to, co się działo w Polsce: Radom, powstanie KOR-u, Solidarność, stan wojenny, odzyskanie niepodległości — i wspólnie żegnały swych zmarłych: Zygmunta Hertza, księdza Józefa Sadzika, Józefa Czapskiego, Konstantego Jeleńskiego, księdza Zenona Modzelewskiego. Do listy tej trzeba teraz dopisać kolejne nazwisko.

I

Jaś nie był osobą polityczną. Nie odwoływał się w swej twórczości do wydarzeń bieżących. Nie składał deklaracji, nie podpisywał protestów i listów otwartych. Miał jednak wyraźne przekonania polityczne, w klimacie PRL czuł się źle i w 1959 roku wybrał emigrację. Emigrację polityczną — a nie tylko pobyt w Paryżu. Taką wymowę nadawał bowiem jego decyzji dobór znajomych i przyjaciół, który w

owych czasach, niedawnych przecież, choć zdają się one dziś niewiarygodnie odległe, był sam przez się aktem politycznym. W przypadku Jasia — najzupełniej jednoznacznym. Jakoż do najbliższych mu osób należeli Zygmunt Hertz i Aleksander Wat, ksiądz Józef Sadzik i Konstanty Jeleński, Zbigniew Herbert, Gustaw Herling-Grudziński i Czesław Miłosz. Słowem, był to szeroko rozumiany krąg „Kultury”, w której Jaś ogłosił był zresztą kilka tekstów.

Taki dobór przyjaciół miał dla Jasia następstwa wykraczające poza życie prywatne. Określił bowiem w jakiejś mierze jego twórczość. Świadczą o tym okładki *Ciemnego świecidła* Wata (1968) oraz amerykańskich wydań *Doliny Issy* (i ilustracje do polskiego wydania z 1966), a także dwóch innych tomów Miłosza, witraże na temat Apokalipsy w paryskim ośrodku księży pallotynów, powstałe z inicjatywy księdza Sadzika (1970), gwasze do *Folwarku zwierzęcego* Orwella w przekładzie Reny Jeleńskiej (1973–1975), ilustracje do *Księgi Hioba* (1979) i *Apokalipsy* (1986) — jeszcze jeden pomysł księdza Sadzika — całkiem ostatnio rysunki do opowiadań Herlinga (1999), a wykaz ten nie jest zapewne wyczerpujący.

Co ważniejsze, nie mówi on nic o znaczeniu, jakie miały dla Jasia dwie osoby, które widywał często, z którymi przegadał godziny i które były dla niego niezastąpionymi doradcami w sprawach życiowych i partnerami intelektualnymi: Kot Jeleński i Józek Sadzik. Obaj byli miłośnikami i znawcami malarstwa. Obaj byli otwarci na różne kierunki sztuki współczesnej, zwłaszcza Józek zaprzyjaźniony z Romanem Cieślewiczem; to on, jak przypuszczam, skłonił Romana w 1968 roku do opracowania katalogu wystawy Jasia, choć jeden był artystycznie na antypodach drugiego. Obaj, i Kot, i Józek, mieli dar bezbłędnego widzenia połączony z umiejętnością myślenia o problemach sztuki i dobierania odpowiednich słów, by o nich mówić. Pozwalało im to występować w stosunku do Jasia w roli

krytyków, do których sądów mógł mieć zaufanie, gdyż wiedział, że dyktowane są głęboką przyjaźnią i zgodnością w sprawach zasadniczych. Oraz w roli inspiratorów. Nie wiem, czy zachowały się jakieś materialne dowody wpływu, jaki na twórczość Jasia wywarły kontakty z Kotem: listy, notatki z rozmów czy lektur; co się tyczy inspiracji Józka, jest bezdyskusyjna i jej owoce były tu już i jeszcze będą wspomniane.

Trzecim partnerem intelektualnym Jasia był Gustaw Herling-Grudziński. Ich spotkania były z konieczności rzadkie: podczas copółrocznych pobytów Gustawa w Maisons-Laffitte albo wizyt Jasia w Neapolu; nie pozbawiało ich to jednak ani intensywności, ani wagi. Również Gustaw jest miłośnikiem i znawcą malarstwa, przede wszystkim — malarstwa włoskiego z jego wielkich stuleci. Ale jest zarazem o wiele bardziej niż inni przyjaciele Jasia zanurzony w polityce. Jest też nieprzejednanym wrogiem postaw radykalnie awangardowych w sztuce współczesnej i krytykiem współczesnej kultury w tych jej przejawach, które odrywają, jego zdaniem, teraźniejszość i przyszłość od przeszłości, zacierając przy tym granice między dozwolonym a zakazanym, między dobrem a złem, i tym samym pozwalają na wszystko, byle tylko było „nowoczesne”, a jeszcze lepiej — „rewolucyjne”. Jak Jaś reagował na wypowiedzi i teksty Gustawa, co z tego przyswajał sobie i przetwarzał w swoich obrazach? — nie umiem powiedzieć. Sądję jednak, że to pytanie winno być wpisane do kwestionariusza przyszłych badaczy jego malarstwa.

II

Jako artysta, Lebenstein szedł pod prąd. Niemal całe życie szedł pod prąd. Wyjątkiem był tylko krótki okres — od połowy lat pięćdziesiątych do połowy następnej dekady — gdy dostawał nagrody i cieszył się powodzeniem.

Wyjątkiem byłyby też ostatnie lata, gdyby nie choroba i poczucie klęski, któremu dał dojmująco wyraz w jednym z ostatnich wywiadów, jakich udzielił. Czy znaczy to, że — jak pisał Jeleński — Lebenstein był ostatnim *artiste maudit*? Rzut oka na zestawienia jego wystaw indywidualnych, wystaw zbiorowych, w jakich uczestniczył, i poświęconych mu publikacji skłania, by o tym wątpić; od 1958 do 1990 roku zdarzyły się bodaj tylko cztery lata bez indywidualnej wystawy i co roku ktoś gdzieś o nim pisał.

Dokładniejsze przyjrzenie się liście wystaw indywidualnych pozwala jednak dostrzec ostry kontrast między pierwszymi latami europejskich i amerykańskich sukcesów — wystaw w miejscach o wysokim prestiżu i wypowiedzi krytyków o głośnych nazwiskach na łamach wpływowych pism — a okresem późniejszym. Po 1964 roku z listy tej znikają na piętnaście lat muzea — z wyjątkiem Muzeum Narodowego we Wrocławiu — które i później będą rzadkie. Podobnie wymienione na niej galerie nie należą odąd — z jednym czy dwoma wyjątkami — do uważanych za wpływowe na międzynarodowym, a nawet na paryskim rynku sztuki. Również wystawy zbiorowe z udziałem Lebensteina mają po 1965 roku rangę drugorzędną w porównaniu z wielkimi manifestacjami artystycznymi skupiającymi na sobie pełnię światła, takimi jak Biennale w Wenecji czy Documenta w Kassel. Co się zaś tyczy prasy, to ostatni artykuł o Lebensteinie w „Le Monde” ukazał się w 1974 roku, a w „Le Figaro” rok później. Nie ulega więc kwestii, że od połowy lat sześćdziesiątych zaczął on być spychany na margines, co ostatecznie zostało doprowadzone do skutku. I pozostawał na marginesie aż do połowy lat osiemdziesiątych.

Tłumaczy się to zazwyczaj — i sam Lebenstein przywoływał ten argument — ostracyzmem, jakiego padł on ofiarą w następstwie rozbieżności dotyczących Związku Sowieckiego i komunizmu między nim a marszandami,

krytykami i wieloma artystami zachodnimi. Jakoż wywarły one zapewne znaczny wpływ na jego sytuację. Końcowe lata sześćdziesiąte i lata siedemdziesiąte były przecież okresem opanowania przez lewicowy ekstremizm wszystkich dziedzin kultury; szczególnie dotkliwie dawało się to odczuć we Włoszech i we Francji. Ten lewicowy ekstremizm, który miał, zależnie od przypadku, rodowód maoistowski, trockistowski, anarchistyczny, był często wyraźnie antysowiecki, co czyniło zeń potencjalnego politycznego sprzymierzeńca dysydencji w krajach „realnego socjalizmu”; ale to nie był problem Lebensteina.

Na co dzień w środowisku artystycznym stykał się on z sekciarstwem i fanatyzmem, które budziły w nim najgorsze wspomnienia. Stykał się z żądaniem działania w grupie, poddawania się osądowi kolektywu, opowiadania się „za” lub „przeciw”. Stykał się z przedkładaniem kryteriów politycznych nad artystyczne, z potępianiem i wyklinalaniem, ze stadnym entuzjazmem i równie stadnym oburzeniem — ze wszystkim, czego nie znośił. Stykał się wreszcie z modą na sztukę rewolucyjną, manifestacyjnie antykapitalistyczną i antyamerykańską, a zarazem z kontestacją wszystkiego — z samą sztuką włącznie. W tym punkcie dochodzimy do ogniska sporu Lebensteina z jego zachodnim, zwłaszcza zaś francuskim otoczeniem, który, jak się okaże, daleko wykracza poza obszar polityki.

III

Od połowy lat sześćdziesiątych dominującym nurtem sztuki światowej stała się radykalna awangarda z jej wymogiem całkowitego zerwania ciągłości między sztuką żywą a sztuką dawną, do której zaliczono wszystko, co powstało w przeszłości, nawet niedalekiej. Wartość wzorców zachowały dla radykalnej awangardy tylko dzieła Malewicza, skrajnych konstruktywistów, Schwittersa, a przede

wszystkim — Duchampa. Postawa ta wyraziła się w zastępowaniu tradycyjnych materiałów sztuki nie tylko materiałami pospolitymi i nowymi tworzywami, co robiono już na początku naszego wieku, lecz również odpadami przemysłowymi, a później — organicznymi, przy czym posunięto się aż do używania substancji nietrwałych, co postawiło pod znakiem zapytania dzieło jako twór unikalny, ostateczny i niezmienny. Równocześnie kwestionował je kierunek, wedle którego artysta tworzy tylko koncept: szkic partytury, zarys programu; przedmiot widzialny odtworzany wedle tych wskazań jest każdorazowo tylko jedną z jego realizacji.

Dominacja radykalnej awangardy wyraziła się również w odrzuceniu tradycyjnych odmian sztuki, takich jak malarstwo czy rzeźba, i wyniesieniu na szczyt happeningów, instalacji, pudełek, montażu, bądź też aktów kreowania „dzieł sztuki” z przedmiotów użytkowych pozbawionych ich pierwotnej funkcji i umieszczonych w kontekście, dla którego nie były przeznaczone, po uprzednim zaopatrzeniu ich przez „artystę” w jego podpis i ewentualnie w nazwę. Dzieło sztuki okazywało się przeto pozbawione jakichkolwiek właściwości immanentnych, gdyż stać się nim mógł dowolny przedmiot pod warunkiem zawłaszczenia go przez artystę i wystawienia przezeń w określony sposób w określonym miejscu. Sam artysta zaś musiał nieustannie dowodzić, że jest artystą właśnie, zamieniając swe życie w teatr, którego był głównym, jeśli nie jedynym aktorem. Granica między uprawianiem sztuki a ekshibicjonizmem przestała istnieć.

Choć kierunki radykalnej awangardy były różne, łączyło je, jak widać, to że wszystkie usiłowały bez reszty zerwać z tradycją. Efekty tych poczynań nie były konieczne ujemne. Byli awangardowi wielcy artyści i awangardowi mali kombinatorzy. Niektóre dzieła mówiły coś, czego inaczej nie dawało się wyrazić, zaskakiwały, prowokowały, zmieniały widzenie, zmuszały do myślenia, pobudzały wrażli-

wość i odnawiały repertuar działań artystycznych, a przynajmniej bawiły zaskakującymi skojarzeniami materiałów, barw, kształtów, ruchów. Inne, wtórne bądź wręcz kiczowate, powielały chwyt, który szybko stracił pierwotną świeżość. Ale taka zróżnicowana ocena stała się możliwa dopiero później.

Dla klimatu epoki bowiem znamienne było nieodróżnianie jednych od drugich i promowanie wszystkiego, co tylko miało pozór „nowoczesności” — zwłaszcza jeśli łączyło kontestację artystyczną z rewolucyjną retoryką — i tego wyłącznie. Toteż przedstawiciele radykalnej awangardy zmonopolizowali wystawy i muzea sztuki nowoczesnej, które uznawały poza nimi wyłącznie żyjących jeszcze klasyków XX wieku. Galerie, które chciały utrzymać się na grzbiecie fali, wsłuchiwały się w werdykty nowojorskiego duumwiratu Castelli–Sonabend i szukały dzieł coraz bardziej wyzywających, gdyż tylko takie mogły zwrócić na siebie uwagę. Krytykę ogarnął amok, który doprowadził ją do samobójstwa. Ten stan rzeczy trwał do początku lat osiemdziesiątych; we Francji wychodzenie zeń jeszcze się nie skończyło.

Lebenstein miał około trzydziestu pięciu lat, gdy władzę w świecie sztuki zdobyły radykalna awangarda z jej rewolucyjną retoryką i rewolucyjnymi zachowaniami. Gdy dyskusje na temat abstrakcji i figuracji okazały się po prostu bezprzedmiotowe, gdyż na samo malarstwo niektórzy wydali wyrok śmierci. Artyści o pozycji od dawna ugruntowanej mogli czekać; mieli marszandów, klientów, miejsce w muzeach i w historii. Jego sytuacja była inna. Mógł, rzecz jasna, powielać formułę, która już się była sprawdziła i której zawdzięczał swe wczesne, zaskakujące sukcesy. Wybrał co innego. Zaczął coraz bardziej zdecydowanie iść pod prąd.

Koło 1963 roku Lebenstein przestał malować figury osiowe, które uchodziły na ogół za twory abstrakcyjne, choć Jeleński już trzy lata wcześniej dostrzegł w nich „zaszyfrowaną pieczęć Erosa i Thanatosa”, co zawierało aluzję do symbolizmu, do Böcklina i Malczewskiego. W świetle późniejszej ewolucji Lebensteina słowa te wydają się prorocze; sam Jeleński przyznawał jednak po dwudziestu dwóch latach, że nie wie, czy podyktowało je oko krytyka, czy intuicja przyjaciela. Jakoż z okresu figur osiowych Lebenstein mógł być wyjść w bardzo różne strony. Mógł je geometryzować, zmierzając ku zastąpieniu ich strukturami o charakterze pozornie matematycznym. Mógł zamieniać je w plamy barwne, coraz bardziej bezkształtne, wyniki przypadkowych zderzeń pędzla z powierzchnią płótna. Mógł redukować je krok po kroku, pozostawiając na obrazie minimum śladów swej interwencji i czyniąc je coraz trudniej dostrzegalnymi. Mógł traktować je jako pomysły twórców trójwymiarowych, które by wykonywał sam albo zlecał do wykonania innym. Są to tylko przykłady. Lebenstein bowiem mógł być poddać figury osiowe takim przekształceniom, których nikt poza nim nie jest sobie w stanie wyobrazić.

Wybrał Bestiarium; wariacje na kanwie trylobitów, tyranozaurów, gadów, płazów, bestii z epoki lodowcowej, turów, wypełniają jego obrazy z lat 1963–1965. Wkrótce zwrócił się ku ciału ludzkiemu. Malował kobiety, baby o potężnie rozbudowanych pośladkach, niekiedy samotne, ale coraz częściej w towarzystwie wpatrzonych w nie mężczyzn o zwierzęcych twarzach. Tej treści obrazy wystawił w Paryżu w maju–czerwcu 1968 roku. Osiem lat wcześniej Bérart wprowadził na scenę *Święto wiosny*; w wykonaniu jego baletu — święto seksu. Dwa lata wcześniej *Marat–Sade* Petera Weissa obwieścił, że „rewolucja nie ma racji bez powszechnej kopulacji”. W maju 1968 roku, gdy studenci

Sorboni zajmowali się wcielaniem w czyn tego hasła, Lebenstein ukazywał seks jako sferę konfliktu pierwiastków męskiego i kobiecego, przy czym pierwszy w obecności drugiego utożsamia się ze zwierzęcością całkiem w duchu Witkacego; *Nienasycenie* dostarcza zresztą tytułu jednemu z obrazów.

Seks jest tu przedmiotem satyry, która odsłania powódzoną przezeń degradację mężczyzny: pozbawia go ludzkiej twarzy, a więc ludzkich uczuć. Choć Lebenstein zaprzeczał po latach, jakoby był moralistą, fakt, że czuł potrzebę takiego wyjaśnienia, jest znamieny. Oślogłowy osobnik, który spółkuje z kobietą, pochodzi przecież nie tylko z Szekspira. Również, a może nawet przede wszystkim, z *Caprichos* Goyi, którego czarna wizja człowieczeństwa przenika do twórczości Lebensteina. Coraz częściej pojawiają się w niej postacie o ostro zaznaczonych żebrach, kręgach, kościach udowych i goleniowych. Już tylko krok dzieli ją od spotkania ze śmiercią. I z czasem.

Dokona się to ostatecznie w obrazach z lat siedemdziesiątych. Jeśli, jak pisał Wat w dedykowanym Lebensteinowi wierszu, „szanujący się kościotrup nigdy nie pokazuje się nago” — to na tych obrazach kościotrupy przestały się szanować. Miłosz wspomina z myślą o nich o „tańcu szkieletów”. Są to niekiedy szkielety ludzkie, niekiedy zwierzęce, przeważnie odsłaniające się tylko częściowo albo skonstrastowane z postaciami o pełnej — i pełnej uroku — kobiecości i cielesności, jak gdyby chodziło o pokazanie przejścia od zmiennego i nietrwałego stanu życia do kamiennej wieczności szczątków kostnych: rozkładu, rozpadu, przemijania. Same obrazy są przy tym budowane coraz wyraźniej, wedle tradycyjnych reguł: mają zwartą kompozycję, bywa, że perspektywę, zazwyczaj ostro zaznaczoną oś symetrii. I zgodnie z tymi regułami przedstawiane są zaludniające je postacie nawet wtedy, gdy są nimi fantastyczne stwory.

Późniejsza twórczość Lebensteina jeszcze dobitniej pod-

kreśla związek z tradycją. W 1968 roku — „marca” w Polsce i interwencji Paktu Warszawskiego w Czechosłowacji — maluje dedykowane księdzu Sadzikowi *Ukrzyżowanie*, które techniką i kolorytem nawiązuje do figur osiowych, a zarazem zawiera — bardzo rzadkie u Lebensteina — bezpośrednie odniesienie polityczne: krzyż krwawi, a zbrodniarzami są Stalin i Hitler. W 1970 roku robi wspomniany już witraż *Apokalipsy*. Doszło do tego za sprawą księdza Sadzika. Ale gdyby obrazy Lebensteina nie były potępieniem współczesnej obyczajowości i sprzeciwem wobec przemian współczesnej sztuki, Sadzik zapewne nie zaproponowałby mu tej pracy, a i on by się jej nie podjął. Spotkanie z tematyką religijną było logicznym następstwem jego dotychczasowej ewolucji, toteż po witrażu przyszły ilustracje do Księgi Hioba, raz jeszcze Apokalipsa, znacznie później Księga Rodzaju (1995). Przyszły też ilustracje utworów literackich. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Lebenstein wykonuje serię gwaszy do *Folwarku zwierzęcego* Orwella, co było manifestacją sprzeciwu zarazem artystycznego i politycznego. Wszystkie te utwory, choć każdy podsunęły okoliczności, wpisują się doskonale w jego zainteresowania. Apokaliptyczna bestia i Behemot należą do jego świata równie naturalnie, co mieszkańcy „farmy zwierzęcej”, a Hiob ukazany jest w pejzażach, które zapowiadają wizerunki Wielkiego Kanionu.

Za traktowaniem obrazu jako dopełnienia słowa — poetyckiego czy obrzędowego — stało, jak się zdaje, przekonanie Lebensteina, że malarstwo nie jest samowystarczalne, że nie jest celem samym dla siebie i że sens nadaje mu wyłącznie odniesienie do czegoś, co względem niego zewnętrzne — a może nawet do czegoś, co zewnętrzne wobec widzialnego świata. Wiedział, że przekonanie to, łącząc go z całą dawną historią malarstwa europejskiego, sprzeciwia się dążeniu sztuki nowoczesnej do pełnej niezależności. Wiedział też, że kierowanie się nim naraża go na zarzut „literackości” i że niektórzy będą uważać go nie za artystę,

lecz za ilustratora. Odpierał takie zarzuty. I nigdy od swych przekonań nie odstąpił.

V

Zawsze fascynowała go odległa przeszłość; z pierwszej wizyty w Luwrze wyszedł pod wielkim wrażeniem rzeźby sumeryjskiej i asyryjskiej; kobiety-baby mają w sobie coś z dawnych bóstw płodności. Bestiarium odsyła do prehistorii. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych do jego malarstwa wchodzi starożytny Egipt. Później podejmuje ono tematy, które przyciągały dawnych mistrzów: porwanie Europy, Salome — i szuka inspiracji u Włochów z XVII wieku. W początku lat dziewięćdziesiątych Lebenstein odkrywa Pergamon; na jego obrazach pojawiają się antyczne architektury i rzeźby ze słynnego ołtarza, niekiedy w towarzystwie posągów egipskich i postaci o zwierzęcych lub ptasich twarzach. Ciała kobiece malowane w tym okresie mają często kształty zbliżone do starożytnego kanonu.

Podsumowaniem własnej drogi i autorskim komentarzem do niej jest obraz zatytułowany *Etapy* (1992). W pałacowym wnętrzu widzimy tu, po prawej stronie, trzy figury osiowe, z których jedna ma ogromne pletwy, a druga jest czymś w rodzaju obelisku z umieszczonym na szczycie wahadłem zatrzymanym w punkcie równowagi; obie ustawione są na postumencie, obok którego stoi trzecia figura, rzeźba w stylu Miró, i na którym na samym dole znajduje się bestia znana od 1964 roku jako *Rampant*. Po lewej stronie, na wyższym postumencie, znajduje się para w pozie przypominającej cykl *Matrimonium* z końca lat sześćdziesiątych: kobieta trzyma rękę na ramieniu siedzącego mężczyzny, ale on nie może, jak na tamtych obrazach, położyć swojej na jej pośladku, gdyż ma ręce ułamane powyżej łokci — jest na wpół rzeźbą. Jest zresztą krewnym maszkaronów z Notre Dame: diabłem z rogami i o zwierzęcej twa-

rzy oraz o odsłoniętych żebrach kościotrupa. Kobieta też jest ożywioną rzeźbą, ale rzeźbą klasyczną: głowa i biust pochodzą od Wenus z Milo, a energiczne wysunięcie prawej nogi oraz zasłaniająca dół ciała draperia przypominają Nike z Samotraki.

W obrazie tym można więc widzieć proklamację zwycięstwa pierwiastka kobiecego nad męskim, człowieczeństwa nad zwierzęcością czy wręcz boskości nad demonizmem, tradycji antycznej nad nowoczesną pogonią za oryginalnością, wieczności nad czasem. Ale można w nim widzieć zarazem — zgodnie z sugestią zawartą w tytule nadanym mu przez Lebensteina — ukazanie drogi artysty: drogi, która prowadziła od nowoczesności do klasycyzmu, od potworów do ciała ludzkiego w jego doskonałym, greckim kształcie, od sztuki umiejscowionej i wpisanej w historię do sztuki pragnącej osiągnąć ważność powszechną.

To się właśnie nazywa: iść pod prąd. Ceną tego długiego, mozolnego marszu było poczucie samotności i niepewności, którego przyjaciele nie byli w stanie rozproszyć. Podejrzewam, że gdy słyszał ich pochwały, zastanawiał się, czy nie są dyktowane bardziej osobistą sympatią niż rzeczywistą wartością jego obrazów. Jak każdy artysta, by utwierdzić się w poczuciu słuszności obranego kierunku, potrzebował ocen, które by pochodziły od nieznajomych. Miał ich zbyt mało, jak zbyt mało miał wystaw, które by były porównywalne z tymi, jakie pamiętał z lat sukcesów, i które dawałyby mu przeto pełną satysfakcję. Jeśli pił, to również dlatego, by zagłuszyć wątpliwości, jakie go nawiedzały.

Dopiero dziś, gdy dawna jednomyślna niemal aprobata radykalnej awangardy ustąpiła miejsca sporom na jej temat, gdy produkcja lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oraz jej obecnych epigonów poddawana jest ostrej krytyce, gdy symbolizm i ekspresjonizm wróciły do łask nie tylko u historyków, lecz również u artystów — twórczość Lebensteina ma szansę odnaleźć swe miejsce w jednym z głównych nurtów sztuki europejskiej naszego wieku.

Nota bibliograficzna

- Giedroyc: sylwetka.* Tekst odczytany przez Gustawa Holoubka na wieczorze Pen Clubu ku czci Jerzego Giedroycia w Warszawie 27 czerwca 1996. Ukazał się wraz z innymi materiałami z tego wieczoru w dodatku kulturalnym „Tygodnika Powszechnego” *Kontrapunkt*, nr 7, 28 VII 1996, oraz w „Zeszytach Literackich”, nr 56, jesień 1996, s. 51–53.
- Instytut Literacki 1946–1996.* Tekst niepublikowany. Napisany po angielsku i wygłoszony na Wydziale Historii Uniwersytetu Harvarda w ramach The August Zaleski Memorial Lectures pod tytułem *Culture as Politics: the Polish Literary Institute 1946–1996* — 8, 9 i 10 kwietnia 1996.
- Aktualność Mieroszewskiego.* Wstęp do: Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, Warszawa 1999, t. I, s. 5–23.
- Redaktor i Publicysta — o polityce „Kultury”.* Wstęp do: „Kultura i jej krąg 1946–1986. Katalog wystawy Czterdziestolecia Instytutu Literackiego, Paryż 11 XII 1986–10 I 1987, Paryż 1988, s. 7–25. Wydanie krajowe: Lublin 1999.
- Jeleński: Szkic do portretu,* „Kultura” 7/478–8/479, 1987, s. 14–24. Przedruk w: *Zostało tylko słowo... Wybór tekstów o „Kulturze” paryskiej i jej twórcach*, Lublin 1990, s. 124–134.
- Herling-Grudziński — emigracja heroiczna,* „Kultura” 12/411, 1981, s. 82–86. Jest to zagajenie wieczoru autorskiego Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w Centre du Dialogue w Paryżu 25 września 1981. Przedruk w: Z. Kudelski (wyd.), *Herling-Grudziński i krytycy*, Lublin 1997, s. 29–32.
- Manicheizm na użytek naszych czasów.* Przekład polski Mani-

chéisme à l'usage de notre temps. Wstęp do francuskiego wyboru z trzech tomów *Dziennika pisanego nocą* w przekładzie Teresy Dzieduszyckiej: G. Herling, *Journal écrit la nuit*, Paris 1989, s. 9–19. Po polsku jako wstęp do: G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1971–1972*, Warszawa 1990, s. I–IX, i w późniejszych wydaniach. Przedruk w: Z. Kudelski (wyd.), *Herling-Grudziński i krytycy*, s. 48–54.

„Jest w nim pewien żar...”. Uzasadnienie wniosku o przyznanie doktoratu honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. „Wiadomości Uniwersyteckie UMCS”, maj 1997, s. 3–4; „Gazeta Wyborcza”, 6 lipca 2000.

Czas Lebensteina, „Kultura” 7/454–8/455, 1985, s. 21–28, oraz *Jan Lebenstein*, Katalog wystawy, kwiecień–maj 1992, Galeria Zachęta, Warszawa.

Lebenstein: droga pod prąd, „Kultura”, 11/626, 1999, s. 7–16.

Spis rzeczy

Od autora	7
Giedroyc: sylwetka	9

I. Instytut Literacki 1946–1996

Przeciw podziałowi Europy: twórcy Instytutu i ich współpracownicy	15
Pierwszych dziesięć lat	18
Losy Polski, losy Europy	34
Modernizacja polskiej umysłowości: pisarze jako wychowawcy	43
Pisarze „Kultury”	46
Samotność: doświadczenie i temat	51
Spór o rozumienie polskości	56

II. Giedroyc i Mieroszewski

Aktualność Mieroszewskiego	75
Redaktor i Publicysta — o polityce „Kultury”	115

III. O nowoczesność świadomą tradycji

Jeleński: szkic do portretu	153
Herling-Grudziński — emigracja heroiczna	168

Manicheizm na użytek naszych czasów	174
„Jest w nim pewien żar...”	186
Czas Lebensteina	192
Lebenstein: droga pod prąd	202
 Nota bibliograficzna	 215

„Czytelnik”, Warszawa 2000. Wydanie I
e-mail: sekretariat@czytelnik.pl <http://www.czytelnik.pl>
Ark. wyd. 9,6; ark. druk. 13,75
Skład: B. Cholewiński i L. Żukowski, Warszawa
Druk: Drukarnia Wydawnictw Naukowych S.A., Łódź
zam. wyd. 548; zam. druk. 0799
Printed in Poland

Tytuł tej książki ma dwa znaczenia.

Jeśli za nazwiskiem autora postawić przecinek i wyróżnić je krojem czcionki – całość będzie znaczyć, że mowa o Jerzym Giedroyciu i niektórych przynajmniej jego współpracownikach. Jeśli przecinka brak, a nazwisko autora łączy się graficznie z tytułem, znaczy to, że sam autor należy do kręgu Giedroycia i pisze z tej perspektywy. Oba odczytania są zasadne.

Zresztą część zebranych tu szkiców ukazała się pierwotnie w „Kulturze”. Portrety osób żyjących, rozbiory dzieł literackich czy malarskich i wspomnienia pośmiertne spotykają się tu z zarysem historii Instytutu Literackiego o charakterze bardziej akademickim. Te rzeczy rodzajowo różne powstawały w różnych okresach, w różnych językach, dla różnych czytelników. Najdawniejsza pochodzi sprzed blisko dwudziestu lat; najnowsza – sprzed roku.

Nie próbowałem ich ujednolicić.

(Od autora)

ISBN 83-07-02791-8



9 788307 027913